

Part Code
ST1316

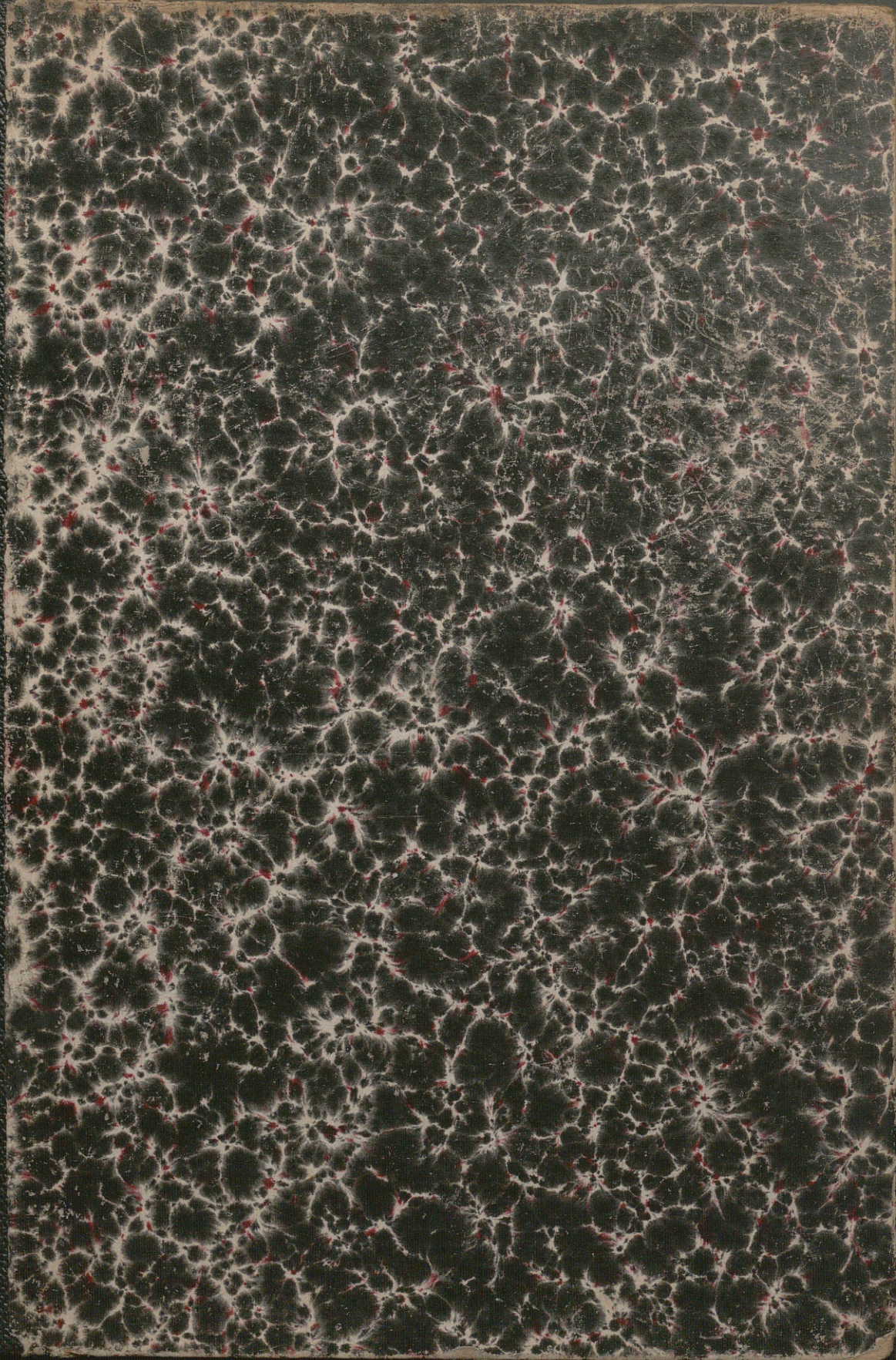
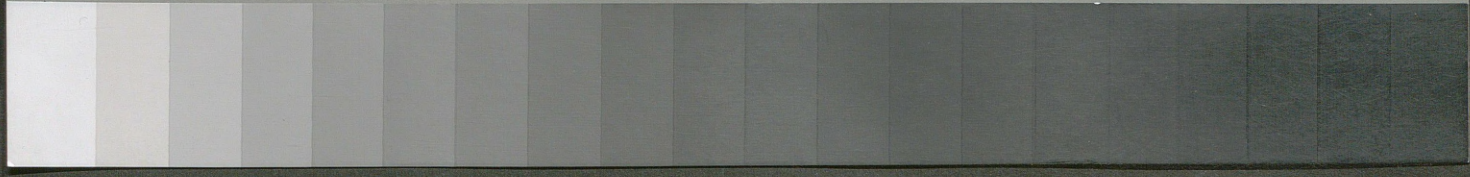
DANES
-PICTA
.COM



Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

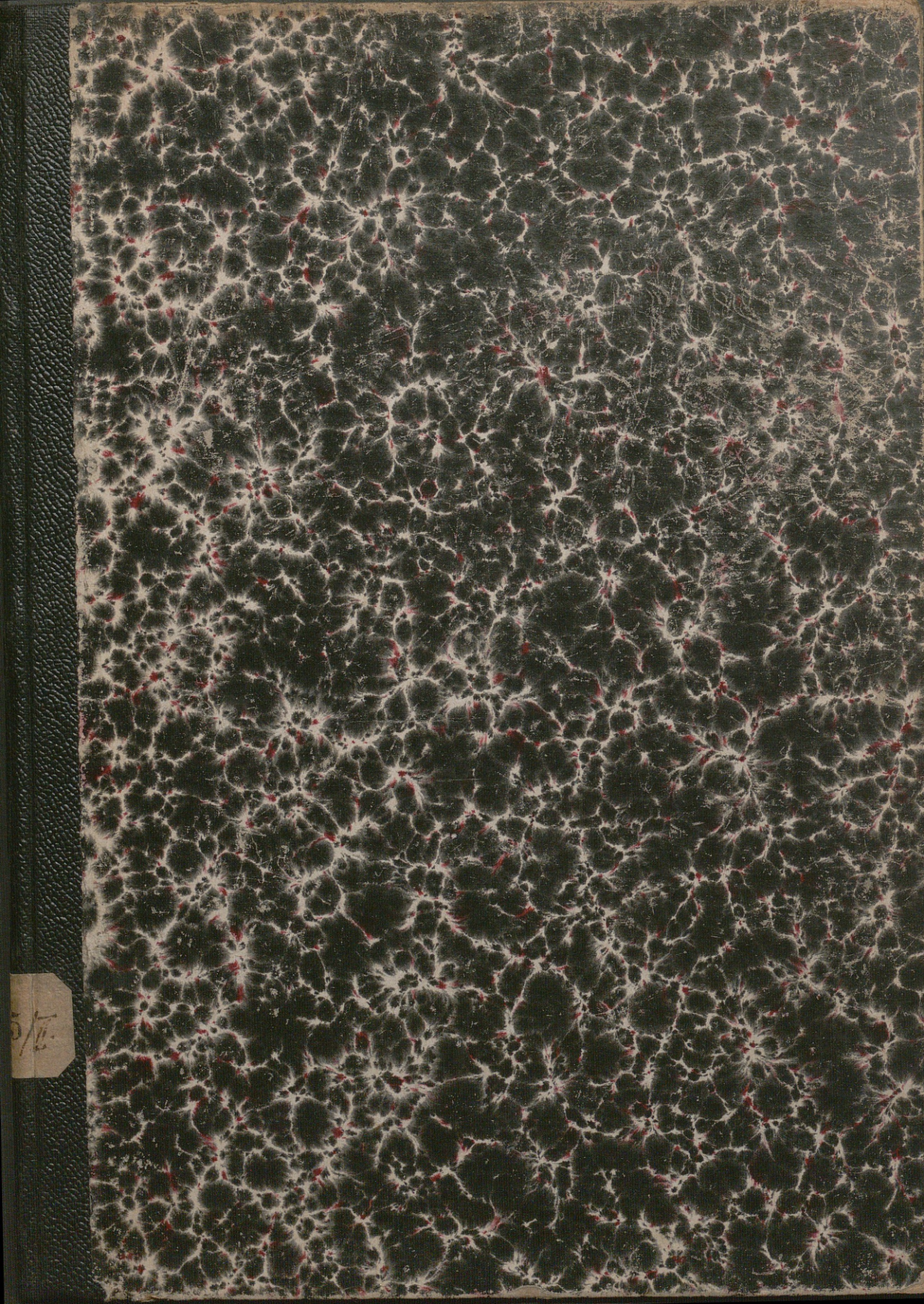


5/16



Colour Chart #13

DANES
-PICTA
.COM



5/15

lok

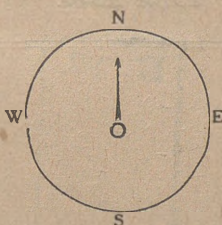
DOŚWIADCZENIA I BŁĘDY
NASZEJ POLITYKI ZAGRANICZNEJ
WOBEC ZADAŃ CHWILI

10.

M. S.

CONSULIBUS

**Doświadczenia i błędy
naszej polityki zagranicznej
wobec zadań chwili**



Cena 10 zł.

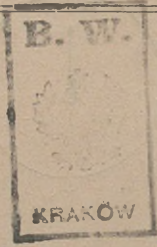
WARSZAWA 1926

Nakładem Biura Społecznego Literackiego

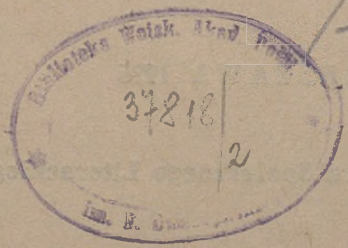
323/438/

Doświadczona i błędy
naszej polityki agrarycznej
wobec sąsiedźstwa

Drukarnia
**ZRZESZENIA SAMORZĄDÓW
POWIATOWYCH**
Warszawa, Ogrodowa 46.
Telefon 265-02.



~~7785/11~~



TEJ, CO ŚRÓD SZAKALI
JEDYNA LUDZKA BYŁA.

Brak słońca i pogody spowodował, że po miesiącu żeglugi nie wiedzieliśmy dobrze, gdzie jesteśmy. Okrzyk wartowaika: „ziemia!” zaskoczył nas niespodzianie. W tej chwili — do mapy. Dowiedzieliśmy się wreszcie, że dotarliśmy do zachodnich wybrzeży Ziemi Ognistej, najeżonych rafami. A był już wieczór; to też pośpiesznie skryliśmy się na noc do niezbyt tęgiego portu — nie było wyboru — do zupełnie otwartej zatoki jednej z wysepek: tam stanęliśmy na kotwicy. Nad raniem obudziło nas złowieszcze trzeszczenie: na morzu szalał huragan i okręt rwał się z łańcucha. Pękł łańcuch, kotwica wraz z nim została w głębinach: wicher pchnął statek — na pełny ocean.

A. B. Dobrowolski — Wyprawy polarne.

CZEPIEC . . . a cy pon pamięta,
jak pon szeptoł nieraz w noc,
co mówiła Panna Święta,
jako w nas jest wielga moc,
jako że moc jest zaklęta,
że się kiedyś opamięta....

POETA A przecież się nic nie dzieje.
Wyspiański — Wesele.

I.

Twórczość Polski przedwojennej odznaczała się wielką intensywnością, rozwijając się w tempie bodaj że niewiele innym krajom ustępującem. Zawadą na drodze naszego wysiłku kulturalnego była wszakże niewola, uzależniała bowiem pracę naszą od obcych warunków politycznych, ograniczając jej zakres, rozdzierała na trzy strzępy, utrudniając im łączność, usuwała wreszcie od równouprawnionego głosu w twórczości światowej i czerpania posiłków z jej źródeł, innemi słowy, rezultaty, zdobywane przez innych z prostotą i łatwością, myśmy osiągać mogli jeno nadmiernem napięciem energii, niezawsze pomimo to dość owocnem.

To też dążeniem wielkich serc i umysłów Polski rozbiorowej było odzyskanie wolności, jako prymitywnego warunku wstępnego dalszej narodu pracy kulturalnej. Niweczając wprawdzie wiele dóbr naszych, ziścił to kataklizm europejski, — na tle zburzenia potęg najeźdźczych i ruchu mas ludowych, urzeczywistniającego powszechnie hasło państwa narodowego. Z tą chwilą — stworzenia Rzeczypospolitej niepodległej z dzielnic zjednoczonych — zawrzała nanowo gorączkowa praca polska na wszystkich placówkach kulturalnych: szybko goiły się świeże rany, zadane przez ciosy wojenne, zablizniać się zaczęły cięcia wiekowe rozbioru, cisi pracownicy odbudowy, oświaty, gospodarstwa, sztuki i wiedzy w stolicach i po wsiach jęli się spolem tworzenia nowej Polski u podstaw, a jednostki wybitne rozpostarły skrzydła, wplatając imię nasze na każdym polu w dorobek światowy.

Wstecz oglądając się na drogę przebytą, kontrast wzrokiem chwytając pomiędzy Polską z przed lat dziesięciu zaledwie a dzisiaj, niejednen mamy powód do dumy. Nie rozważamy tedy już minionych przecie splotów polityki wszechświatowej, jej nici i szwów, które tło wytworzyły, naszemu wyzwoleniu sprzyjające, nie zastanawiamy się zbyt

nio, jakie w nich zmiany zachodzą, czy podłoża wolności Polski nie wywracające. Stosunek nasz do burzy powszechnej pozostał zewnętrzny, jak był. Traktowaliśmy ją nie ze stanowiska czynnika wielkich przeobrażeń dziejowych, — ta rola dostępna była potężnej Ameryce, — lecz jeno szukając w jej skutku zrzucenia jarzma. Coprawda frazeologia konwencyonalna polityków naszych rzecz przedstawiała odmiennie, czy to wprzęgała nas do rydwanu ekspansji słowiańskiej, to znów w forpcztę nas przeobrażała dla abendliche Kultur, lub rozciągała wreszcie jako drut kolczasty zawadą pochodowi komunizmu, przy każdej sposobności powtarzając, iż jesteśmy *clé de la voûte européenne*. Atoli za temi tytułami ściśle propagandowemi nas obchodziła tylko wolność. Gdy zaś nadto „oryentacye“ zbankrutowały obie (choć przy decyzjach pokojowych rozbitki jednej nadspodziewanie zaawansowały), naród prosto zrzucił niewolę, gdzie mógł, bez żadnej dyplomatycznej okrasy.

Ujawnia się w istocie polityki tej pewien rys szczególny, cechujący nasz poziom moralny wyjątkowo dodatnio. Staliśmy więc w głębi duszy niezłomnie na stanowisku prawa naturalnego wolności narodowej, w jakiegokolwiek ją zwodnicze niezręcznie stroiliśmy szaty: nawet dostosowując się do terminologii intryg międzynarodowych, nie żądaliśmy nic, jak jeno by zwrócono nam nasze ziemie i dano im spokój, jak my go nikomu nie zakłócamy. Skutkiem tego stał się fakt, że w rezultacie walk wolnościowych nie wytworzyliśmy właściwie tego, co według pojęcia i nomenklatury narodów ościennych jest państwem. Byliśmy narodem w niewoli, jesteśmy narodem wyzwolonym, państwem nie jesteśmy. Jakże poradzić jednak, że w Europie dzisiejszej niema innej formy wyzwolenia narodowego, jak przez wytworzenie państwa? Jest ono na ustach naszych, cieszą nas emblematy jego, odtwarzamy naprędce wzory lichy rządzenia przez najeźdźców pozostawione. Ale nie każdy kto mówi: państwo, państwo... Państwem trzeba być. Jest zaś ono nie tylko organizacją wewnętrzną pracy narodowej, i członem współzycia międzynarodowego jest nie tylko w znaczeniu obcowania kulturalnego lub ekonomicznego. Istotnie, w roku 1918 było to ideałem narodów koalicji: ustalały nowy ład europejski w przekonaniu, że na przyszłość hekatombą wojenną wyłączyły intrygi i niesnaski międzynarodowe, a zwłaszcza zatargi zbrojne. Stąd humanitaryzm postanowień pokojowych, które stanąć chciały na gruncie słuszości, nie zaś zwycięstwa.

Złudzenie przysło natychmiast. Europa nie dała się w ramy traktatów ułożyć. Nie zastanawiano się, dlaczego: czy że w półdrogi stanęły, czy przesadziły, czy cel był nieosiągalny? obserwowano tlenie się bezustanne powszechne niedopalków wojny europejskiej w szeregu faktów dokonanych, nie klasyfikując na sprzyjające celowi a odeń odbie-

gające: zrazu chciano je zgnieść, następnie pomijać uwagą, wreszcie zaczęto uwzględniać, łatając zamierzony plan przebudowy świata sobotnim sztychem na niedzielny targ i coraz dalej odeń odstępując, a nawet wywołując antagonizmy wśród samych dyktatorów świata. Okres przedwojenny uznano w końcu nieomal za ideał równowagi politycznej, zapominając lub nie chcąc stwierdzać, że logicznie doprowadził do katastrofy. I Polska została bodaj czy nie jedynym w Europie krajem, co uznał rok 1918 za likwidację ostateczną poprzedniego okresu dziejowego i wszedł do epoki nowej, jako stabilizowanej i trwałej, gdzie można czaty zluzować i zasiąść wygodnie a pewnie do zajęć codziennych.

Niepowodzenie zasadniczych projektów Wilsona nie wynika wszakże z ich utopijności. Lecz chwile wielkich rozstrzygnięć ludzkości poprzedzane są długimi okresami mozolnej pracy, częstokroć podziemnej, poszczególnych narodów, przygotowującej urzeczywistnienie ich pojęć i programów wobec bądź to ich potrzeb lokalnych bądź tak lub inaczej ujętych ideałów współżycia międzynarodowego. Otóż takim budowniczym w pracy poprzedzającej wojnę światową były przedewszystkiem Niemcy, a że program ich godził w interesy narodów innych, stało się dla tych przyczyną wielu klęsk. Byłyby one bez porównania straszliwsze, gdyby czynność przedwojenna niemiecka nie była do pewnego stopnia parwana przez analogiczną akcję zapobiegawczą narodów pozostałych, której wyrazicielem był np. Edward angielski, u nas dążności wolnościowe. Pomimo to Zachód czekał biernie na atak niemiecki i dziś się jeszcze tłómaczy w rozważaniach o winowajcach wojny, że jej niczem nie wywołał. A czyż nie ucierpiałyby mniej i nie wygrałyby wojny z mniejszem ryzykiem i tańszym kosztem, gdyby na podstawie analizy uprzedniej warunków trwałego bezpieczeństwa Europy najprzód wytworzył program przebudowy jej, trwały pokój gwarantującej, i wykonał go następnie, ubiegając atak niemiecki inicjatywą własną? Traktaty zaś, naprędce sklecone, dobrze, że cel szlachetny postawiły, ale osiągnąć go nie umiały, nie doceniając czynników pokoju, upatrując je niewłaściwie, a przez to i oszczędzając faktycznie czynniki zaburzeń nowych.

Pomimo to do urzeczywistnienia celu swego przyczyniły się w bardzo znacznym stopniu. Można już snuć nadzieje, że ludzkość od dziś zdoła bez wielkich wstrząsów, w drodze ewolucyi, zatargi i tarcia rozstrzygając polubownie, ustalić układ taki stosunków międzynarodowych, który wojny wyłączy. Atoli ewolucya nie jest czemś odbywajacem się mechanicznie, wobec czego wystarczy jeno snuć przewidywania jej kierunków i tempa, jak to w społeczeństwie naszym, przyzwyczajonem w niewoli do podlegania zapadającym zzewnątrz de-

czyjom, jest we zwyczaju. Wprost przeciwnie, żeby stosunki europejskie mogły rozwijać się w drodze ewolucyjnej*), narody, którym na tem zależy, włożyć w to muszą maximum świadomej celów pracy, a jednak pokój pozostanie tylko jedną ewentualnością. Wprawdzie u nas jest bardzo pospolitem opieranie rachub politycznych na jednym przewidywaniu, nawet w zakresie zdarzeń od nas powstających niezależnie, jak to podczas wojny czyniły nasze smutnej pamięci orientacje. W tym wszakże wypadku zbyt wiele faktów nas przekonywa o realności przypuszczeń, że nowa wojna jest możliwością i że raczej teoretyczną tylko jest prezumpcja pokoju.

Powszechna niepewność gruntu panuje w Europie. Od rozejmu 1918 r. do dziś trwa stan nienormalny, raczej wyglądający na nowej pożogi zarzewie, niż na likwidowanie się poprzedniej. Z Niemcami stosunek jest nieuregulowany: ani się nie cofa ich zobowiązań, ani nie dopilnowuje wykonania w sprawie spłat i zbrojeń; granica ich zachodnia jest głęboko obsadzona wciąż tymczasowo wojskiem okupacyjnym, wschodnia drgnęła w posadach, skoro się już o niej dyskutuje. Francja z Anglią nie mogą wytworzyć tu wspólnych punktów widzenia, Włochy i Belgia lawirują, Ameryka umywa ręce. Rosja sowiecka jest anomalią drugą, czemś przejściowem, cudacznem, ale rozsadza przecież pokój świata i wyłamuje się zgoła ze spółzycia narodów gospodarczego: jest w stanie wojny podjazdowej ze wszystkimi. I do niej stosunek mocarstw nie jest określonym. Czujemy, że jesteśmy na wulkanie, że tak jak jest długo być nie może, a to przygotowuje tło psychiczne do gwałtownego wstrząsu i tragicznych rozwiązań.

W najmniej bezpiecznej sytuacji, na gruncie wręcz grzązkim, znajduje się Rzeczpospolita. Szczelnie okolona jest krajami, z którymi obcowanie bądź wytwarza niezliczone trudności, bądź zgoła jest nieuregulowane. Ze wszystkich granic Rzeszy najdłuższą jest polska. Ze wszystkich rubieży europejskich Rosyi największą rozciągłość ma nasza. A te dwa kordony otaczają nas z zachodu, wschodu i częściowo z północy, gdzie nadto sąsiadujemy z Litwą, z którą nie podjęliśmy dotąd normalnych stosunków. Łotwy i Rumunii ledwie dotykamy, i to zdala od ośrodków naszych. Z przylegającą od południa Czechosłowacją jesteśmy w przyjaźni bardzo chłodnej. Nadto wewnątrz kraju mamy szereg kwestyi, które przy niesprzyjającej nam sposobności staną się zapewne międzynarodowemi, na razie zaś poniekąd tamują funkcjonowanie państwa konstytucyjne.

*) Przez rozwój ewolucyjny stosunków uważa się gdzieindziej i rewizję traktatów przez Ligę Narodów. Trudno, żebyśmy uważali za objaw ewolucyi przyznanie przez nią powrotne Pomorza Niemcom. Nawet gdyby presja zewnętrzna zmusiła nas do oddania go bez oporu, uznamy najwyżej, że zjawił się nowy sposób prowadzenia i wygrywania wojen.

Wszystkie okoliczności te, stanowiąc jądro zagadnień europejskich, znajdując się ze sobą w niewątpliwym związku — nietylko logicznym — ostrzem swem biją w nasze mury. Jesteśmy więc w środku zainteresowań europejskich, co więcej, jesteśmy ich głównym w tej chwili obiektem. Jakikolwiek są zamiary Niemiec dalsze, na razie budują naszym kosztem pierwszy etap rewanzu. Jednocześnie we wszystkich projektach czerwonego imperyalizmu my również odgrywamy rolę programu — minimum zdobyczy komunistycznych po drodze tak do Francji, jak do Indyi. I w sporze francusko-angielskim, gdzie wysoka protektorka nasza krok za krokiem ustępować musi przed potężną antagonistką, gdy roztrząsają kwestyę rosyjską albo niemiecką, nasz kraj, jego granice i stanowisko, jest pierwszym jej — szczegółem. Cóż mówić o Litwie, Gdańsku lub Małopolsce wschodniej, gdzie zajmujemy zaszczytną pozycję jedyne go tematu agresyi?

Właściwie my wiemy, że gromadzą się dokoła nas znów groźne pikiety, że murów granicznych nie mamy zbyt mocnych, by ewentualny nacisk odeprzeć, że żyjemy na drodze wielkich antagonizmów światowych. Ale świadomość ta ślizga się po powierzchni jego, nie przejmując nas do głębi, nie wywołuje, jako reakcji, intensywnej w polityce międzynarodowej aktywności. Wbrew tej świadomości kieruje postępowaniem naszym właśnie jakieś przeświadczenie bezwiedne, pomimo wszystkich utyskiwań na usterki sytuacji politycznej, — że w istocie zdobycie niepodległości i zjednoczenia jest spełnieniem marzeń naszych, a więc i końcem polityki. Wystarczy na pierwszy rzut oka najwyżej odpędzać, jak muchy dokuczliwe, zamachy na nasz stan posiadania, w miarę konieczności bezpośrednich, z dnia na dzień, od wypadku do wypadku. W nastrojach tych wydaje się, że im dłużej trwać będzie układ stosunków powojenny, im bardziej w umysły europejskie wrazać się będzie nasza w nim obecność, im mniej zaś będziemy ryzykowali wystąpien zewnątrznych, tem mocniej gruntuje się byt nasz i całość państwowa. Natomiast jakieś programy zasad polityki polskiej wydają się, wskutek zapewne zmęczenia powojennego szerokiej opinii, raczej spóźnionemi żalami, że się czegoś w swoim czasie nie osiągnęło, zgoła już nieaktualnemi. A przecież odnawiająca się w tem metoda postępowania naszego zawiodła nas w wieku XVIII fatalnie, i opłaciliśmy ją chyba taką ofiarą, że zapomnieć o niej czas raz nazawsze. Nasze usposobienie stanowi być może wizerunek ludzkości przyszłej, ideał nasz pradawny powoli — nie naszą zasługą — i gdzieindziej się szczepi: gdybyśmy byli w położeniu Norwegii, Hiszpanii lub Stanów! . . . Ale w tym splocie warunków, w jakie los Polskę rzucił, niema miejsca na désinteressement. Czemżeż jest? albo przeświadczeniem o niechybnej, ostatecznej przegranej, której się niczem nie zapo-

biegnie; albo raczej niezdecydowaniem bojaźliwym, czy poruszenie jakiegokolwiek nie podetnie nam obecnej równowagi rzekomej i przez nieobliczenie konsekwencji umiejętne zamiast ewentualnych strat połówicznych nie zaciągnie nam sznura na szyi. I tak umywamy ręce od losu własnego, jakbyśmy nie na swoim siedzieli!

Kiedyz istotnie myśleć i mówić o programie, jak nie teraz, w chwili pewnego zacisza, w atmosferze stosunkowego pokoju? gdy go dziś nie zrobimy, za późno będzie budować go, gdy dom się będzie walił. Wówczas nam względy taktyczne nawet formalnie zakazą pewno w imię Burgfriede niewczesnego ujawniania Kriegsziele. I jeśli nawet napaść odeprzemy zwycięsko, nie będziemy umieli środków przedsięwziąć, ażeby się nie powtórzyła lub bodaj za następnym razem mniej była groźna, jak nie wyzyskał Jagiełło grunwaldzkiego zwycięstwa. Właśnie bezprogramowość czyż nie miała za przyczynę tego, że postulat nasz niepodległości był negatywny jeno i zgoła ogólnikowy, zastanawiać się zaś nad jej warunkami zewnętrznymi i wewnętrznymi zaczęliśmy dopiero, gdy była już faktem dokonany? A dziś czy brak programu nie stanowi biernego czekania na to, że ktoś stan rzeczy istniejący zechce zmienić — chyba że nie po naszej myśli? Patrzymy, że przez beczynność swą zaczynamy być uważani w układzie międzynarodowym niemal za zbędnych.

Nie chodzi zresztą o czynność pokazową gwoli przypodobaniu się komukolwiek. Jedyne o ocenę sytuacji naszej, która, nawet gdy nie pragniemy jako naród istotnych zmian w stanie swojego posiadania, nakazuje nam jako państwu intensywną energiczną pracę nad wytworzeniem takich warunków zewnętrznych i wewnętrznych, któreby je zabezpieczyły, a więc i udział w polityce międzynarodowej, w jakichkolwiek kształtach się dziś objawia, w splotach zawikłych kombinacji różnostronnych, w samym przygotowywaniu na daleką nawet metę konstelacji dla ideału naszego pomyślnych, w zapobieganiu szkodzącym, bo i cele szlachetne wymagają i reklamy i taktyki, nadewszystko zaś konkretnego programu państwowego, nie od święta lub wypadku, nie żeby był, jak konstytucja 17 marca, lecz by przeniknął wszystkie żywotne i pragnieniem życia tchnące struny organizmu naszego, uduchawiał całą czynność naszą i — żeby był wykonywany w miarę sił i skrętnie wyszukiwanych możliwości.

II.

Nie wysilajmy się na wytworzenie programu nowego. Nie tkwią w naszym poczuciu państwowem definicje z zewnątrz podpowiadane zadań Rzeczypospolitej, jak ekspansja i samostarczalność, obrona sławizmu lub kultury zachodniej, walka z przewrotem wschodnim czy też łączenie dwu światów i t. p., nie one ciągnęły nas za oryentacjami i w wojnach, ani nie odniosą nadal powodzenia, chyba jako przejściowe atuty taktyczne. Celem zaś jedynym, jaki wykrzesać dla polityki naszej z instynktów narodowych się daje, bo w nich żyje, i który przeto postulatem naczelnym naszego programu państwowego zostać winień, jest p o k ó j. Czyli że wychodzimy jedynie z założeń zabezpieczenia naszej wolności. Sytuacja geograficzna postawiła bowiem nas wobec wyjątkowego, nie dającego się z innymi krajami porównać, zadania odwiecznego ustawicznej obrony bezpieczeństwa swego przed drapieżną bestią ludzką i wkłada na Polaka każdego obowiązek żołnierski nieustannego osłaniania pracy swej piersią własną, jak zmusza Holendra lub Egipcyanina do walki czynnej o wydzieranie terenów naturze, Eskimowi i Japończykowi narzuca przystosowywanie się do groźnego żywiołu, Hindusowi zaś oraz Afrykanom ochronę przed nieposkromionym światem zwierzęcym. Pamiętać jeno należy, że dążność do pokoju wyradza się łatwo w pacyfizm, szkodliwą utopię, co nawołuje do zgody narodów natychmiastowej na podstawie istniejącego ich posiadania i przeto osłabia jeno obronność krajów, budzących apetyty notorycznych zaborców, tym zaś uświęca podboje wojenne dokonane i ich ofiar dobijanie. Przez pacyfizm Polska zginęła, pacyfizm sankcjonował rozbiory jej i ucisk. Hasło pokoju natomiast wiąże się z wolnością narodów, jako warunkiem wstępnym. *l'ordre règne à Varsovie* jest pokoju przeciwstawieniem. Podstawą tego hasła jest oczywiście usposobienie pokojowe. Ale pokojowość jest biernością, skłania do mięk-

kości, ustępstw wszelakich, cofania się, byle do wojny nie doszło przynajmniej na razie, pokój zaś jako ideał, wymaga wielkiej energicznej daleko patrzącej czynności, nie tylko zawierania sojuszków obronnych i odpierania napaści od granic, ale po zbadaniu warunków, w jakich ten postulat polityczny może się urzeczywistnić, ich czynne, nawet w potrzebie zbrojne, wcielanie w byt. Jagiellończyk bardziej przysłużył się sprawie pokoju, demolując gniazdo krzyżackie, niż Zygmunt, godząc się na sekularyzację Prus, a Stany uczyniły dlań więcej, dobijając Niemcy na froncie, niż oszczędzając je następnie w formułowaniu traktatu.

I dziś najwięcej, najbardziej bezpośrednio pokojowi naszemu zagrażają Niemcy, które jak przed wojną przodują znów w inicjatywie politycznej. Postanowienia pokojowe, rzekomo lecząc je za pomocą „demokratyzacji“ z nałogów drapiestwa państwowego, nie tylko oszczędziły je na granicy wschodniej, ale w postaci plebiscytów dały im wszelką możność swych zwykłych metod nowego zastosowania, natomiast uspiły wobec nich czujność wielu narodów. Żądzy zaborczej nie ograniczając jednym kierunkiem, w naszej granicy więc upatrują punkt najmniejszego oporu i tu pierwsze kierują uderzenie. Pó myśli im nasza pokojowość, którą biorą za słabość i nieobronność, nie za dążność do zgodnego obcowania. I gdy myśmy się zaprzęgli do pracy wewnętrznej, Niemcy nie spuszczają nas z oka, mając cel jeden, powszechny, przejmujący całą ich czynność polityczną. Grają na dziesięciu klawiszach. Wiele uzyskały już przez swą Paraderevolution w samym traktacie. Granicę naszą tak wykrzywiły, że utrudniły jej obronę oraz pretekst zdobyły do jej — naszym kosztem — prostowania. Dla wygrania obszarów plebiscytowych nastroić zdołały nie tylko wiele rządów obcych, lecz za pomocą zwalczania waluty naszej, przekupstwa i kokieterii politycznej częściowo i samą ich ludność. Ale i po ustaleniu granicy nie mamy chwili wytchnienia. To tylko rozszerzają przyznane im uprawnienia w Gdańsku, to znów interpretują na korzyść swą wyrok w sprawie Śląska, to „bronią“ mniejszości niemieckiej w Poznaniu i na Pomorzu, to biją w walutę naszą lub wszczynają z nami wojnę celną, to agitują przeciw nam wszędzie na Zachodzie, bo to my jesteśmy rzekomo zakałą pokoju i ciemnizcami narodów, zabiegają tam o przyjaźń i o poparcie swych postulatów niesłusznych, wreszcie otwarcie domagają się rewizji granicy polskiej, przedewszystkiem „zwrotu“ Pomorza i Śląska.

I osiągają sukcesy. Ustawicznie procesując się przeciw nam w Genewie i Hadze, nie tylko wyrabiają nam opinię krzywdzicieli Niemców, ale i doraźne zdobywają korzyści realne. Gdańsk według traktatu Wersalskiego a Gdańsk w rzeczywistości obecnej to jest z jednej

strony Gdańsk w Polsce na specjalnym statucie, gwarantowanym przez Ligę Narodów, a z drugiej — to jest nieomal że Gdańsk w Niemczech o specjalnych korzyściach, udzielanych mu przez Polskę z tąż gwarancją Ligi Narodów. Mniejszość niemiecka w Polsce ma już to nie wolność językową, ale przywileje polityczne i majątkowe, o których marzyć nie może Polak. Faktycznie Polska jest dla niej tylko pierwszą instancją, niedecydującą, — apelacyjną jest Berlin, który chcąc z niej mieć awangardę podbojową przedstawia każdy wyrok polski do kasacyi Lidze lub Trybunałowi Haskiemu, a nadto upomina się dla niej o nowe przywileje polityczne w — traktacie handlowym. Jednocześnie propaganda przeciw Polsce w Niemczech tworzy to, że naród, dopiero co zmiżdżony w wojnie, zbroi się i sposobi z zapalem do nowego ataku na nasze ziemie. Na Zachodzie zaś ta akcja niemiecka w wielu umysłach i ugrupowaniach zaczyna w końcu budzić mniemanie, że może istotnie traktaty tu przesadziły, naprawdę utrudniły Niemcom życie, że to był „błąd górnośląski“ i „nieszczęsny korytarz“, że może dałoby się Niemcy ugłaskać, skoro się je usunie, i w ten sposób, zachowując spokój w całej Europie pozostałej, — zlokalizować zatarg. A to myśli się tak pospolicie w Anglii, coraz częściej zaś i nietylko w Anglii. A stąd niechęć do nas, jako przyczyny budzonego przez Niemcy niepokoju, zastępuje ten kapitał międzynarodowej sympatii, przez wiek ubiegły nagromadzonej, z którym odbudowaliśmy państwo. Więc, atakując Pomorze, zdołały po myśli swej cały świat niemal poruszyć. Szantażują Europę, to grożąc jej w Rapallo zalewem komunistycznym, to znów przybierając maskę ewentualnych pogromców Rosyi za pewną cenę — nieograniczania zbrojeń ich i zwrotu naszej dzielnicy. Sprzyja im w tem Rosya i Anglia, jednako wierząc w zatargu swoim w czynne Niemiec poparcie, a my, co tu naprawdę pełnimy nielada służbę, uchodzić zaczynamy gdzieniegdzie za szkodliwą zaporę do rzekomego uporządkowania i pacyfikacji Europy.

Polityka rzadko kiedy była mocną naszą stroną. Niezawsze się ma Janów Zamoyskich. Specjalnie w ostatniem pokoleniu nie możemy się poszczycić doborem intelektów politycznych wśród mężów stanu, dowodem orientacye wojenne i oba Sejmy. Przez lat kilka zmieniliśmy kilkunastu ministrów spraw zagranicznych, gdy w Czechach wciąż rządzi Benesz, to znaczy, że nie mieliśmy linii politycznej, jako naród, ponieważ do wykonania planu gotowego niepodobna, żebyśmy nie znaleźli człowieka. Bo o ile chodzi o kółeczka mechanizmu obronnego, to one się dobrze kręcą, i ducha narodu, to jest mocny. Ale samo „nie damy się“ nie starczy za program. Przecież nie stoimy dopiero w obliczu wojny. Wojna jest już faktem. I wojnę tę przegrywamy. Wiele przegraliśmy w traktacie, więcej w plebiscycie, następnie w instan-

cyach międzynarodowych, wiele dla spokoju częstokroć ustępując z góry na miejscu. Gdy zaś Gdańsk nas szykanuje czyż nie jest cofaniem się od samej walki nawet przenoszenie zainteresowań do Gdyni olbrzymimi nakładami pieniężnymi? Kontrofensywy nie prowadzimy. Choć w stosunku przynajmniej do Gdańska i niemieckiego Górnego Śląska mamy wszelkie po temu prawa, a Niemcy dostarczają niestety zbyt wiele możliwości. Suchotniczej zaś propagandy publicystycznej o Polsce nikt przecież nie czyta, trzeba pisać o Niemczech, niemi się świat wiecej interesuje. Cóż przeciwstawiamy walce niemieckiej przeciw granicy naszej? Mówimy, że jest dobra, kiedy boleśnie czujemy, że tak nie jest. Powołujemy się na świętość traktatów, którą Niemcy już w świecie podważyły. To wszystko też robimy od niechcienia, biurokratycznie. Cechuje nas bowiem niezależnie od odłamu opinii pogoda ducha, wyradzająca się częstokroć w ugodowe sankcjonowanie każdej rzeczywistości. Jakichże tortur potrzeba było, ażeby odrestaurować w nas czynne dążności niepodległościowe, a mimo to skromną stanowiły w naszym życiu przedwojennem pozycję. Czy nie oswajano się potrosze tu i ówdzie i z okupacją, — następnie ze stanem wojny z Rosją, zanim nie zagroziła murom stołecznym? i ze spadkiem waluty, aż doprowadził do katastrofy? i z ustrojem o niewprowadzonej w życie konstytucji? i kresami czy nie zaczęliśmy się zlekka interesować również dopiero w obliczu szerokiej kreciej roboty obcych i niepospolitego rozgardyaszu? a obecnie czy nie zaczynamy uznawać za normę bytowania naszego stałej podjazdowej agresji niemieckiej? Zaiste przezorność nie jest naszą zaletą narodową. A przecież bez niej nic się trwałego nie zbuduje. Najgorsza zaś, że innych podług siebie sądzimy, przeocząc, że tymczasem przygotowują i wykonywują na daleką metę obliczone plany.

Tak, jak stoi sprawa obecnie, gdy krzepnie z dnia na dzień pozycja Niemiec, gdy coraz się cofamy przed nią, — staczamy się systematycznie do nieodwołalnej przegranej. Metodami dotychczasowymi ją zdołamy najwyżej odroczyć nieco, jakkolwiek czas dzisiaj nas nie wspomaga, raczej sprzyjając Niemcom. Rachujemy chyba na nieprzewidziane jakieś czynniki, które w ostatniej bodaj chwili niebezpieczeństwo odwrócą. Optymizm nieuleczalny każe nam liczyć najwięcej na same Niemcy, że przez siebie właściwą niezgrabność dyplomatyczną zaawanturowują się przesadnie i zwrócą przeciw sobie świat, albo znów wierzyć, że wobec osłabienia ich powojennego nawet sam na sam z nimi damy sobie w końcu radę na udeptanej ziemi. A jeśli rachuby się okażą zawodne? Czy przejdziemy nad force majeure do porządku dziennego? Przecież oderwanie nam Pomorza i Śląska nie jest utratą prowincyi lub choćby mocarstwowego stanowiska, jest to kwestya ist-

nienia, przesądzenie losu państwa, poddanie nas Niemcom, początek rozbioru. Więc, otwierając oczy na powagę sytuacji, niewolno nam nawet myśli o porażce dopuścić. Czyż mamy czekać bezwładnie, aż będziemy się bronić rozpaczliwie przeciw fatalnie, z zegarkiem w ręku, zbliżającej się napaści? Nie wiemy oczywiście, czy Niemcy zaatakują nas ostatecznie przez instancje międzynarodowe czy bezpośrednio, — zależy to tylko od ich obliczeń większego sukcesu. Musimy tedy podobnie do nich gotowi być do walki na obydwu fronty. Należy ocenić, jakimi sposobami da się najazdowi formalnemu zapobiedz: inicjatywa własna w warunkach dzisiejszych byłaby oczywiście szaleństwem; przeciwdziałać możemy tylko za pomocą silnej nieugiętej postawy i sojuszków. Na Zachodzie zaś szkodzi nam najwięcej, że właściwie politykę całą sprowadzamy do usprawiedliwiania się z ustawicznych niemieckich zarzutów, nie schodząc z ławy oskarżonych. Ale słuszność sama nie jest bronią dostateczną, gdy nie bierzemy udziału ważkiego w całej zakulisowej grze mocarstw. A że polityka zawiłym jest spletem, lecz powiązaniem, po całym świecie rozproszonych interesów i antagonizmów, — nie patrzmy prostolinijnie w punkty zaczepione granicy swojej. Tak dziś czyni niewyrobiona dyplomacya nasza i — nie wygrywa, — gdy po rozejrzeniu się łatwiej może będzie ich skuteczniejszą obronę zgoła skądinąd poprowadzić. W każdym razie przeciwstawieniu się gorliwie przygotowywanemu zamachowi Niemiec na byt nasz podporządkować musimy wszelką politykę inną, tak wewnętrzną, jak zewnętrzną, odpowiednio do zadania tego modyfikując ją i rozwijając, — ażeby ewentualna inwazyja zastała nas spokojnych o inne fronty, graniczne oraz wewnętrzne, wspomaganych przez niezawodnych przyjaciół i pewnych dobrze wymierzonego zwycięstwa, a zdolnych do jego umiejętnego wyzyskania.

III.

Jesteśmy przy końcu pierwszego etapu polityki powojennej. Znaczący go przede wszystkim, z zastrzeżeniem cech poprzednio konstatawanych, określenie i obrona granic Rzeczypospolitej — od wyzwolenia pierwszych ośrodków polszczyzny do sankcji międzynarodowej naszego posiadania. Od tamtej chwili nie umiemy dotychczas wzejść na następny logiczny etap ewolucji państwowej, — czy to skutkiem błędów przez niedoświadczenie w pierwszym okresie popełnionych, czy dla innych przyczyn, — do ustalenia pozycji swej w Europie i zdobycia trwałych rękojmi swojego bezpieczeństwa. Nie postępując, cofamy się, na razie względnie, w porównaniu z sąsiadami. Od tego więc, czy zdołamy w czas jeszcze na drugi etap polityczny się wynieść, zależy pewność i stałość naszego państwowego stanowiska, a raczej samego istnienia.

Najbardziej charakterystycznym znamieniem mijającego okresu, — bo po nim taki czy inny nastąpić drugi musi, cokolwiek go cechować będzie, rozwój nasz czy upadek, — a zarazem najdonioślejszym posunięciem dotychczasowej polityki naszej było oczywiście zawarcie przymierza z Francją, odnowienie tradycyjnej przedrozbiorowej przyjaźni. Nie tylko po linii najmniejszego oporu szliśmy w tem, ale i największych zainteresowań wspólnych. Francya bowiem podobnie do nas pragnie zabezpieczyć się przed niemiecką napaścią, jak przed jej ewentualnem powodzeniem: jest więc naszym sojusznikiem naturalnym.

Istotnie, przymierzu z Francją zawdzięczamy wiele odniesionych dotychczas korzyści. Wątpliwe, czy bez energicznego poparcia jej osiągnęlibyśmy tę nawet część Śląską, jaką ostatecznie uzyskaliśmy. Pomocy udzieliła nam pewnej i przy obronie przed Sowietami, a również przeciw pretensjom niemieckim na forum Ligi. To też swym zwykłym trybem „bez zastrzeżeń“ zdołaliśmy się na potęgę francuską.

Były momenty, kiedy nie licząc zbyt na siły własne wierzyliśmy ślepo, że Niemcy w pragnieniach względem Polski zaborczych całkowicie są przez nią sparaliżowane, przez co gotowiśmy byli do samobrony nie przywiązywać wagi zbytnej, pewni, że Francya nie dopuści Rzeszy do wrogich poruszeń. I dziś to pozostaje na szczęście jedną a pożądaną z ewentualności.

Lecz najpiękniejsza dziewica, jak mówią Francuzi, nie może dać więcej, niż ma. Innemi słowy, powinniśmy wziąć w rachubę to przede wszystkim, że Francya sama w obecnej konstelacyi międzynarodowej nie jest dość silna: przecież napewno chciała, ale nie zdołała uratować nas ani od plebiscytów, ani w plebiscytach; prócz finansowych, skrzętnie przez współzawodników wyzyskiwanych, ma poważne komplikacje polityczne; nie dierży pierwszych skrzypiec w Lidze; zmuszona bywa do ustępstw w stosunku z Wielką Brytanią; ma kłopoty afrykańskie. Gdyby okoliczności postawiły ją więc wobec wyboru pomiędzy sojuszem polskim a strzeżeniem interesów własnych, nie powinniśmy się dziwić, że nas poświeci.

Nie dowodzi to wszakże bynajmniej bezużyteczności dla nas przyjaźni francuskiej, jeno że i o własną odporność dbać należy i na niej w pierwszym rzędzie polegać. Gorzej, atoli z tem, choć naturalne, że Francya zapatruje się na nasze przymierze utylitarnie. Przestajemy być dla niej tedy zanadto niezbędni z chwilą, gdy znajdzie inny sposób zabezpieczenia się przed Niemcami. Próbowwała oddzielić się od nich niepodległą Nadrenią. Skoroby to osiągnęła, a przez to naprawdę uzyskała pewność pokoju, nie wątpię, że w potrzebie przysłaby nam z mniej lub więcej wydatną pomocą, ale czy nie tylko jako drugorzędnej rezerwie? Dziś odgranicza się od Niemiec paktem bezpieczeństwa, czyli gwarancją angielską, którą Francya oczywiście szacuje wysoko. Niewątpliwie, będąc na tyłach niemieckich, nie tracimy przez to dla niej swej całej wartości, i nie z uczuć rycerskich samych zastrzega sobie ona prawo przemarszu przez zdemilitaryzowaną Nadrenię. Ale że Anglia, używając nadto perfidnych środków zniewolenia, pragnie, z gruba mówiąc, pomiędzy sobą a nami jej kazać wybierać, my zaś wielkiej nie stanowimy potęgi, wierzmy, że Francya wysiłków dołoży wszelkich przy formułowaniu paktu bezpieczeństwa w kierunku dla nas pomyślnym, ale nie zamykajmy oczu na to, że może i niewiele wyjednać. Jakkolwiek nie ulega wątpliwości, że i w tym razie sympati jej i pewnych rodzajów pomocy napewno nie utracimy.

Bądź cobądź z tego widać, że gdy my uprawiamy znów „oryentację“, spuszczając się na Francję całkowicie, nie próbując nawet szukać innych gwarancji granicy zachodniej, chyba za pośrednictwem francuskim, Francya prowadzi politykę różnostronną, w której jesteśmy nie

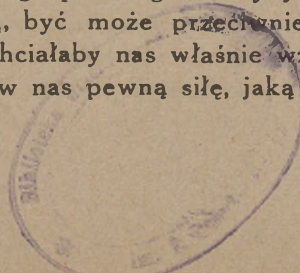
czemś jedynem i niezastąpionem, lecz — aczkolwiek poważnym — szczegółem. Stawia to nas w przymierzu nie na równorzędnym z nią zgoła stanowisku. Nie nadużywała wprawdzie Francya tego do narzucania nam swoich punktów widzenia w dziedzinie naszych interesów państwowych. Posiadając atoli w przeciwstawieniu do Polski sojuszników innych, w naszych z nimi tarcjach niekoniecznie z nami trzymała. Miała wogóle możność przebierania pomiędzy sprzymierzeńcami. Zgoła zaś dwuznaczną była polityka jej reprezentantów wileńska. Dawiała do myślenia, czy wspólną granicę rosyjsko-niemiecką istotnie uważa Francya za przeciwną swym interesom państwowym, co w konsekwencji godziłoby i w Pomorze. Tęsknota jej do silnej Rosyi na tyłach niemieckich, zaprawiona wiarą w odnowienie aliansu z nią przedwojennego, czy nie podsuwa Francuzom wrażenia, że rola tu Rzeczypospolitej jest raczej chwilowa zastępcza, oraz nadziei, że na właściwe sobie rzekomo stanowisko da się niebawem Rosyę powrócić. Emigracya rosyjska te nadzieje podsyca, zdyskontować przecież je mogą jeszcze Sowiety: czyż naturalniejszym wiele był sojusz Republiki z caratem? Niepotrzeba dowodzić, że będzie to względem niej szantaż, — ale czy Francya nie uwierzy w to, czego tak bardzo pragnie? W tym zaś razie w zainteresowaniach francuskich rola nasza stałaby się podrzędną, a w ewentualnie trwającym przymierzu Polska zesłaby na stanowisko bardziej jeszcze niż dziś zależne.

Zdaje mi się, że mieliśmy możność opłacić sobie sojusz z Francją przynajmniej większymi korzyściami. Wieluż z nas cieszyło się szczerze, gdy na fotelu ministra spraw zagranicznych zasiedli kolejno Seyda i Dmowski, gdyż narodowa demokracja z pośród wszystkich stronnictw naszych w stosunkach zachodnich była jedynie aktywna, zarówno w zdecydowanym oparciu i programowem i faktycznem o Francję, jak znów w szczególnie podkreślonej dążności do wzmocnienia polskiej wobec Rzeszy pozycji. Wydawało się tedy, że nastał moment naprawienia naszych krzywd traktatowych i potraktatowych na froncie niemieckim, pod faktycznym protektoratem Francyi. To też za największy zawód przez narodowej demokracji wodzów Polsce sprawiony uważać należy, że dochodząc do władzy w okresie represyi Poincarégo, nie wyzyskali chwili dla właściwego z naszego stanowiska wystąpienia, regulującego szczególne bolączki bytowania państwowego Rzeczypospolitej, a raczej zmarnotrawili moment, kto wie czy nie ostatni po temu w dziejach. Historia to kiedyś stosownie oceni, jak gani błędy pruskie Kazimierza Jagiellończyka, który wprawdzie Pomorze zdobył, ale go należycie nie zabezpieczył. Prawdopodobnie rzecz się tak miała, że rząd nasz chciał z sytuacji odpowiednią korzyść wyciągnąć, ale poselstwo francuskie mu odradziło. Pozornie zaiste komplikacją nielada

byłoby wówczas dla Francji, gdybyśmy ją na ochotnika ze wschodu poparli. Ale po-pierwsze widoczne już jest teraz, jeśli domysł powyższy jest trafny, że Francja się conajmniej myliła; po-dругie, wolno nam było przecież rzecz po-swojemu ujmować i należało korzystać z chwili do pilnowania interesów własnych, choćby się na to krzywiono. Litwini to w Kłajpedzie z powodzeniem zrobili.

Nie odnosząc więc, z własnej zresztą tylko winy, z sojuszu francuskiego należytych korzyści, równocześnie przez traktowanie się w nim, zamiast równorzędnego jako lenno raczej, narażaliśmy inne swoje związki międzynarodowe. Tak więc naskutek tych jednostronnych zależności politycznych nie zawieraliśmy dość intymnych stosunków z Włochami, coby nam w czasie plebiscytów wielce dopomogło. Przecież się Włochy nami interesowały i bodaj czy nie jedynym były krajem, co w początkach wojny jeszcze z inicjatywy własnej wydał wielką pracę zbiorową za niepodległość Polski. To samo dotyczy Ameryki, której zawdzięczamy najbardziej stanowcze sformułowanie przy rozejmie postulatów naszej niepodległości, w czym wyzwolenia Pomorza.

O wiele więcej zainteresowań wspólnych łączy nas z Wielką Brytanią, z którą przeciwnie dysonans angielsko-francuski postawił nas pośrednio w antagonizmie. Wprawdzie spór toczy się o nas i Anglia występuje przeciw mężnej obronie francuskiej interesów naszych. Wszakże wartoby było poważnie się zastanowić, czy to koniecznie my mielibyśmy być tematem ich nieporozumienia i czy Anglia, zabiegając o pozyskanie nawet Łotwy lub Finlandji, żywo interesując się Bałtykiem, popierałaby tak stanowczo w każdych okolicznościach przeciw nam Niemcy. Wojna dowiodła przecie, że potędze Niemiec Anglia bynajmniej nie sprzyja. Ale gdy Francja celem wykonania traktatu wersalskiego chce trzymać Niemcy w bezwzględnej od siebie zależności, nadto pozyskuje jako sojuszników Polskę i Czechy, a pragnie odtworzyć sprzymierzeńczą Rosję, rozciągając wyłączny wpływ swój na całą niemal Europę, to powodzenia francuskiej polityki kontynentalnej irytują Anglię i budzą jej przeciwdziałanie. Woli ona z dwojga złego, by Niemcy tu Francję równoważyły. I może to dlatego nie dostaliśmy całego Śląska, a dziś mamy zagrożone Pomorze i stałe zatargi z Gdańskiem, że Anglia, widząc w nas tylko placówkę francuską, uważa, iż w ten sposób osłabia Francję i przeciwstawia jej większą siłą niemiecką: „ty bijesz mojego żyda, ja obiję twego“. I tracimy my, choć nas antagonizm tych dwóch krajów nic a nic w istocie swej nie obchodzi i wcale nam obojętna w zasadzie jest tego czy drugiego przewaga. Gdybyśmy byli sobą i prowadzili politykę różnostronną, być może przecie w imię tejsze równowagi europejskiej Anglia chciałaby nas właśnie wzmocnić, nie osłabić, oczywiście jeśli widziałaby w nas pewną siłę, jaką niewąt-



pliwie stanowimy. Obrona samodzielna a stanowcza zagrożonych dzielnic będzie tej siły naszej próbą.

Sojusz z Francją jest dla nas bardzo drogi, jest nam niezbędny, rozluźnieniu go przez Francję wskutek angielskiej presji należy zapobiegać. Lecz nie powinien być nowem wydaniem wojennych orientacji. Być może, że faktyczne jej przewodnictwo polityce naszej dało nam pomimo minusów więcej korzyści, niżbyśmy sami wskutek niewyrobienia swego uzyskali. Czas wszakże wyjść z pieluszek. Zwłaszcza stosunek swój do Francji wasalny zrewidować musimy z chwilą, gdy zań skrępowana paktem nie będzie nas miała prawa wydatnie w potrzebie wspierać. Ale i jeśli szczęściem nie dojdzie do tego, nie może nam sojusz z nią zamykać, jak nie ogranicza w tem Francji, wszelkich dróg równoległych ratunku istnienia swego, i niktby tego nie wziął za złe, że bliższe nam ciało, niż koszula.

IV.

Jednym z poważniejszych aktów twórczych w kierunku zabezpieczenia samoobrony naszej było w dziedzinie polityki zagranicznej nawiązanie stosunków przyjaznych z Czechosłowacją, a jakkolwiek było conajmniej mile widziane przez Francję, ma niewątpliwie wielką wartość samo przez się.

Niema potrzeby obecnie nikomu chyba dowodzić, jak fatalnym dla obu krajów byłby stały rozbrat polityczny. Łącznie stanowiąc wschodnią ścianę Niemiec, musimy wytworzyć jednakość wspólnego frontu. W przeciwnym razie Niemcy, wyzyskując wzajemną naszą niechęć, potrafiłyby zagrać na niej, czego rezultaty byłyby dla obu krajów tylko oplakane. Należy to uznać za aksjomat bezwzględny i w żadnej konjunkturze politycznej odeń nie odstępować.

Uzgodnienie tego frontu w pełni skutecznie odrazu wszakże się nie dało. Zbyt różnymi drogami szli Polacy a Czesi w przedwojennej Austrii, ażeby zbliżenie mogło łatwo nastąpić. Nie będziemy obecnie roztrząsali, która strona bardziej zawiniła w tem, że na austryackie *divide et impera* nie umiała reagować właściwie. W momencie rozstrzygnięć wojennych, jak się zdaje, wina była wyłącznie po stronie Czechów, którzy nie docenili potrzeby współdziałania polskiego i nie chcieli należycie porozumieć się z nami w sprawie cieszyńskiej.

Spór istniał jeszcze za życia Austrii, której dziedzictwem zawczasu dzieliliśmy się. A powstał na ziemi, gdzie oddziaływania czeskie krzyżowały się doniedawna tylko z niemieckimi, lud zaś polski od wieków stracił łączność polityczną z macierzą, postradał warstwy oświecone i narodowo był biernym. Odrodzenie patriotyzmu polskiego, podobnie jak na Śląsku Górnym, powstało na tle t. zw. demokratyzacji społeczeństwa, to znaczy z chwilą dotarcia oświaty i aktywności społecznej do ludu wiejskiego i robotniczego, który tu wyłącznie polskość reprezen-

tował. Czesi negowali ten ruch, podobnie jak my litewski, lub go parowali za pomocą rozmaitych „Ślązaków“, wzorowanych na analogicznej robocie niemieckiej na Mazurach pruskich.

Oczywiście popełnili błąd. Porozumienie z Polską powinno było być dla nich droższe od tego skrawka ziemi, zwłaszcza żeśmy szli na jego podział, nie kwestyonując poważnie praw czeskich do powiatu Frydeckiego. Z drugiej strony zapewne i Czesi w istocie nie pożąдали większej części Cieszyńskiego, niż ostatecznie uzyskali. Różnica terytoryalna jest drobna i porozumienie było bezwątpienia możliwe. Że zaś na faktycznie podlegającym sporowi obszarze znajdowały się ogniska naszego ruchu odrodzieńczego, społecznie radykalnego, a Czesi uparli się przeciw porozumiewaniu się, tedy niedość, że obce czynniki wzięły sprawę w ręce, ale — co ważniejsza — lewica polska usposobiła się stanowczo przeciw Czechom.

Przeto spór, który tak łatwo było zlokalizować, zaczął się rozszerzać. Nas zaczęła interesować Słowaczyna, boleć krzywda przesadnie okrojonych Węgier, bawić pstry skład narodowościowy Czech i kształtch terytoryalny. Czechów zaś znów oprócz Ukraińców wschodnio-małopolskich zajmować zaczęli jako nieprzyjaciele nasi nawet tak dalecy Litwini.

Szczyściem z tej niebezpiecznej pochyłości zdołaliśmy się w porę odsunąć. Istotnie, Węgrom się stała niejedna krzywda. Oszczędzając Niemcy, traktaty pokojowe zbyt surowo obeszły się z ich pomniejszych sprzymierzeńcami, z czego następnie wypadło względem Turcyi siłą faktów zawrócić, przyznając jej nanowo i Konstantynopol i Smirnę. Nieco podobnych krzywd należałoby naprawić i względem Bułgaryi, ażeby usunąć zarzewia niepokoju. Węgrom również zabrano niejedną piędź ziemi etnograficznie madziarskiej na rzecz wszystkich trzech państw Małej Ententy. Wszakże nam to wolno jedynie teoretycznie konstatować i najwyżej przyjaźnie sprzymierzeńcom naszym doradzać pewne rezygnacye lub arbitraże celem wciągnięcia Węgier do ogólnego bloku. Zasadniczo przecież rozbiór Węgier w znaczeniu uwolnienia ziem niemadziarskich nie był niesłuszny*), i Węgry za stosowanie w ostatniem półwieczu metod pruskich rządzenia zostały surowo ukarane. Zresztą de Horthy ostudził już dosyć filowęgierski zapal lewicy.

*) Właściwie we względzie politycznym zupełnie jest nam obojętny, a raczej wobec naszej zażyłości tradycyjnej z Węgrami przykry. Wszakże wobec rozbrojenia Węgier nie jest dla nas niekorzystne, że Słowaczyna wznacnia nam Czechy na froncie niemieckim, Siedmiogród Rumunię na rosyjskim. Gdyby zaś Węgry nie podległy rozbirowi ani rozbrojeniu, mogłyby być dla nas ewentualnie pomocne na froncie rosyjskim, maiejby zato, jak się zdaje, pewne były na niemieckim.

A więc nie może ny przeciwstawić się i oddzieleniu od Węgier Słowaczyny, choć pozbawia nas z nimi granicy. Jakkolwiek zaś są wsie w Tatrach, mówiące raczej po-polsku, niż po-słowacku, a wschodnia Słowaczyna ponoć językowo bez porównania jest bliższa polszczyźnie, niż Czechom, stwierdzić wszakże należy, że drogi historyczne nas tu nie powiodły i że żadnych poważniejszych zainteresowań (budzonych głównie przez wycieczkowiczów tatrzańskich) za rubieżą południową i dziś nie posiadamy.

Oburzamy się częstokroć postępowaniem Czechów względem Słowaczyny. Z tego jednak nie możemy wyciągać wniosków politycznych, już pomijając zasadę: *medice, cura te ipsum*. W szczególności nie może być zadaniem naszym popieranie słowackiego ruchu niepodległościowego. Nie znając dość dobrze istoty jego, nie jesteśmy w stanie ocenić, czy nie przykrywa wraz ze sztucznem polonofilstwem swoim w pewnej mierze poprostu pożądań odwetowych madziarskich. Powinniśmy raczej ubolewać, że Czesi nie znaleźli dotąd na Słowaczynie właściwej linii postępowania, wypaczając własny ideał „Czechosłowacy“. Przecież związek ten jest jak najbardziej naturalny. Czeskiemu bowiem wpływowi jedynie zawdzięcza Słowaczyna ostanie się przeciw madziaryzacy i tylko chyba w obecnym związku politycznym zdoła swój zasadniczy charakter plemienny zachować, odrębne zaś wartości swoje do wspólnego państwa w większej mierze wcześniej czy później wnieść.

Zresztą rzeczy te z chwilą wejścia na drogę zbliżenia się z Czechami przestały już budzić nasze zainteresowania. Bez zapалу więc prowadziliśmy i walkę o maluczkie terytoryum Jaworzyny i zeszlśmy ze stanowiska nieprzejednanego w sprawie odmówionej nam części Cieszyńskiego. Istotnie, nie pozostaje nam gwoli większym korzyściom sojuszu nic innego, jak pogodzić się z obecną granicą czesko-polską szczerze, upominając się jedynie o szanowanie praw mniejszości naszej po tamtej stronie kordonu. Ze strony zaś Czech, zupełnie przecież nasyconych, również żadnych niespodzianek w stosunku do naszego stanu posiadania nie mamy się co obawiać.

A więc kilka lat niepodległości w zakresie stosunków polsko-czeskich nauczyły nas niejednej rzeczy pożytecznej dla przyszłego układu spraw międzynarodowych. Gdyby niemniej ściśle, a raczej ścisłejsze współdziałanie obu narodów zapoczątkowane było przed wojną zamiast działania osobnego i rywalizacyi politycznej, kto wie, jakby się przedstawiały decyzje polityczne Austrii? Najwięcej atoli dotąd aktualnych a przykrych konsekwencyi ma brak współdziałania politycznego obu narodów w chwili rozstrzygnięć powojennych. Spór Cieszyński przesłonił rzeczy znacznie poważniejsze.

Czesi nie osiągnęli wbrew rozpowszechnionemu u nas mniemaniu ideału politycznego. Nie jestem pewien, o ile naseryo myśleli o wyzwoleniu Łużyc, w każdym razie oni tylko byli tego zwolennikami i szeroko sprawę wśród narodów koalicji popularyzowali. Szkoda, żeśmy się do tego nie przyłożyli. Niechby Czechy miały jeszcze ku północy wystający słupek, niechby republika ich nazywała się czechosłowackołużycką, namby to nie tylko nie wadziło, raczej dogadzało, a niekoniecznie przez to kształt tego państwa stałby się jeszcze dziwniejszy.

Bardziej zależało Czechom na doczepieniu dwóch wyrostków — jednego sobie, drugiego Jugosławii, ażeby w wieku kurytarzów zdobyć z nią połączenie bezpośrednie poprzez Austryę. Sztuczne to byłoby coprawda, ale i tu mogliśmy, gdybyśmy ze wspólnym programem występować, Czechom poparcia nie odmówić, zwłaszcza, że przedzielenie Węgier od Austrii kto wie, czy nie było i z naszego stanowiska pożądane.

V.

Nie uzyskali Czesi również kotliny Kłodzkiej na Śląsku Dolnym, dostając jedynie swoją część powiatu Raciborskiego na Górnym. Tu zaś nam powinno było zależeć na wygranej czeskiej. Wogóle niedojście do choćby lokalnego porozumienia czesko-polskiego względem Śląska pruskiego, pomimo wszelkich jednoczesnych antagonizmów i nawet zatargów na innych terenach, było prosto paradoksem historycznym, świadczącym o młodości i niewyrobieńczeniu politycznym obu narodów i na obu fatalnie mszczącym się. Wprawdzie w momencie decyzji pokojowych nie tylko Polacy sami i Czesi sami, ale i Polacy i Czesi razem działający w zwycięskiej koalicji nie posiadali głosu dość ważkiego. Atoli sprawa sama i logika rzeczy takby w razie współdziałania obu narodów ze sobą była przekonująca, że nie wątpię, iżby zupełnie odmiennie decyzje pokojowe sprawę Śląska rozstrzygnęły ku Europie całej, Czechosłowacy i Polski pożytkowi.

Przecież mało jest w konfiguracji politycznej współczesnej rzeczy równie potwornych i szkodliwych, jak owa smuga niemiecka, ciągnąca się przez Śląsk do samego Bogumina i na przestrzeni tej przedzielająca Czechy a Polskę. Wytwarza bowiem przedewszystkiem nadzwyczaj jednostronne zależności ich gospodarcze. Polska na zachodzie sąsiaduje wobec tego, z wyjątkiem ważkiej bramy Morawskiej przy Cieszynie, wyłącznie z Niemcami na linii niezwykle rozciągłej. Z drugiej strony Czechy są z tegoż powodu z trzech stron okolone szczelnie — z zachodu, północy i wschodu — kordonem niemieckim, a nadto od południowego zachodu — ciągnącą ku Rzeszy Austryą. Takie granice czynią z obu krajów, zwłaszcza wobec martwoty obecnej i jednostronności rynków rosyjskiego i węgierskiego niemieckie dependencje gospodarcze, nie dając im możliwości nawet wzajem się dostatecznie uzupełniać.

Ten motyw byłby zapewne dla sprzymierzeńców zachodnich, czułych na względy ekonomiczne, bardzo przekonujący. Dla nas zaś, jak i dla Czechów, odgrywać nadto musiał rolę drugi argument, przez Zachód wówczas z całym rozmysłem wzgardzony, — mianowicie strategiczny. W razie wojny polsko-niemieckiej front jej byłby niesłychanie długi, a więc i trudny do obrony, trudny oczywiście przedewszystkiem dla nas. Zapewne przytem Niemcy nie tylko strzegłyby do upadłego owej odnogi śląskiej, ale uczyniłyby z niej właśnie bramę wypadową, ażeby zniszczyć nasze kopalnie i oddzielić Polskę od Czech, a więc i od transportów zachodnich wogóle. Sytuacja Czech w analogicznym wypadku nie byłaby łatwiejsza, bo wprawdzie mają na tych swoich trzech frontach niezbyt zresztą niedostępne góry, ale zamieszkałe przez ludność niemiecką, kto wie czy nie gotową do przyjęcia najazdu chlebem i solą.

W tych warunkach możliwe skrócenie granicy z Rzeszą zarówno dla nas, jak dla Czech, stanowić powinno było postulat zasadniczy. A dawało się dokonać tylko na terytorium Śląska w miarę wydłużenia spokojnej i pożądanej rubieży polsko-czeskiej.

Granica niemiecka winna była przebiegać od doliny Kłodzkiej pod Wrocław i stamtąd ku Poznańskiemu, polsko-czeska zaś iść nieco na zachód od Odry z pod Wrocławia po Bogumin. Skracaloby to w porównaniu ze stanem obecnym znacznie tak granicę polsko-niemiecką, jak czesko-niemiecką, szczerlnie przysuwając do siebie Czechy i Polskę na całej przestrzeni. Mapa wyglądałaby zachęcająco logicznie*).

*) Program terytorjalny polsko-czeski raczej powinien był stawiać kwestję radykalniej, a w związku z tem i bardziej logicznie. Należało stanowczo dopominać się wyzwolenia Łużyce — obszaru nad górą Szprewą i Bobrem, obejmującego skrawki Saksonii, Śląska dolnego i Brandeburgii z Chociebużem, — następnie żądać przedłużenia rubieży ich północnej do Poznańskiego (pod Wschowę), i stąd w odległości kilkunastu kilometrów od lewego brzegu Odry przeprowadzić kordon polsko-czeski do zetknięcia się z obecnym. Równałoby się to w przybliżeniu odcięciu od Niemiec całej prowincyi Śląskiej. Czesi uzyskaliby Łużyce i mieliby piękne zadanie ich ratowania etnograficznego i odrodzenia narodowego, a nadto niemiecko-katolicką połąć Śląska dolnego i górnego z przemysłowym okręgiem pod Sudetami i doliną Kłodzką, nie mówiąc o czysto czeskiej części powiatu Raciborskiego, którą otrzymali. Polacy zaś dostawaliby oczywiście terytorjum, poddane następnie plebiscytowi i niewątpliwie polskie, z Raciborzem i Opolem, oraz pozatem część wschodnią Śląska dolnego z Wrocławiem, Lignicą i Głogowem. Obszar ten jest przeważnie niemiecki ewangelicki. Za przyłączeniem go do Polski przemawiałyby wszakże liczne i poważne względy. Przedewszystkiem skracaloby on obecną granicę polsko-niemiecką o równą połowę, co dla nas ma doniosłość największą. Po-dругie, linia zetknięcia tego obszaru z Rzeszą nie-przenosiłaby jakich 30 klm., a więc obrona jego nie byłaby trudna, od zagłębła zaś Niemcy oddalonyby zostały o jakie 300 klm. w linii prostej. Po-trzecie, dziedzina to nie tylko historycznie polska, ale i etnograficznie jest nasza, dotychczas nawet mając jeszcze wszędzie nieco ludności polsko-ewangelickiej, w wielu okolicach zaledwie przed niedawnem wynarodowionej i mogącej do szczepu ojczystego powrócić. Po-czwarte, Śląsk dolny geograficznie nie wiąże się z Niemcami, stanowiąc naturalny pomost polsko-czeski, i droga najbliższa z Warszawy do Pragi prowadzi przez Wrocław; jakkolwiek zaś względy na język ludności są godne wszelkiego szacunku, wszakże niepodobna dla nich z reguły znieksztalać wyraźnych krain naturalnych (to też niesłuszne było odda-

Polsce przyznawałaby obszary ściśle polskie, Czechom prócz czeskich nieco katolickich niemieckich. Zarówno politykę gospodarczą, jak obronę strategiczną obu krajom znacznieby ułatwiała, a przez to i wartość ich oraz stanowisko w układzie europejskim znakomicie podnosiła. To też raczej trzeba było na innych obszarach ewentualnie z czegoś rezygnować, z tego zaś punktu uczynić zasadę. Naszym obowiązkiem w rozgraniczeniu z Czechami byłaby oczywiście obrona swego obszaru etnograficznego. Ale i ewentualna zachłanność przesadna Czechów nie powinna nas była zrazić do porozumienia. Bowiem ze stanowiska naszego, gdybyśmy się znaleźli wobec zagadnienia, czy ten lub ów skrawek ziemi polskiej, niezależnie od jego wagi państwowej, wchodziłby do Czech czy też do Niemiec, to mówiąc ogólnikowo i omijając konieczne a zrozumiałe zastrzeżenia, trzeba było robić wszystko i iść na wiele, ażeby go Niemcom wydrzeć. Bowiem granica zewnętrzna państw wyzwolonych wobec zaborczych ma znaczenie główne, granice ich wewnętrzne — stosunkowo podrzędne.

Niestety przecież praktyczna polityka nasza na tę drogę nie wkroczyła. Śląsk, który powinien był nas z Czechami łączyć, właśnie rozdzielił — fizycznie i moralnie. Walcząc o kilkanaście mil kw. w Cieszyńskim, zapomnieliśmy o współdziałaniu w sprawie niestosunkowo donioślejszej. Wobec tego najsamprzód zakresliliśmy niewłaściwie pro-

nie Smirny Grecyi albo odebranie Ulsteru Irlandyi, słuszne natomiast było pozostawienie Czechom i przyznanie Włochom granicy górskiej), zwłaszcza gdy obecny charakter językowy Śląska dolnego wytworzony jest przez politykę wynaradawiającą. Po-pięte, ze względu geograficznego wynika ekonomiczny, to znaczy, że Śląsk dolny, będąc sztuczną odnogą Rzeszy, nie stanowi części organizmu gospodarczego niemieckiego i cierpi na narzuconej mu z nim łączności. Uwidocznia to fakt wyludniania się wschodniej części dolnego Śląska w okresie jeszcze przedwojennym. Mianowicie w czasie od 1871 do 1905 r. według dat, przytoczonych w pracy Seringa „Die Verteilung des Grundbesitzes und die Abwanderung vom Lande“ (Berlin 1910) w powiatach dolnośląskich o których mowa, Namysłów i Syców, części których odzyskaliśmy, Oleśnica, Trzebnica, Milicz, Brzeg, Olawa, Niemodlin, mających jeszcze pewien odsetek ludności polskiej od 1 do 10%, Gurów, Głogów, Lignica, Wrocław, Wohlau, Steinau, Neumarkt i Lüben, zaludnienie wiejskie z wyjątkiem tylko przedmieść Wrocławia spadło we wszystkich powiatach absolutnie, tracąc do r. 1905 w jednym powiecie 10%, w ośmiu powiatach od 5 do 10% i w sześciu od 10 do 18% ludności z r. 1871, gdy obok na Śląsku Górnym i w Poznańskim wzrosła bez wyjątku powszechnie, częstokroć o połowę. Ale i rachując ludność miast, obserwujemy przyrost ludności tylko w powiatach Wrocławskim, Brzeskim i Lignickim, w pozostałych zaś dwunastu spadek absolutny ludności w tymże czasie o kilkadziesiąt tysięcy głów ponad cały przyrost naturalny.

Natomiast względem, przemawiającym przeciwko koncepcji powyższej, jest to oczywiście, że wprowadzałaby ona do Rzeczypospolitej ziemię o niezaprzeczenie przeważającej ludności niemieckiej, jakiegokolwiek jest pochodzenia etnicznego, zamieszkałą przez milion paraset tysięcy głów, coby oczywiście podniosło wagę żywiołu niemieckiego w Rzeczypospolitej i skomplikowało nasz zarząd wewnętrzny, zwłaszcza przez włączenie olbrzymiego ośrodka, jakim jest Wrocław, który zapewne zostałaby stolicą niemieczyzny polskiej. Czechom również ten podział Śląska przysporzyłby tyleż samo mniej więcej ludności niemieckiej, co zresztą w ich układzie wewnętrznym nie czyniłoby w porównaniu ze stanem obecnym znacznej różnicy.

gram terytoryalny w łączącej nas dziedzinie: gdy bowiem Czesi żądali tylko Kładzka, my tylko ściśle polskich części Opolskiego, przedział niemiecki i tak na całej prawie przestrzeni pozostawał nietknięty. Skoro więc nie było specjalnej racji dla koalitionów żądania nasze uwzględnić w całości, a raczej wobec wojny o Cieszyńskie były racje przeciwnie, tedy wśród niechęci wzajemnej Czesi stracili Kładzko, my zaś najpierw bezsporność Śląska Górnego, a następnie w plebiscycie połączyć jego przeważną. I w walce naszej o Śląsk z jednej strony nie byli Czesi tymi, coby nam nie już dopomagali, ale choćby sprzyjali najbardziej, nasze zaś projekty granic (żądania powstańców i plebiscytowe) coraz więcej oddalały granicę polską od czeskiej, coraz to rozszerzały i wydłużały odnogę pruską, aż decyzje międzynarodowe ustaliły obecny niebezpieczny stan mapy.

Wogóle owe projekty i linie kompromisowe nie stanowią karty najchlubniejszej w dziejach dyplomacji naszej. W szczegółach przykład: jedna z pierwszych naszych rezygnacji na Śląsku dotknęła powiat Kluczborski, łączący Poznańskie ze Śląskiem. Ludność polską posiadając przeważnie ewangelicką, uległ on szczególnemu naciskowi niemieckiemu, to też nie ogarnęły go powstania górnośląskie i w plebiscycie został przegrany. Przez to samo powinien był dla nas zostać szczególnie cennym i państwowo pożądanym, gdyż zachodzi obawa, że wkrótce go stracić możemy nazawsze i narodowo, to znaczy nawet językowo, jak już tyle ziem polsko-ewangelickich na Śląsku. Gdy go wszakże linia Korfante-go nie ogarnęła, błąd ten wytknęli nam — Francuzi. Nie z naszych względów narodowych, nie dla wyników plebiscytu, ale że posiada część linii kolejowej, Poznań łączącej ze Śląskiem, powiat ten mógł być przez nas kto wie czy nie skutecznie broniący.

Ale nie o same szczegóły chodzi. Należało się gruntowniej zastanowić, gdy pierwszy tekst traktatu Wersalskiego, przyznający nam cały Śląsk Górny bezwzględnie, cofnięty został i w miejsce jego przyszedł plebiscyt, — czy z tą chwilą nie byłoby rozsądniejsze z naszej strony zasadniczo inne ujęcie całej sprawy. Wprawdzie wyszło ono z niektórych sfer niemieckich i przeto wydało się nam z góry niemożliwym do przyjęcia, gdy było to raczej dlań ułatwieniem. Chodzi o koncepcję Śląska Górnego niepodległego i niepodzielnego. Była ona oczywiście ryzykowna. A w każdym razie pozbawiała pewnych korzyści natychmiastowych: powiększenia obszaru państwa, bezpośredniego posiadania przez nie bogactw węglowych i t. d. Dążąc do możliwie najszybszej konsolidacji jak największej części ludności polskiej i do samowystarczalności gospodarczej państwa, walkę narodową chcieliśmy zakończyć zaraz, choćby ze stratami. Tymczasem stworzenie Śląska niepodległego przedłużałoby ją jeszcze na dziesiątki lat. Ale czy to odwołanie decyzji

nie byłoby dla nas na rękę? Wprawdzie i Niemcy identycznie rachowali. Wszakże mogli się grubo zawieść. W czasach demokratycznych decydowałaby przecież o kierunku politycznym i gospodarczym Śląska polska większość ludności, która w separacji od bezpośrednich oddziaływań rządu pruskiego szybko by się odeń duchowo uniezależniła, interesy zaś przemysłu śląskiego, oddalonego od ośrodków niemieckich, wciśniętego między polskie, nakazywałyby mu zawieranie z nami umów specjalnych, następnie związek coraz ściślejszy polityczny. Nie należy zaś sądzić, że Niemcom teraz, gdy upominają się o zwrot części Śląska, którą ostatecznie uzyskaliśmy, łatwiej byłoby otrzymać, a czynnikiem międzynarodowym oddać cały Śląsk Górny, jeżeliby był niepodległym: pomijając inne względy, mybyśmy przecież go tak samo bronili, jak dziś swego.

Woleliśmy wówczas wróbla w rękę, niż zórawia na sęku. Wszakże stosowanego przez koalicjantów régime'u nie wytrzymałyśmy. Wybuchwały powstania i miały momenty kompletnego powodzenia. Czy nie była to okazyja do formalnego wystąpienia państwa, skoro poczucie prawa i obowiązek zabezpieczenia się przed agresją niemiecką, nie mówiąc już o sentymencie narodowym, wskazywały nam bezwzględnie, że Śląsk musi za wszelką cenę do Polski należeć? Był to okres faktów dokonanych, i obawy, że doprowadziłyby to „za karę“ do odwołania plebiscytu, wydają się płonne. Czuliśmy przecież, że Śląsk jest nasz i że plebiscyt oraz postępowanie przedplebiscytowe okupantów niesłusznie nas krzywdzą, a że walkę zbrojną wygramy.

Nie zdobyliśmy się w tym momencie na odważną decyzję*). Przez to zaś w granicach niemieckich pozostało półmilion Polaków, poddanych dowolnemu oddziaływaniu pruskiemu. Wprawdzie zastrzeżono tam dla nas niejaki uprawnienia, ale ich za słabo pilnujemy, jakbyśmy rzecz uznali za przesądzoną i nazawsze straconą. Czy nie słuszniej byłoby, gdyby prowodyrzy ruchu śląskiego, miast sięgać po łatwe laury w Warszawie i Katowicach, czynili z siebie nadal ofiarę w Opolu, Bytomiu i Raciborzu?

Rozważania te są oczywiście reminiscencyą nieaktualną rzeczy przedawnionych. Trudno było żądać naówczas, by naród uciemiony i z dnia na dzień walczący o elementarne kwestye bytu, w chwili wielkich rozstrzygnięć dziejowych umiał formułować należycie swą rację

*) Ponoć Śląsk wyzwolić się chciał wraz z Poznańskiem jeszcze w grudniu 1918 r., lecz politycy nasi mu to odradzili, obawiając się narażenia się faktem dokonany koalicji, a wierząc, że Śląsk nam i tak przyzna. Jeżeli jest to prawda, świadczy o polityce naszej jako o niesłychanie naiwnej, i dobrze, że przynajmniej Poznańczycy za nią nie poszli: inaczej tam mielibyśmy plebiscyt. Potwierdzałyby to wywody poprzednie, że nie mamy całego Śląska tylko przez brak odwagi i domyślności, cech, które odróżniają mocarstwo od państwa drugorzędnego.

sanu, na daleką metę i nieprzewidywane układy stosunków dobrze obliczone. Szkoda, że nie umiał. Wiele na tem stracił sam, a również wartości, jakie do Europy wnosił. Kto wie, gdyby swą rolę dziejową świadomie we właściwym czasie odegrał, czy świat byłby się jeszcze w dzisiejszych troskach i niepewności jutra? Skoro jednak rozumieć ją zaczynamy teraz, na tle bytu niepodległego i stosunków europejskich wyjaśnionych, nie o to chodzi, ażeby boleć nad pomyłkami minionego okresu, lecz wyciągnąć z nich należy wnioski na owo jutro niepewne, ażeby nie zaskoczyło nas tak nieprzygotowanych, jak niepowrotnie wczoraj.

VI.

Jakiegokolwiek się na to złożyły okoliczności, czy musiało tak być, jak jest obecnie, czy też nasze stan ten spowodowały błędy, sytuacja dzisiejsza na Śląsku stanowi kontrast rażący tak niedawnych, lecz minionych możliwości. Pytaniem chwili nie jest bynajmniej, jak przywrócić sobie posiadanie państwowe części Śląska, przy Niemczech pozostałej, ale jak odparować ich atak na naszą. Nie jest to rzeczą łatwą. Gdy myśmy bowiem pomijali okazyje nastroczające się do opanowania całego Śląska, sądząc zapewne, że decyzje międzynarodowe obydwie strony będą na wieki obowiązywać, Niemcy oczywiście żadnej sposobności odebrania nam go nie pominą i krępować się wyrokami zapadłymi nie będą. A już bezwzględnie najsłabszą obroną polskiego Śląska jest powoływanie się na to, że przecież my lojalnie decyzje podziałowe przyjęliśmy i do tego, co po niemieckiej stronie zostało, nie pretendujemy. Niemcy na to odpowiadają skwapliwie: my zaś tego, co wam przyznano, nie zrzekamy się i żądamy nadal. W oczach aeropagów światowych sprawa tedy wygląda nie inaczej, jak że widocznie my uzyskaliśmy tu za wiele, skoro Niemcy wołają o krzywdzie swej, my zaś wyraźnie jesteśmy nasyceni.

A przecież różnica w istotnych uprawnieniach stron obu do Śląska jest wręcz zasadnicza. Cała część po plebiscycie pozostała przy Niemczech z wyjątkiem drobnej enklawy głubczyckiej jest bez wyjątku ziemią ściśle polską: według statystyk niemieckich przekraczamy tu wszędzie 80% ludności. Nadto zaś obszar ten położony jest pomiędzy ziemiami polskimi, częściowo i czeskiemi, zlekka zaledwie łącząc się od północy z Rzeszą. Gdyby był nam dany, stanowiłby naturalną osłonę naszego zagłębia i skracał front niemieckiego ataku. We względzie gospodarczym ciąży ku zagłębiu, stanowiąc bądź jego część bądź teren aprowizacyjny, czem przecież Niemcy niepodzielność Śląska mo-

tywowali. Niema ani jednego względu usprawiedliwiającego tu posiadanie niemieckie z wyjątkiem bardzo skromnych rzekomych praw historycznych, które stąd zapewne zwa się tak, że należą już tylko do historii, będąc od czasu polskiego odrodzenia narodowego doszczętnie przedawnione. To też Niemcy poza wyrokiem plebiscytowym nie mają tu zgoła żadnych podstaw do panowania.

W intencji zarządzenia plebiscytu było sprawdzenie woli mieszkańców w sprawie przyszłej przynależności państwowej ich ziemi. Zawieść oczywiście musiało, jak wszystkie przeżytki czystego racjonalizmu, traktujące ludzi jako abstrakcje, bo było oddaniem decyzji dziejowej w ręce jednego pokolenia, nadto wychowanego w niewoli, na fale wszelkich sugestji bieżącego momentu. Dobrze, że przynajmniej w innych wypadkach, w Alzacyi, w Poznańskim i t. d., oparto się na danych obiektywnych. Ale że ze Śląska, Mazur, Szlezwiku uczyniono wyjątek, powiedziano przez to przecież, że dane obiektywne do odebrania tych ziem Niemcom również są. Dlaczegoż uznano chwilowy sąd ludności subiektywny za donioślejszą podstawę rozstrzygnięcia kwestyi od badań rzeczowych? O co więc ją zapytywano? Czy rząd pruski przez politykę zaborczą i wynaradawiającą osiągnął już wypaczenie naturalnych instynktów obywatelskich wśród jej doróżnej większości? Nie byłoż to sankcją oraz zachętą drapieżstwa państwowego Niemiec, nad którym dopiero co świat odniósł zwycięstwo?

Czy mogliśmy wygrać walkę w całości? Przecież szczytem fali dziejowej był moment zwycięstwa koalicji zachodniej, po którym zaczęła się szybka reakcja nawet w umysłach sprzymierzeńców. Sam traktat Wersalski znaczy już pierwszy spadek nastroju, zwłaszcza w redakcyi drugiej. Plebiscyty zaś odbywały się w chwili, kiedy o wojnie chciano zapomnieć, a pokonane Niemcy cokolwiek ukoić, ustawicznie cofając się przed ich oporem i w sprawie cesarza, i zbrodni wojennych, i spłat. Obawiać się zaczynało, czy i Pomorze, przyznane nam przez traktat, dostaniemy faktycznie, i kto wie, jakby reagowali koalicjanci, gdyby Niemcy odważyły się wówczas sztorcem się temu przeciwstawić.

To też plebiscytowych obszarów było dużo, ale ani jeden plebiscyt nie został przeciw Niemcom lub Austrii wygrany. W rozgrywce o Celowiec pomiędzy Austrią a Jugoslawią przegrała Jugoslawia. W plebiscycie nadwiślańskim i mazurskim przegraliśmy my. Obszar plebiscytowy Szlezwiku podzielono na trzy części: północną dość znaczną, wąziutki pas środkowy i największą południową. Zarządzo no plebiscyt na tej zasadzie, że, głosowanie będzie się odbywało nie jednocześnie, lecz strefami, i to od północnej ku południowej, z tem,

że jeżeli Duńczycy przegrają pierwszą strefę, już się w drugiej plebiscyt nie będzie odbywał, i tak dalej. Wobec tego, że północ Szlezewiku była najczystiej duńska, Niemcy zdecydowali ją poświęcić, natomiast walczyć zaczęli wszelkimi środkami o strefę drugą, również duńską przeważnie z ludności, ale niewielką stosunkowo, tak że przy nakładzie odpowiednim pracy i pieniędzy zdobyć ją było można. I zdobyli, choć w całym szeregu gmin za Danią opowiedziało się całe 100% ludności*). Poczem największą, południową część Szlezewiku Niemcom zwrócono bez głosowania oraz w całości tę środkową. Wreszcie w plebiscycie śląskim, na który zwrócona była uwaga całego świata, gdzie na wyniku jego dodatnim zależało prócz nas również Francji, otrzymaliśmy mniejszość głosów, i gdyby nie to, że Francja oświadczyła się stanowczo za podziałem Śląska stosownym do liczby głosów za Niemcami a Polską, musielibyśmy zapewne ustąpić stamtąd zupełnie, jak Duńczycy z środkowego Szlezewiku.

Przecież plebiscyt o wybór przynależności państwowej, pomijając oddziaływanie państw zainteresowanych, składa decyzję w ręce jak zwykle wśród ludności przeważającego liczebnie czynnika bierności. Skoro więc Ślązak lub Duńczyk był dotychczas obywatelem niemieckim i całe życie, w czym szkołę i wojnę, przeżył w warunkach politycznych i gospodarczych Rzeszy, z którymi się oswoił i które — złe czy dobre — zna, to głosowanie za zmianą przynależności państwowej jest dlań rewolucją psychiczną, wymagającą wielkiego uświadczenia narodowego i czynności obywatelskiej. Tego od mas wymagać trudno. One się lękały naogół zmiany warunków życiowych, zwłaszcza na wejście do nieznanego, dopiero powstającego państwa, a w dodatku — w razie pozostawienia ich przy przynależności państwowej poprzedniej — obawiały się zemsty ze strony administracji. Zwłaszcza zaś na Śląsku, w kraju, gdzie Polacy są narodem ubogich wieśniaków i robotników, zależnych od szczupłej warstwy niemieckich obszarników i przemysłowców, zemsta ta mogła rozszerzyć się i na podstawy gospodarcze bytu mas. To też osobliwem jest, że na Śląsku ludność polska w 80%, lecz zamieszkała bliżej granicy niemieckiej, gdzie więc miało się nieomal pewność, że jakkolwiek się będzie głosowało, ale tak czy inaczej, w wyniku ewentualnego podziału obszar-

*) Mapa plebiscytu szlezewickiego, wydana przez Niemców, oznaczała procent głosów w gminach poszczególnych za Niemcami od 1 do 25 — jednym kółeczkiem, do 50 — dwoma, do 75 — trzema i już od 75 — czterema, procent zaś głosów złożonych za Danią oznaczała jednym kółeczkiem dopiero od 25 do 50, dwoma do 75, trzema do 100 i tylko aż całe 100% — czterema. Takimi nawet naiwnie obłudnymi metodami zdołano w błęd opinii europejską wprowadzać!

ru plebiscytowego proporcjonalnie do głosów za i przeciw, do Niemiec się wróci, większość znaczna oddawała głos za Niemcami. W tych więc warunkach psychicznych głos za zmianą przynależności państwowej powinien być rachowany zupełnie inaczej, niż za pozostawieniem przynależności poprzedniej, bo był objawem bohaterstwa, nie wszystkim dostępnego. Przy zasadzie zaś rachunku ściśle arytmetycznego i doborze niestosownych momentów dla plebiscytu (stan wojny, spadek waluty i t. d.) niewiadomo, jakby wyglądał rezultat głosowania nawet w Alzacyi i Trentino. Też raczej powinniśmy być dumni, że w plebiscycie śląskim pomimo wszelkich trudności i szykan za Rzeczpospolitą głosowała znaczna większość ludności polskiej.

Wszakże Niemcy obecnie dopominają się gwałtownie nawet i o tę część Śląska, co nam wyrok poplebiscytowy przydzielili. Tu zaś jedynym argumentem ich jest to tylko, że ją chcą posiadać. Należy atoli stwierdzić, że motywy gospodarcze, jakimi się posługują, mają tu znaczenie zupełnie podrzędne. Gdyby nawet w bogactwie i uprzemysłowieniu Rzeszy oddzielenie części zagłębia śląskiego poczyniło znaczny wyłom, przekonywałoby to najwyżej, że była krajem pasożytnującym na cudzych skarbach. Ale to tylko dla nas naprawdę Śląsk stanowi podstawę jedyną rozwoju gospodarczego, bez której wszelkie jego poważne możliwości byłyby z góry podcięte, gdy dla Niemiec Śląsk z tego stanowiska jest tylko szczegółem. Da ist der Hund begraben. Nie dlatego więc tak go namiętnie pragną, że da im wzrost bogactwa. Jeżeliby nawet go otrzymały z bezwzględnyim wieczystym i niezłomnym zakazem eksploatacyi, nie przeszkodziłoby to im równie gorąco nastawać na jego zwrot. Nie chodzi im i o względy konkurencyjne same przez się w postaci uzależnienia ekonomicznego Polski od siebie. Dążą do tego właśnie, ale wyłącznie z pobudek politycznych, jako do środka osłabienia podstaw naszej niepodległości. Pozbawiając nas skarbów naturalnych najdonioślejszych, okalając granicę polską na przestrzeni tysiąca kilometrów, wdzierając się wgłąb naszego obszaru narodowego, jakkolwiek się tymczasową argumentacją posługują, na celu mają tylko przygotowanie naszego zniszczenia państwowego.

Tedy pierwszym środkiem samoobrony naszej na Śląsku jest oczywiście wykazywanie przed światem natury politycznej Prus i ich odwiecznych niezmiennych metod i celów postępowania. Drugim — postawa absolutnie stanowcza w obronie naszego Śląska: nie może być dopuszczona żadna dyskusya o jakimś powtórzeniu plebiscytu (choćby na całym obszarze poprzednim) czy czemś podobnem, świat musi wiedzieć, że pierwej zerwiemy z Ligą Narodów, niż dopuścimy do rozważania naszych tu uprawnień, że postawimy na kartę raczej cały byt nasz, niż pozwolimy sobie wyrywać jego fundament. Wreszcie nie powinni-

śmy zaniechać kontrofensywy. Mamy dość środków i możliwości prawnych, by się wzmacniać na Śląsku pozostawionym Niemcom. Dążność dotychczasową do trwałego rozgraniczenia się z Niemcami na podstawie rubieży istniejącej zastąpić należy energiczną pracą narodową. Jeżeliśmy ją tam prowadzili przed wojną bez środków, pod naciskiem, niebaczając czy ma widoki powodzenia, to nie na to zdobyliśmy wielką placówkę państwową, żeby rzucić na pastwę drapieżcy rodaków, których los pozostawił poza naszą granicą. Niestety nie jest to komiczne, że jakieś ledwie wegetujące towarzystwo, zamiast skupiać nas wszystkich, prowadzić intensywną robotę na terenie we wszelkich jej postaciach, wszędzie tam mieć organizacje i zewsząd pierwsze wiadomości, walkę o Śląsk przesunąć na teren Rzeszy, z ataku przerzucając Niemców do samoobrony, przygodnie zbiera się, wysłuchuje z otwartymi ustami relacji tamtejszego posła i kończy tę wielką pracę rezolucją papierową. Świat powinien wiedzieć, że to my jesteśmy pokrzywdzeni, my zaś pamiętać, że historia się nie skończyła i że postulat państw narodowych może jeszcze tryumfować.

Z tego, że Śląsk Górny w części przy Niemczech pozostałej stanowi składnik naszego terytorium narodowego oraz państwowo konieczne zabezpieczenie obronności polskiej granicy zachodniej i równowagi stosunków gospodarczych kraju, wynika, że tolerujemy dzisiejszą sytuację jedynie z konieczności i to tylko tak długo, jak nie czynią z niej Niemcy narzędzia do swoich pragnień odwetowych i zaborczych, z tą zaś chwilą programem naszym być musi pozbawienie Niemiec głównych bodźców ich zachłanności. To znaczy, że zagłębie węglowe nie powinno ich kusić bliskością i nieobronnością, więc ma być zabezpieczone na tyłach naszych terytoriów; że w granicach Niemiec nie mogą zostać terytoria polskie; że na dłuższej przestrzeni musimy graniczyć z Czechami; że więc brama wypadowa śląska, która zresztą ongi powstała właśnie z dążności do przedzielenia Polski a Czech i opanowania ich kolejnego, a temu celowi i nadal służyć pragnie, ma podlegać rozbiórce. Dopiero bowiem przy tem skróceniu granicy niemieckiej, w kształtach państwowych bardziej naturalnych, po wydarciu Niemcom swojego obszaru etnograficznego, co wabi je do polityki wynaradawiającej i dalszych zaborów, to wiercen to „zaokrąglań“ kosztem ziem naszych, możemy czuć się względnie bezpieczni i niezależni.

Niech nas nie zniechęca nieaktualność tych postulatów: kto to zdoła przesądzić z pewnością? Polityka zresztą nie ogranicza się do zagadnień ściśle bieżących, lecz patrzy na daleką metę i przygotowuje konstelacje, które jej widokom sprzyjają. Pod tym kątem widzenia należy patrzeć na sojusz polsko-czeski. Prócz samoobrony wspólnej musi on mieć na uwadze naprawienie postanowień granicznych, w czym

obydwa kraje pokrzywdziły, od siebie je sztucznie oddalając. Na każdy wypadek mieć trzeba w pogotowiu plan zapobieżenia temu, by Śląsk Górny stał się podstawą do oddzielenia od siebie przez napaść niemiecką obu krajów sprzymierzonych. Dążyć należy w miarę powodzenia właśnie do odcięcia go od Rzeszy zaraz w pierwszej chwili narzuconej nam przez nią ewentualnie wojny.

VII.

Sprawa śląska jest naturalnem spoidłem sojuszu polsko-czeskiego. Ścisłe porozumienie jest tu konieczne (choćby jako lokalne, ażebyśmy razem się bronili przed zamachem z tej strony niemieckim na naszą łączność i stan posiadania oraz jednako pożąдали ze względu na interes swój polityczny i gospodarczy skrócenia granicy niemieckiej, ustalając we wspólnym programie politycznym postulat zbliżenia terytoryalnego Czech i Polski, choćby inne kwestye wywoływały pomiędzy nami trudność uzgodnienia stanowisk.

Temi innemi kwestyami nie są, jak zaznaczałem, ani cieszyńska, ani słowacka, ani węgierska. Nie pójdziemy tu wprawdzie z Czechami ręka w rękę. Utrata części Cieszyńskiego będzie nas zawsze boleć, o szanowanie praw naszej mniejszości tamecznej będziemy się stale dopominali, ale choć drogi nam jest ten skrawek ziemi naszej jak każdy inny, nad sentyment narodowy przekładamy rację stanu, ta zaś nakazuje nam poświęcenia i ustępstwa względem sąsiada w sporze granicznym celem ustalenia wspólnego frontu w obronie zasadniczej przeciw wrogowi, godzącemu w samo nasze istnienie. Nie widząc specjalnych racyi dopomagania Czechom w utrzymaniu Słowaczyny wbrew Węgom, do służącego temu celowi lokalnego związku Małej Entente'y oczywiście nie mamy po co wstępować, atoli idziemy tu na désinteressement, pragnąc zgody z Czechami w kwestyach drugorzędnych celem łącznego rozwikływania trudności znacznie większej troski wymagających. Jakkolwiek zaś porozumienie jest działaniem dwustronnem i obopólnego wymagającym zainteresowania, którego w danym razie nie brakuje, mimo to, gdyby Czesi przyjaznego do nas stosunku zaniechali lub nawet przeszli na stanowisko nieżyczliwe, traktować to winniśmy jeno jako epizod bolesny, w żadnym razie nie ryzykując akcji w kierunku trwałego osłabienia Czech, bo w konsekwencji dalszej samibyśmy na tem stracili.

Mogłoby takie zasadnicze nieporozumienie pomiędzy nami a Czechami nastąpić, jak zaznaczyłem, nie z powodu pretensyi granicznych, gdzie aspiracye najdalsze wzajemnie nie sięgają dalej jak rektyfikacyi samego pasa pogranicznego,—ale tylko w kwestyi stanowiska naszego oraz czeskiego w stosunku do zagadnień europejskich najnowszych, od których takiego czy innego rozwiązania zależy nie tylko już ten bądź ów przebieg takiej lub innej granicy, ale samo obu krajów istnienie polityczne i niepodległość państwowa.

Zarówno Francuzi, jak my rachujemy oczywiście na Czechów w razie ataku niemieckiego. Rachuba ta wszakże nie powinna być przesadna. Wada zasadnicza konstrukcyi Czech polega nie na tem, że zagarnęły Słowaczczyznę lub część Śląska, ale że zawierają zbyt dużo ludności niemieckiej. Dzieje przetkały bowiem kraj ten milionami kolonistów i niepodobna tak zakreślić granicy państwa, nie naruszając jego zwartości terytoryalnej, ażeby ich liczbę znacznie zredukować. A przecież naród każdy dąży, by państwo jego mogło mieć ducha wspólnego każdemu obywatelowi, ażeby bez przeszkód wewnętrznych iść swoją linią polityczną. W Czechach ideał ten jest bodaj nie do osiągnięcia. W ustroju zaś demokratycznym trudno rządzić przeciwko liczniejszemu mniejszościom za pomocą majoryzacyi. Wytwarza to sytuacye wewnętrzne nieznośne. Wypada tedy zawierać z nimi kompromisy. Gdy zaś kraj na 14 milionów ludności ma 4 miliony Niemców, w znacznej części zwarte zamieszkujących osiedla, kompromis taki nie może skończyć się na wolności językowej i samorządzie lokalnym, musi prowadzić do unieruchomienia kraju w pewnych kierunkach politycznych pod grozą utraty niepodległości.

To też sojusz polsko-czeski i czesko-francuski mają tę wartość, że bronią Czech przed atakiem niemieckim, jak Mała Ententa przed węgierskim. Ale wartość odwrotna tych sojuszów nie jest wielka: zapewne sami zastanawialibyśmy się, czy celem ratowania naszych dróg transportowych nie należałoby raczej z czynnej pomocy czeskiej nie korzystać. Niemcy ze swej strony chyba by Czech nie atakowały, wiedząc, że z chwilą wymazania Polski z mapy politycznej albo nawet tylko odsunięcia znaczniejszego ku wschodowi Czechy wpadłyby w ich paszczę niemal automatycznie.

Innemi słowy, Czechy są dla nas w układzie europejskim i specjalnie naszym granicznym niezbędne, jak zdemilitaryzowana Nadrenia dla Francyi, i dlatego podejmujemy się ich obrony, gdyż same kto wie czy się obronią, czy wskrzeszane nie byłyby dopiero w wyniku decyzyi pokojowych, jak Belgia. A w tym razie należałoby się zastanowić, szukając przyczyn ich klęski, że może obecne pogranicze ich południowe z Węgrami i Austryą wciela do Czech za dużo Madziarów i Niem-

ców, a zwłaszcza że północny zachód państwa jest tak ściśle narodowościowo niemiecki.

Tu wszakże, w sprawie niemieckiej, wspólność interesów polsko-czeskich jest przynajmniej tak* zupełnie wyraźna, że trzeba nadzwyczajnej ślepoty politycznej, ażeby po której stronie życzo no sobie w najmniejszej mierze zwycięstwa niemieckiego nad stroną drugą, i o ile gdziekolwiek taka Schadenfreude się potencjonalnie kołacze, winna być usilnie zwalczana, bo zwycięstwo Niemiec nad Czechami byłoby obiektywnie ułatwieniem dla nich w walce z Polską i subiektywnie zachętą dla pokonania, podporządkowania albo rozbioru jej zostać może, a tembardziej groźna dla Czech byłaby klęska nasza.

Zgoła odmiennie i bez porównania beznadziejniej przedstawiają się szanse porozumienia polsko-czeskiego w kwestyi rosyjskiej. Stanowiska obu krajów są tu wręcz przeciwstawne, tradycja rusofilska jest tak w Czechach zakorzeniona, że o łatwym uleczeniu ich z tej niebezpiecznej dolegliwości niepodobna marzyć. Czesi znają Rosyę tylko z dobrej strony, — że to naród liczny, kraj bogaty, państwo potężne, kultura interesująca, a razem wszystko słowiańskie, czyli pobratymcze, jednym słowem — amerykański wujaszek. A że przeciwnie Czesi są narodem małym i słabym, zewsząd atakowanym przez Drang niemiecki, więc w kim szukać, jak nie w Rosyi, bardziej niezawodnego sojusznika? Gdy więc popełnia ona nawet czyny karygodne, np. rozbiór Polski, to czy nie należy dopatrywać się w tem poniekąd dodatniego zjawiska, skoro przez to owa obrona słowiańska zbliża się?

Wojna światowa oczywiście postawiła w umysłach czeskich wiele wobec tej ideologii rusofilskiej trwożliwych znaków zapytania. Okazało się, że potężny wujaszek ma gliniane nogi. Musiał zamiast zbliżyć się — odsunąć się znacznie, co dla polityki praktycznej ma znaczenie niepoślednie. Powstała kwestya ukraińska, czyli przepołowienie tej liczebnej siły rosyjskiej. Bolszewizm również nie może zachwycać Czechów, zwłaszcza wobec pokoju w Brześciu i traktatu w Rapallo.

Wszakże nowa synteza stąd w umysłowości czeskiej nie powstała. Przeciwnie, wszystkie te fakty skłonna ona traktować, jako przejściowe lub przypadkowe. Oczekuje więc nadal rosyjskiego Mesjasza.

Czy jest na to rada? Broni oczywiście składać nie należy. Atoli propaganda zatacza zawsze kręgi stosunkowo nieznaczące, przyzwyczajenia co w mózgi wsiąkły są silniejsze. Tu trzebaby namacalnych doświadczeń w rodzaju naszych, lecz, jak wiadomo, nie tylko uświadamiają one, ale i demoralizują. Dobrze, jeżeli zdołamy postawić w umysłowości czeskiej tych wobec Rosyi znaków zapytania więcej. Głównym obowiązkiem naszym jest wskazywanie Czechom na permanentną wspólność frontu rosyjsko-niemieckiego, odwieczną i nieprzerwaną

zgodność ich polityki, popieranie Niemczyzny przez Rosyę u siebie i w Polsce i t. d., w czym, jak się bliżej przyjrzyć, nawet ostatnia wojna stanowiła nie tylko wyjątek.

Konieczną prosto zaś jest dla nas pewność absolutna, że w jakimkolwiek zatargu polsko-rosyjskim Czechy po stronie rosyjskiej czynnie nie wystąpią. Zdobyć tej pewności jest warunkiem porozumienia polsko-czeskiego. Niepodobna przecież dopuścić, ażeby jednocześnie zapaliła nam się cała długa granica czeska. Wszak na ten wypadek miłsze nam jest sąsiedztwo Węgier, rusofilstwo zupełnie obcych. Ale i to trzeba wziąć pod uwagę, że nie skłaniałyby Czech do kroków względem nas nieprzyjaznych przedewszystkiem konfiguracja ich, ułatwiająca nam zupełne ich pokawałkowanie, a następnie brak kwestyi z nami spornych. Nadto zaś Czesi wobec niebezpieczeństwa niemieckiego rolę naszą doceniać muszą i raczejby im dogadzała w zatargu polsko-rosyjskim wątpliwe, czy skuteczna, rola medyatorów. Zresztą póki panuje w Rosyi bolszewizm — a zapewne potrwa to dłużej, — bodaj, że Czesi go wspierać przeciw nam nie będą, należy przypuszczać naodwrot, że przez ten czas przyzwyczajają się patrzeć na Rosyę podobnie do nas, zwłaszcza przy kolaboracyi na innych terenach pracy.

Oprócz rusofilstwa politycznego istnieje w Czechach, jak w całym świecie, rusofilstwo ekonomiczne, to znaczy dążność do eksploatacyi rosyjskiego rynku. W tem im oczywiście nie możemy przeszkadzać, jak nie przeszkadzamy państwom innym. Jest naturalne, że kraj wysocze uprzemysłowiony szuka zbytu i że Rosya leży dlań na linii najmniejszego oporu. A że rynek to był i być może wielce pojemny, tedy będziemy zgodnie współpracować tam z Czechami w ramach normalnej konkurencyi kupieckiej. I nawet służyć zarówno doświadczeniem, jak ułatwieniami tranzytowemi.

Czesi jednak nie marzą o tranzycie. Zarówno względy polityczne, jak gospodarcze skłaniają ich do pożądanego wspólnej z Rosyą granicy. Przedziela je, jak wiadomo, wschodnia Małopolska, bo forpocztę na drodze tej, Ruś Uherską czyli Karpacką, Czechy już zajęły. Wcale tedy nie z zasadniczej wrogości do nas, ale z owego pożądanego płynie specjalnie nas denerwująca polityka Czech wobec Ukraińców galicyjskich. Pragną one stworzyć tu pomost do Rosyi, uniezależniający je od naszego tranzytu, ceł, umów, pośrednictwa, od naszej polityki rosyjskiej czy też stosunków aktualnych z Rosyą, wogóle od Polski.

Jest to zagadnienie, którego zresztą niepodobna rozpatrzyć bez związku z kwestyą ukraińską.

VIII.

Oprócz spokojnej granicy czeskiej mamy przyjazne sąsiedztwo rumuńskie na południu, łotewskie na północy, zawdzięczane wspólności rosyjskiego niebezpieczeństwa.

Przyjaźń nasza z Estonią i Łotwą oparta jest oczywiście na przesłankach obiektywnych, to znaczy na tem, że zarówno my, jak te kraje bałtyckie znalazły się pomiędzy młotem niemieckim a rosyjskiem kowadłem i że jednocześnie uzyskaliśmy od obu ciemięzców wolność. Pomimo to musiały stać się pewne fakty, ażeby przyjaźń ta mogła się utrwalić. Właściwie bowiem tylko z Estonią zawrzeć ją mogliśmy bez żadnej trudności, ale przecież obustronnie byłaby czysto platoniczna, gdyby Łotwa została w tem pominięta. Łotwa zaś się nas obawiała. Nie po to przecież walczyła przeciw armiom i bandom niemieckim i sowieckim, żeby zostać jeszcze jednym kresowem województwem Rzeczypospolitej. A że niegdyś w skład jej całkowicie wchodziła, że w części wschodniej posiada miejscami znaczną mniejszość polską (w Łatgalii czyli Inflanciech polskich i wschodniej Kurlandyi, szczególnie w Dyneburgu i okolicy), tedy nie była pewna, czy nie zechcemy pozbawić jej jeśli nie niepodległości, to przynajmniej integralności, a następnie wpływać na politykę jej względem ludności łatgalskiej rdzennej (Łotyszów-katolików), przeszkadzając scaleniu się jej z główną masą narodową, jak specjalnie względem reformy rolnej, o ile polskiego ziemiaństwa dotyczy. Ponieważ zaś we wszystkich tych kwestiach w Polsce bądź co bądź dużo mówiono, skrawek Kurlandyi był rzeczywiście przez pewien czas w naszym posiadaniu, a o majątki polskie robiliśmy faktycznie rządowi Łotwy rozmaite drobne kwestye, to istotnie obawy jej nie były całkowicie bezzasadne.

Osobliwą jest cechą naszej psychologii politycznej współlistnienie odczuć wręcz przeciwstawnych. Tak więc maksymalizm i minimalizm

narodowy stale współżyją u nas. To słyszy się, że przecież i w powiecie Telszewskim lub Taraszczańskim jest 1 czy 2% ludności polskiej, wobec czego ziem tych wyrzekać się nam niewolno, a jednocześnie kreśli się linie programów terytoryalnych, za którymi zostają ziemie bezsprzecznie polskie, albo zgoła się rezygnuje z najbardziej organicznych części polszczyzny, jak to czyniły „orientacje“. To samo uwidocznia się i w silnej wierze w niezachwiany pokój wieczysty, która jest u nas jeśli nie w świadomości, to w podświadomości o tyle powszechna, że właśnie zabezpieczenie jego mozolną pracą wydaje się nieaktualne, — a jednocześnie z tem w upatrywaniu nieprzejednanych wrogów Polski za każdym kordonem i wszędzie wewnątrz kraju.

Ten maksymalizm drobiazgowy prowadzi istotnie do tego, że znajdujemy się na całej nieomal rozciągłości granicy swej w sytuacji niezwykle zagmatwanej. Przy rozwikływaniu zaś trudności tej wpadamy z jednej ostateczności w drugą, uwidoczniając przytem cechę, w spadku po niewoli odziedziczoną, to znaczy łatwą uległość wobec silniejszych, nieustępliwość wobec słabszych. O wiele częściej zdarzało się czytać o nieuregulowanym stosunku naszym z Czechami, niż z Niemcami, i niestosunkowo więcej wnosiliśmy pretensyi o kilka wsi tatrzańskich, niż o cały pozostały przy Niemczech Śląsk Górny oraz Mazury. Również sprawa kilkudziesięciu majątków ziemskich na Łotwie bodaj czy nie więcej zajęła w swoim czasie uwagi i energii społeczeństwu, aniżeli doszczętne i krwawe wyniszczenie przez Rosyę kolosalnego stanu posiadania polskiego na Ukrainie i Białejrusi, które potraktowano po prostu jako nieodwołalny kataklizm raczej geologiczny, niż dziejowy. A gdy stosunek do drobnej Litwy jest powszechnie u nas nieprzejednany, rozważa się niekiedy, który z dwu wielkich sąsiadów nadawałby się możliwiej do zawarcia z nim ugody, i niestety obydwie orientacje potencjonalnie wśród nas jeszcze żyją.

Zarówno ten minimalizm, jak maksymalizm narodowy stanowią zjawiska jednakowo niebezpieczne. Minimalizm bowiem to czyni, że pod silną presją stosunkowo łatwo godzimy się na ustępstwa i z postulatów swych rezygnujemy, ograniczając się do raczej formalnych manifestacyi. Nie dziwny się, bo w porównaniu z stanem rzeczy przedwojennym zdobycze traktatowe, pomimo ich wszelkich restrykcyj, były czemś olśniewająco wielkiem. Ale mężom stanu wypadało zbadać, czy zastrzeżenia te nie czynią owych rzeczy wielkich zgoła nietrwałemi, i przeto walczyć przeciw nim z odpowiednią uporczywością; należało pamiętać, że chwile takie, jak pokój wersalski, nie powtarzają się często i że czego się nie wyjednało wówczas, traciło się kto wie czy nie nazawsze i nieodwołalnie, a to dotyczyło przecież znacznych odłamów narodu. Już po wojnie tenże minimalizm nasz ułatwił Niemcom

wzmocnienie się w Gdańsku i nawet w województwach zachodnich, a w Europie przeciw Polsce. Groźny więc jest i na przyszłość. Niemcy nań niewątpliwie liczą, i kto wie czy nie pólsero nawet myślą, że przez urobienie opinii europejskiej i jej nacisk na Polskę nie uda im się „zrewidować“ naszej granicy naprawdę bez wystrzału? Z minimalizmem tym łączy się brak odważniejszej decyzji. Przecież już po zawarciu pokoju były momenty, w których mieliśmy możliwość poprawienia swej sytuacji.

Niemniej od minimalizmu niebezpieczny jest maksymalizm narodowy. Zwłaszcza w nieumiejętności naszej poświęcania korzyści podrzędnych i nawet znacznych celem osiągnięcia jeszcze znaczniejszych. O ile pod naciskiem godzimy się na ustępstwa szkodliwe, o tyle bez presji zewnętrznej nie umiemy się ważyć na rezygnacje pożyteczne. Ilekroć klub jakiś lub ugrupowanie występowało u nas z projektami ustępstw dobrowolnych z naszego stanu posiadania, motywując je najpoważniejszymi względami polityki wewnętrznej i zagranicznej, która te ustępstwa miały bądź regulować bądź nawet wzbogacać o wiele donioślejszymi korzyściami, — zawsze zostawały zakrzyczane, jako odsądzone jeśli nie od zdrowych zmysłów, to już w każdym razie od patriotyzmu. Utrudnia to wielce poważniejszą, dalej przewidującą akcję polityczną (na argumencie tym opierają się nasi rzadcy zresztą zwolennicy monarchii lub dyktatury) i świadczy o małym wyrobieniu naszym w porównaniu z innymi krajami. Nie mówiąc o Anglii, która pomimo konserwatyzmu opinii tradycyjnie uprawia politykę przezornych rezygnacji, zwłaszcza w koloniach, przecież nawet Austria umiała ją częstokroć i to z nieładem powodzeniem stosować, i tylko jej zawdzięczała swój nieodpowiednio długi żywot i stanowisko mocarstwowe. Cechowała umiejętność ta również i Polskę przedrozbiorową. I teraz nauczyć się jej musimy. Sytuacja nasza bowiem zanadto jest trudna i zawiła, ażebyśmy ją mogli opanować i przyszłość spokojną sobie zapewnić, bez mniejszych lub większych, a nawet i bardzo znacznych niekiedy z naszej strony poświęceń. Pytaniem głównym jest: czy w odbywającym się, względnie przygotowującym starciu się z nami Niemiec chcemy nie tylko ocaleć, ale i utrwalić niepodległość państwową? A skoro oczywiście tak, zaś cel ten wymaga, byśmy sobie tym czy innym kosztem albo zdobyli przyjaciół, albo zneutralizowali nieżyczliwych, albo zażegnali trudności wewnętrzne, państwo minimum niezbędne kosztu tego, choćby bolesne bardzo, powinno na to wyłożyć, nie oglądając się na opozycję tych czy innych stronnictw, bo chwila jest rozstrzygająca i od szeregu śmiałych szybkich posunięć zależy nasze być czy nie być?

W stosunku polsko-łotewskim ta reguła ogólna miała potwierdze-

nie. Krokiem, zjednywającym Łotwę dla przyjaźni z Rzeczpospolitą, była przede wszystkim odważna decyzja naszego Naczelnego Dowództwa, przekazująca Dyneburg Łotwie po uwolnieniu go od Rosyi. Oczywiście musiał Piłsudski wysłuchać z tego powodu wielu uwag, bądź dokuczliwych, bądź nawet pałających świętem oburzeniem. W istocie postąpił nadzwyczaj rozważnie i nader roztropnie. Po-pierwsze bowiem, Łotwa bez Dyneburga jest nie do pomyslenia. Główne jej bogactwo — tranzyt z Rosyi — zostałby podcięty niemal zupełnie. A więc i Rosya łatwiej przystać może na to, żeby był na Łotwie, niż w Polsce. O ile zaś kwestya, czy Łotwa byłaby niepodległa czy też zostałaby przy Rosyi, była dla nas obojętna, to w tym ostatnim wypadku Dyneburga, jako że się znajduje na prawym brzegu Dźwiny, też utrzymałbyśmy nie mogli. Zupełnie więc fantastyczną była i tylko szkodziła nam t. zw. druga linia Dmowskiego, zastrzegająca dla nas całe polskie Inflanty, Naczelne Dowództwo zaś, czyniąc krok jedynie realny, zdobywało wzamian dla Polski nielada wartości moralnej zaufanie Łotwy i — Estonii, które wzrosło bardziej jeszcze, kiedy to i o 6 gmin kurlandzkich, odebranych przez Łotyszów w r. 1920 bolszewikom, gdy się cofali przed nami, — przestaliśmy się upominać, i do Latgalii nie wtrącaliśmy się, i przeciw reformie rolnej protestowaliśmy nudnie, ale tylko formalnie. Po zajęciu Wilna przez jen. Żeligowskiego lękano się poważnie jakiś czas na Łotwie, czy i do Dyneburga nie zjawi się jaki naśladowca jego czynu. Na szczęście obeszło się bez tego kroku, któryby całą naszą politykę bałtycką przekreślił.

Niestety i tu, jak w stosunku z Czechami, obok małej wagi państwowej kwestyi granicznej wysuwane jest niekiedy zagadnienie zasadnicze, tym razem z winy naszej. Po kawiarniach warszawskich, arbitralnych i hałaśliwych, ale bądź cobądź politycznie niewyrobytych i na szczęście nie wpływowych, słyszało się nieraz twierdzenie, że wobec kolosów, pomiędzy jakimi znalazły się państwa bałtyckie, nie mogą one niepodległości i tak i tak utrzymać, a przeto należy z góry zrezygnować z niepodległości Estonii i Łotwy na rzecz Rosyi, za to z jej zezwolenia zamiennego Litwę ewentualnie wcielając do Polski. Minister Skirmunt pozbawił tę gawędę znaczenia politycznego.

Ze Estonia i Łotwa nie utrzymają niepodległości, jest to wiarogodne. Ale czy my mamy do tego przyłożyć rękę? czy raczej współdziałać z ich dążnościami patryotycznymi? Cóż ze się znajdują między kolosami? Sytuacja ich jest analogiczna z Holandya i Belgią, które trwają w bycie niezależnym dość długo, podobnie Szwajcarya. Ze bogactwo opierają na tranzycie towarów z Rosyi lub do Rosyi, to przecież i w Belgii tranzyt niemiecki był pozycją poważną, co nie widzieliśmy, żeby ją w objęcia niemieckie zbyt gwałtownie rzuciło. Niemcy ją zabrać pragnęły, bo to im dawało dostęp do Kanału (państwa zaborcze

wszędzie chcą mieć dostęp), lecz układ stosunków na to nie pozwolił, przede wszystkim Francya, której sytuacja wobec Belgii jest dość podobna do położenia Polski względem Łotwy. Francya rozumiała bowiem, że gdyby granica niemiecka okoliła ją jeszcze i od północy, obronność jej wobec Niemiec zasadniczoby zmalała. Tembardziej to dotyczy naszej długiej rosyjskiej granicy, której bodajże tylko brakuje „dostępu“ do Libawy, ażeby strategicznie panować nad nami.

Co nam daje ewentualny sojusz odporny z Estonią i Łotwą? Gdyby Rosya je napastowała, ciężar obrony spadłby na nas. Jeśli Rosya zaatakuje nas, oneby nam nic pomódz nie mogły. Tak jest. Jak z Czechami. Są to nieomal jednostronne i bardzo ciężkie zadania Polski. Wkłada je na nią nasza trudna niezmiernie sytuacja polityczna. Łatwiej może było pozostawać w rozbiorach i ginąć pod Sedanem lub w Mandżuryi. Wszakże skoro chcemy być wolni, mamy w związku z tem nie tylko prawa, lecz i obowiązki. Nie wobec Łotyszów i Estończyków, ale wobec Polski, której wolne istnienie domaga się pewnego otoczenia politycznego. Pókiśmy graniczyli tu ze Szwecyą, tam z Czechami lub Węgrami, mogliśmy i z nimi mieć zatargi, lecz żyliśmy. Gdy zaś okoliła nas trójka drapieżców, zginęliśmy.

I teraz oczywiście nie nasyciłaby się Rosya połknięciem Estonii lub Łotwy ani Niemcy zaborem Czech. Rzecz jasna, że zachciałyby znów wspólnej granicy, o której wspominały już w r. 1920. Podbijałyby nas z pomocą żołnierzy z Estonii, Łotwy i Czech. A potem mybyśmy znów walczyli pod Sedanem i w Mandżuryi.

A więc wzamian za sojusz z Estonią i Łotwą tam, skąd mogłaby nam grozić Rosya, mamy właśnie Estonię i Łotwę. Przyjaźń zaś z Łotwą ma dla nas nadto znaczenie zupełnie specjalne, ponieważ do portów jej kierować się może eksport naszych ziem północno-wschodnich, a na wypadek zatkania nam Gdańska lub przecięcia korytarza Pomorskiego przymierze z Łotwą nam dawałoby stosunki ze światem. Daleka to droga i uciążliwa, aleby nas w razie ataku niemieckiego ratowała. Przecież to jest sprawa pierwszorzędnej wagi.

Zdaje się, że niedocenianie roli Łotwy lub Estonii w naszym układzie sąsiedzkim, o ile się ujawnia, pochodzi z niewycucia w mierze dostatecznej nowoczesnych stosunków politycznych, zdążających wyraźnie do podziału świata na państwa narodowe, co wyłącza wszelką zaborczość. Doprowadził do tej zasady Europę ruch ludowy w znaczeniu uświadomienia obywatelskiego najszerzych mas i związane z tem rządy demokratyczne. Z pokładów etnograficznych wytworzył on nowe narody, a za tem i państwa. Postulatowi państw narodowych i my przecież zawdzięczamy niepodległość. Nie jest on wprawdzie w pełni urzeczywistniony, ale traktaty powojenne zbliżyły nas do ide-

ału. Podważenie zaś tej zasady w jednym miejscu prowadzi do unicestwienia jej powszechnego. Jeżeli dziś będzie złamana względem Estonii lub Czech, nic nie stoi na przeszkodzie, żeby jutro pogodzone się w Europie z nowym rozbiorem Polski.

Przeciwnikami tej zasady podczas wojny były Niemcy i Austria. Głosiły one śmierć małych narodów, jak Serbii i Belgii. Zachód może w hasło obrony małych narodów nie był zupełnie szczery, ale widocznie wyczuł dobrze grunt nowoczesny i umiał doń zaapelować. Gdy Niemcom zaczęło się gorzej powodzić czy też gdy wojna zaczęła się dla nich zbyt przeciągać i potrzebne im stały się atuty agitacyjne, też zaczęły powoływać małe narody do tworzenia nowych państw. I Rosya bolszewicka przyjęła pozór federacyi. Jest to znamię czasu. Skoro zaś dostosowana do warunków obecnych strategia również zaczęła bronić każdego proggu, siła militarna małych narodów okazała się nie do pogardzenia.

O ileż wszakże Francya znajduje się w szczęśliwszej konfiguracji w porównaniu z Polską, mającą dwie długie granice nieobronne z państwami, którym przeciwnie do nowej zasady (a raczej starej, średniowiecznej, jeno przez nie pogwałconej, a obecnie po ich klęsce odnawiającej się) właściwa jest ustawiczna zaborczość. To też na naszym gruncie sama zasada państwa narodowego nie jest wystarczająca. Niezbędne są związki szersze i ściślejsze tych państw narodowych.

W stosunku do Czech i Rumunii wystarcza i możliwem jest obecnie jedynie przymierze stosunkowo luźne. Natomiast wobec Estonii i Łotwy, znajdujących się z nami na najbardziej zagrożonych placówkach, należy zdążać do związku znacznie ściślejszego, złożonego z szeregu konwencyi, ułatwiających wszelkie stosunki wzajemne w czasie tak pokoju, jak wojny. Wprawdzie ludowe republiki północy lękają się naszej „reakcyjności“ i oczywiście zastrzegą sobie mocno zupełną niezależność i równorzędność.

Największym atoli szkopułem w ułożeniu się odpowiednich stosunków Polski z krajami bałtyckimi była dotąd i jeszcze jest kwestya litewska.

IX.

O ile odrębny patryotyzm litewski przed pięćdziesięciu jeszcze laty był przez nas szanowany bardzo, jako składnik patryotyzmu Rzeczypospolitej, Polak z Litwy nie nazywał siebie inaczej jak Litwinem, a w tworzeniu z zapomnianych pierwiastków etnograficznych litewskich zarówno języka literackiego, jak kultu tradycji ludowej, Polacy tamedźni wzięli udział wybitny, — to z chwilą powstania inteligencji z ludu miejscowego o odrębnym światopoglądzie najsamprzód społecznym, a następnie i narodowym Polacy z Litwy zaczęli upatrywać w litewszczyźnie wyłącznie antypolską robotę Moskwy, korzystając z popowstaniowego osłabienia polskości tutejszej, — i ciążyć narodowo i politycznie ku Koronie. Proces odbył się nadzwyczaj szybko i już przed dwudziestu laty odkrył się jako w pełni zakończony.

Oczywiście, wpływy rosyjskie przyczyniały się do wrogości w stosunku do Polaków ruchu litewskiego, który istotnie potęgowany był przez to, że się odbywał w ramach państwa obcego i że polskość prześladowana nie mogła mieć tu dostatecznego wyrazu, mimo to był on zjawiskiem zupełnie nieuniknionem, jak ruch polskośląski, fiński, łotewski, słowacki, rusiński, flamandzki, norweski, poprzednio czeski. Stanowił część ogólnej fali dziejowej. Gdy bowiem uwłaszczenie włościan i uintensywnienie gospodarki drobnorolnej oraz rozwój komunikacji wciągnęły najszerze masy ludowe na rynek światowy, a jednocześnie postęp oświaty i powszechne głosowanie — do życia kulturalnego, nie mogło się stać inaczej, jak że wartości ukryte w tych masach, w czem odrębność językowa gdzie była, wyjdą na powierzchnię życia politycznego, z chwilą zwłaszcza zasilenia gromadnego przez żywioł wiejski mieszczaństwa i inteligencji. Więc i narodowość litewska powstać, czy odrodzić się raczej, w tych warunkach musiała. Nie mogła zaś nie zawierać pierwiastków antagonizmu wobec narodowości pol-

skiej, nie tylko dlatego, że od niej się wyzwalała kulturalnie, ale przede wszystkim na tle przeciwieństw klasowych, skoro Polacy na Litwie przeważnie byli ziemianami, ziemianie zaś prawie wyłącznie Polakami. Rosya więc najwyżej grała na tym antagonizmie i starannie go pogłębiała.

W tych warunkach Polakom tamtejszym nie zostawało nic innego w granicach obszaru etnograficznie litewskiego, jak zrezygnować z panowania kulturalno-politycznego, poprzestając na hasła równouprawnienia, które nie tak dawno było ideałem litewskim. Trzeba powiedzieć, że uczynili to. Były wprawdzie próby tworzenia Litwy w granicach szerszych, niż etnograficzne, żeby Polacy mogli tam dominować jeżeli nie liczebnie, to w każdym razie politycznie nad Litwinami i Białorusianami. Gdy jednakże poprzednie pozajęzykowe pojęcie Litwina (analogiczne do Szwajcara lub Belga) zdążyło już zamrzeć, plan ten w okresie tworzenia państw narodowych okazał się fantastyczny, Litwini bowiem w pojęciu dawnem nie stanowili już jednego społeczeństwa i każde z niego powstałych chciało wyraz dawać opinii swej w rządach nad terytoryum własnem. To też ze strony ani Polski jako ościennego państwa, ani Polaków miejscowych nie było żadnej opozycji przeciw tworzeniu państwa Litewskiego. Jeżeli zaś słyhać poszczególne głosy, o polityce nie stanowiące, przeciw niepodległości Litwy, tłómaczą się jeno rozgoryczeniem, że rządy jej nie szanują i nie traktują lojalnie praw konstytucyjnych i swobód obywatelskich mniejszości polskiej, wciąż widząc młodocianie w niej ślady poprzedniego panowania klasowego, a nie rozumiejąc ani jego ówczesnej konieczności dziejowej ani zasług historycznych naszego wpływu cywilizacyjnego dla nowożytnej kultury litewskiej.

Bądź co bądź, skoro rezygnacya zasadnicza ze strony polskiej stała się faktem, następnym krokiem zostać powinno było ściślejsze zbliżenie obu narodów, jak umieją współżyć i współpracować ze sobą Finlandya i Szwecya. Na przeszkodzie temu stanął spór graniczny*).

Litwini ongi zamieszkiwali obszar większy ku wschodowi od dzisiejszego, obejmujący m. in. Wilno, ówczesną stolicę ich. Gdy spolonizowały się tu poza ludem wiejskim warstwy inne, Wilno zostało wielkim ośrodkiem kultury polskiej, wśród okolicy litewskiej położonym. Ale jednocześnie nastąpił proces cofania się obszaru językowego litewskiego przed ościennym białoruskim, który coraz odsuwał dalej na zachód swe pogranicze. Powstał w ten sposób dość szeroki pas, ciągnący się od Grodna do Dyneburga, zamieszkały przez

*) Coś analogicznego przeżyły ostatnio i wymienione państwa skandynawskie w sprawie wysp Alandzkich.

lud językowo białoruski, wyznaniowo katolicki, narodowościowo t. zw. „tutejszy“, czyli nieokreślony. Gdy odrodzona narodowość litewska zaczęła rewindykować obszary językowo stracone, lud ten nie poszedł za nią, ponieważ utracił z nią łączność języka. Że zaś główna masa białoruska nie dorosła jeszcze do uświadomienia narodowego, a zresztą była innego wyznania, więc w przeciwstawieniu się Litwinom nie przyłączył się i do Białejrusi, zwłaszcza że łączność językowa z nią była zbyt świeża i związku silnego nie zdążyła wytworzyć. Ponieważ zaś w środku obszaru tego znajdowało się promieniejące blizką językowo polskością katolickie Wilno, tedy lud tutejszy coraz bardziej określać siebie zaczął jako polski i tem bardziej stanowiąco, im bliżej językowej granicy litewskiej, gdzie spór narodowy wywoływał szczególne uświadomienie polityczne. Litwini uważają ten proces niekiedy za owoc polskiej intrygi, jak ich ruch odrodzieńczy posądzałszy my o coś analogicznego, ale oczywiście obydwa te wręcz analogiczne zjawiska są w istocie swojej równie naturalne i żywiołowe.

Gdy więc Litwini wyodrębnili się narodowo, Wileńszczyzna zaciążyła ku Polsce, manifestując to wyraźnie w walce na dwa fronty — litewski i rosyjski — o prawa narodowe w kościele, szkole i t. d. już od r. 1905. I jakkolwiek zarówno okupanci niemieccy, jak następnie bolszewicy przyznawali Wilno Litwie, tak czy inaczej skutkiem opisanego procesu narodowego jest obecna granica państwowa polsko-litewska, która nie nastęrcza w Wileńszczyźnie rządowi polskiemu trudności politycznych.

Litwini mimo to uznają ją za gwałt na nich dokonany, odbierający im stolicę. Faktów wyżej przytoczonych naogół nie negują. Że Wilno jest polskie, to przecież historycznie się złożyło, iż wszystkie miasta na Litwie mają ludność polsko-żydowską. Że w okolicy jego mieszkają Polacy bądź Białorusini, to takich wysp polskich nie brakuje i za kordonem obecnym, choćby zaraz pod Kownem albo wzdłuż Niewiaży (Laudańska). Natomiast i ludność litewska dwiema odnogami obszaru etnograficznego zakreśla półkole na obecnym terytorium Rzeczypospolitej w otoku Wilna, na południu do Oran i Ejszyszek, na północy w powiecie Święciańskim do jego wschodniej rubieży. Rzeczą zaś najgłówniejszą jest, że jakkolwiek mały procent stanowią we Wilnie Litwini, było ono istotnie stolicą ich ruchu odrodzieńczego, ogniskowało ich zjazdy, centralne instytucje, prasę i t. d.

Jednym słowem, Wilno jest na Litwie, podobnie jak Helsingfors szwedzki jest w Finlandyi, a niemiecki Gdańsk w Polsce, i Polacy równie sztuczną drogą, przez obszary białoruskie (albo i litewskie częściowo nawet), docierają do Wilna, jak nienaturalne jest oddzielenie od Polski Gdańska lub też jak byłoby równie możliwe fizycznie, ale po-

tworne wyodrębnienie Helsingforsu i szwedzkiej jego okolicy z Finlandyi, a złączenie polityczne ze Szwecją, — a więc Wilno musi wchodzić w skład państwa Litewskiego, które bezeń jest kalekiem i nie-dobudowanem.

Te argumenty, razem wzięte, czynią Litwinów w kwestyi Wilna absolutnie nieprzejednanymi, a stosunek ten rozciągają oni konsekwentnie na Rzeczpospolitą, z którą przeto dotychczas nie nawiązali regularnych stosunków pokojowych. Był czas, że wydawało im się, iż może to tylko Polacy wileńscy są im niechętni, i przysyłali delegacye do Warszawy, lecz upewnili się, że i ona toż stanowisko podziela, gdyż wolę narodową syntetyzujemy z opinii lokalnych.

Z polskiej strony były próby porozumienia. Naczelne Dowództwo, odbierając w r. 1919 bolszewikom Wilno, wysyłało emisariuszy do Kowna. Czyniono to i następnie. Litwini twierdzą wszakże, że delegaci polscy przybywali (zapewne dla względów strategicznych) zbyt późno, kiedy nie było już mowy o wspólnem obu narodów działaniu, ażeby jeno zawiadomić o faktach nieodwołalnie już się dokonywujących. Z innych prób polskich w tym kierunku na największą uwagę zasługuje t. zw. doktryna federalistyczna, najdobitniej wyrażona w inicjatywie jen. Babiańskiego, a na forum międzynarodowem odzwierciadlona w projekcie Huýsmansa. Według pomysłów tych Polska odstępowała Litwie Wileńszczyznę pod dwoma warunkami: 1) obydwaj kraje zawierały ze sobą federacyę, 2) Litwa dzieliła się na dwa autonomiczne kantony — Kowieński (litewski) i Wileński (polski) z dwoma sejmami i delegacyą równą od obu dla spraw wspólnych. Litwini naturalnie projekt ten odrzucili, bo właściwie on w ich stanie posiadania nic nie zmieniał, natomiast tą drabiną instancyi prawodawczych uzależniał ich dotychczasowe nawet terytoryum od Polski we wszystkich sprawach prócz ściśle wewnętrznych. Protestowały przeciw temu projektowi i niektóre nasze ugrupowania, nieżyczące sobie jakiegokolwiek odrębności niewątpliwie przeciw polskiej Wileńszczyzny.

Słowem, do porozumienia nie doszło, i pomiędzy Rzeczpospolitą a Litwą trwa stan tak zwanej „zawieszanej wojny“. Dotąd brak nawet regularnych stosunków dyplomatycznych, konsularnych, handlowych i t. p., i to z krajem, co z nim przez wieki długie żyliśmy w łączności najściślejszej; przez który przeto dostęp dla znacznych połaci naszych do morza, tradycyjny spław przez Niemen, korzystanie z portu Kłajpedzkiego zostały zakorkowane; na który więc i niesposób wywierać jakiegokolwiek wpływ dyplomatyczny w sprawie losu licznych rzesz polskich, tam zamieszkałych. Miejmy nadzieję, że taki stan rzeczy, w najwyższym stopniu nienormalny, szkodliwy, niebezpieczny, krzywdzący nas i jako Hinterland i jako rodaków naszej dyaspory litewskiej, niebawem

się skończy. Nie wnośmy wszakże stąd pohopnie, że będzie to jakimś punktem zwrotnym w stosunku obu narodów, upokorzeniem się Litwy i t. p. U nas bowiem zwolennicy nieprzejednania sądzą, że dążność do normalnych stosunków sąsiedzkich, po wojnie wzrastająca, wyzuje Litwinów wreszcie z przesady nacyonalistycznej, a czas przyzwyczai obywateli bez Wilna, z którego nie może być ta przesada jakimiś alarmami o gnębieniu rodaków podsycana. Ale z drugiej strony nie widac imperatywów tak kategorycznych, któreby zmuszały ich do rezygnacji bezwzględnej w czasie najbliższym i do zawarcia z nami szczerzej ugody granicznej na podstawie status quo.

Czy możemy ten stan absurdalny znosić? Fizycznie jest to możliwe widocznie, o ile kwestyę będziemy rozstrzygali wyłącznie jako lokalną polsko-litewską. Na tem stanowisku wszakże stanąć nam niewolno, musimy skonfrontować ją z całokształtem zagadnień naszych z dziedziny polityki międzynarodowej.

Nieprzejednanie Litwinów w sprawie Wilna popycha ich do rachub na konjunkturę, któraby im stolicę wróciła. Sposobności takiej, gdy my odmawiamy, dostarczyć im mogą tylko nasi wrogowie. Z tego względu Litwini gotowi są wspierać każdą przeciw nam skierowaną akcyę, istotnie wspierali i niewątpliwie wesprą. Czy wiąże ich coś poza tem z naszymi ewentualnymi nieprzyjaciółmi? Oczywiście nic. A raczej boją się oni ich niemniej od nas. O ile bowiem chodzi o Niemcy, nie są oni pewni, czy nie zapragną te po drodze do opanowania Bałtyku jakiejś „regulacji“ granicy litewskiej, to znaczy czy nie odetną ich od morza, zabierając Kłajpedę i może Zmudź; Sowiety zaś czy nie zachciałyby narzucić im swojego ustroju, względnie zabrać Wilna dla siebie? Wogóle doceniają zapewne Litwini znaczenie Rzeczypospolitej jako pośredniej gwarantki ich niepodległości, o ile sama się na nich nie targnie, i prawdopodobnie rozumieją, że gdyby Polska runęła lub też bardzo znacznie została okrojona, to wkrótce potem i ichby los taki spotkać musiał. To też sądzić należy, że w głębi duszy Litwini pragnęliby raczej móż porozumieć się z nami, skoro utrzymanie trwałe niepodległości jest ich istotnem dążeniem. Niemcy wprawdzie bardzo szeroko zakreslili granice państwa Litewskiego, ale przecież poddawali je swojej supremacyi, która w razie, gdyby Polska również urządzona została według planów niemieckich, szybko by się przekształciła w niewolę polityczną. Bolszewicy również wiele Litwinom przyznali, ale gdy mieli dyktować pokój Polsce, żądali wspólnej granicy z Niemcami, poczem oczywiście i wszystkie trzy państwa bałtyckie — Litwę, Łotwę, Estonię — włączyliby do swej „federacyi“ podobnie jak republiki kaukaskie. Możliwe, że Litwini nieco się w tym względzie łudzą, i naszym obowiązkiem jest im te złudzenia wyperswa-

dować. Nie patrzą zresztą na daleką metę, widzą jeno, że na razie sytuację ich wzmacnia poparcie rosyjskie lub niemieckie i że z naszego osłabienia wyciągnąć mogą doraźną korzyść, nie zastanawiając się, że tylko naszej sile zawdzięczają tę przyjaźń Danajów, którzy z pewnością nie liczyliby się z Litwą po naszej klęsce.

Przy nastrojach tych Litwini na wypadek np. wojny polsko-niemieckiej zachowaliby zrazu neutralność, ażeby w chwili stosownej wyciągnąć rękę po Wilno, albowy zależnie od rachuby szans swoich od początku wojny przeciw nam wystąpili. W tej i w drugiej ewentualności zająć może okoliczność, że wojska niemieckie otoczą oprócz zachodniej także całą naszą granicę północną, pamiętajmy bowiem, że tam poza Prusami i Litwą zostają nam tylko dwa kurytarze, pomorski i dźwiński, obydwaj dość wazkie i trudne do obrony, a więc względnie łatwe do przerwania. Niesposób powątpiewać, że w tym razie oparcie się przez nas najazdowi staje się problematyczne.

Z tego wynika, że niepodobna rozpatrywać stosunku naszego z Litwą w oderwaniu od problemów polityki zasadniczych, że nie jest więc ona bynajmniej z tego stanowiska dla nas *quantité negligeeable*, że przeciwnie zawierać może klucz naszego powodzenia lub klęski w razie ataku niemieckiego na Polskę, a w każdym razie w dopuszczalnej logicznie roli sojuszniczki lub nawet tylko ewentualnej sojuszniczki niemieckiej zdolna jest przynajmniej unieruchomić pewne siły nasze, co w rozprawie i pomimo tego niesłuchanie ciężkiej może na wyniku jej zaważyć w sposób decydujący. Są to ewentualności nie od nas tylko zależne, niewolno więc nam powiedzieć optymistycznie, że są wyłączone, a więc mogą się i zbiec z sobą w ten czy inny dla nas wielce niebezpieczny splot. Jeżeli zaś ze stu przewidywań przyszłego rozwoju wypadków natrafiamy w jednym: na przypuszczenie, że wrogość Litwy staje się przyczyną naszej klęski w samoobronie państwowej, wystarcza to, żeby poddać nasz z nią stosunek krytycznemu przejrzaniu.

Rewizja jego może pójść w dwu kierunkach. Przewidując niebezpieczeństwo wystąpienia Litwy wrogiego nam w chwili rozstrzygającej, możemy zdecydować się na to, żeby ją obezwładnić zawczasu, to znaczy podbić. Trzeba z góry przewidywać, że obojętnie względem tego nie zachowają się czynniki postronne. Nie wiem, jak sobie poradzilibyśmy z instancjami międzynarodowymi. Ale zarówno Niemcom, jak Sowiecom musielibyśmy złożyć poważne rekompensaty, nawet gdyby kwestya sama przez się była dla nich obojętna; im zaś przeciwnie zależy bardzo na tej łączącej je dłoni. Ileż razy omijają naturalną drogę tranzytową przez Polskę, kierując transporty przez Łotwę, Litwę, Prusy i kurytarz! Kompensatą dla Niemiec musiałoby być conajmniej

Pomorze, dla Sowieców w najlepszym razie Estonia i Łotwa. Już pomijając inne względy, dla których na to pójść nie możemy, uzyskujemy wzamian terytorium niespokojne i z dwu stron przeciw nam jątrzone na jedynej wówczas pozostającej a ważkiej drodze ku morzu.

Wprawdzie zdarzało się słyszeć głosy w okresach krytycznych od ludzi znających stosunki miejscowe, że właśnie Litwa jest judzona przeciw nam przez swoich prowodyrów, którzy się narzucili siłą faktu i niemieckiej intrygi ludowi, że lud ten jest w zasadzie spokojny, nawet o niepodległość nie dba, prowodyrówby chętnie usunął i rządy polskie przyjął jak błogosławieństwo (chyba o nie dbałby jeszcze mniej). Rozumowanie to, dziwnie przypominające analogiczne bajki rosyjskie o ludzie polskim, na manowce patryotyczne prowadzonym wbrew woli jego przez księżopanąską inteligencję, jest błędne. Gdy Polak interwiewować będzie Litwina z gminu, ten może mu coś podobnego opowiedzieć, częściowo z przyzwyczajęń klasowych, częściowo nawet szczerze, bo jasną jest rzeczą, że żaden rząd ani żadna inteligencja, jako złożone z indywidualności poszczególnych, a żyjące w warunkach pieczętujących je osobliwie, nigdy i nigdzie nie odzwierciadlały mechanicznie t. zw. woli ludu i w tym czy innym stopniu zawsze się z nią mijały. Ale od tego do pohopnych wniosków powyższych jest jeszcze bardzo daleko. Bowiem rząd i inteligencja litewska, jakiegokolwiek są, stanowią wykwit naturalny swojego ludu i innych on nie stworzy. Bierny zaś żywioł, który jak wyżej ci czy inni Polacy charakteryzowali, związany jest z nimi tak ściśle, że na wezwanie za ich wskazówkami pójdzie. I idzie za głosem ich nie tylko w Litwie Kowieńskiej, ale i na skrawkach litewskich Rzeczypospolitej, gdzie stosownie do ich nakazów np. bojkotował wybory do Sejmu Wileńskiego. Nas zaś nie przyjmie z rozpostartymi objęciami, bo wie, że ten jego rząd dotychczasowy dał mu reformę rolną kosztem posiadania ziemskiego Polaków, i będzie się lękał—mniejsza, czy nieszlusnie,—że zechcemy je restytuować.

Zresztą są to na szczęście wywody nieaktualne, skierowane przeciw pożądaniam jednostek lub niestety zawsze u nas możliwym nawrotom opinii, zdaje się, że wszyscy rozumiemy dokładnie, iż tego rodzaju regulacja stosunku z Litwą, gdyby nawet nas zachęcano do tego zezwoleniem mocarstw, byłaby krokiem nieobliczalnym i nie prowadzącym do żadnych korzyści konkretnych, a raczej wzmagającym — może nawet bezpośrednio — ewentualność katastrofy.

X.

Pozostaje tedy tylko drugi sposób przeciw współdziałaniu litewskiemu z naszymi nieprzyjaciółmi, skoro usunięcie niebezpieczeństwa tego uznaliśmy za postulat zasadniczy, któremu wiele innych podporządkować trzeba. Tym drugim sposobem mogą być tylko nowe próby dojścia z Litwą do pełnego porozumienia, ponieważ, jak wskazywałem, lekceważyć obecnej postawy jej względem nas w ciężkiem otoczeniu swem nie mamy prawa. Dotychczasowe usiłowania miały na celu stosunek do nas Litwy zasadniczo zmienić, ale nie doceniały stopnia dokonanej odrębności litewskiej, — podobnie jak zwolennicy nieprzedjednania wrogość litewską względem nas szpetnie przesadzali, uznając za niezależną od aktualnych sporów i żadnemi ustępstwami niedającą się wykorzeńić. Zasadniczymi dezyderatami polityki litewskiej są niepodległość i integralność, która w rozumieniu jej ogarnia Wilno. Najdalszą rezygnacją, do której niektórzy z nas się skłaniali, był, jak wyżej powiedziałem, projekt Huysmansa, czyli przekazanie Litwinom Wilna ściśle formalne, przyczein wraz ze swoim kantonem w połowie ją reprezentowałyby w decyzjach federacji Litwy z Rzeczpospolitą o sprawach zewnętrznych, w których Litwini tedy reprezentowani byli by przez jedną czwartą część delegatów, mając właściwie tylko głos doradczy. Był to projekt zanadto idealistyczny, — takie porozumienia mogą zawierać tylko odłamy jednego narodu, jak to ma miejsce w ustroju Rzeszy lub Szwajcaryi. Innemi słowy, oddając rzekomo Litwie nasze Wilno, czyli uwzględniając formalnie jeden z dwu jej postulatów zasadniczych, za to żądaliśmy wyrzeczenia się faktycznego przez nią niepodległości, drugiego z tych postulatów, w oczach Litwinów niewątpliwie donioślejszego. Projekt ten nie może więc wchodzić w rachubę. Zresztą niepodległość Litwy uznajemy i szanujemy bezwzględnie, rewizya tego stanowiska w związku ze sprawą wileńską

nie byłaby skuteczna, i kwestya porozumienia polsko-litewskiego powinna być sprowadzona wyłącznie do sporu granicznego, czyli do kwestyi państwowej przynależności Wilna.

Pomijam tu względy nasze uczuciowe, jako zupełnie zrozumiałe i znane. Nie dlatego, żeby nie stanowiły o polityce. Przeciwnie, zwłaszcza w polityce naszej odgrywają one rolę szczególnie wybitną, odwołaniem się do uczuć można u nas osiągnąć więcej, niż jakąkolwiek argumentacją. Przecież silnemu uczuciu narodowemu zawdzięczamy zarówno przetrwanie niewoli, jak odzyskanie niepodległości. Nawet państwa zaborcze, operujące wyłącznie zimnem wyrachowaniem, celem pozyskania poparcia mas swoich, doceniając czynnik polityczny ich uczuć, perfidnie się do nich odwołują*). Niestety wszakże częstokroć musieliśmy hamować swoje najbardziej usprawiedliwione uczucia narodowe i podporządkowywać je pewnym racyom stanu, słusznym lub za słuszne uznawanym. Przecież wbrew uczuciu orientacya rosyjska z czasów wybuchu wojny europejskiej opowiadała się przeciwko niepodległości Polski, lecz dla pewnych względów polityki ściśle rozumowej i, jak się zdaje, nawet na dalszą metę obliczonej. Tembardziej napewno, wysuwając ideał zjednoczenia dzielnic w Polsce autonomicznej, poza jej granicami zostawiała z bólem serca Lwów i Wilno. Również zwolennicy Polski niepodległej, orientujący się ku Austrii, względnie Niemcom, z pewnością nie z uczucia, lecz z wyrachowania rezygnowali nie tylko z Pomorza i Śląska, lecz nawet z Poznańskiego i niekiedy nadto Galicyi. Sądzieliśmy, że musimy po stuletniej niewoli za dobrodziejstwo losu uważać spełnienie ideałów naszych choćby w tej lub innej części. Na szczęście rozumowania nasze okazały się błędne, były przyćmione uczuciem powszechnem naszej nicości, które nam nie pozwoliło ogarnąć umysłem wagi momentu i naszej w nim pozycyi. Dziesięć lat zaledwie minęło od tamtej chwili, a już od lat pięciu mamy i niepodległość, i zjednoczone dzielnice, a wśród nich Poznańskie, Pomorze i Śląsk, Wilno i Lwów.

Dziś, jeśli co przyćmiewa zdolność naszą do ocen rozumowych sytuacji politycznej, to właśnie ten kontrast, jaki pomiędzy położeniem Polski w r. 1914 a r. 1921 zachodzi. Zapominamy, że to była rewolucya. A rewolucye mają to do siebie, że gwałcąc te czy inne, słuszne czy urojone interesy, lubią mieć po sobie reakcye, kiedy te niedobite na śmierć interesy podnoszą głowę. Taki okres reakcyi przeżywamy obecnie, czujemy to i na kordonach naszych, i na kresach, i na szerokim świecie, wobec czego zadaniem naszym jest, mówiąc stylem sowieckim, obrona zdobyczy rewolucyi, — gdy zaś czujemy, że w całości ocalić się nie dadzą, uratowanie zdobyczy podstawowych, ażeby

*) I do naszych, jak pod Gravelotte lub w odezwie wielkksiążęcej.

wszystkiego napowrót nie utracić, jak to nam po okresie napoleońskim się zdarzyło. W danym razie chodzi o to, ażeby w środowisku „wrogów rewolucyi“ zrobić wyłom, z nienaturalnego zwolennika reakcyi, który rewolucyi zawdzięcza istnienie, uczynić jej obrońcę. Skoro wymaga to z naszej strony pewnych ofiar, muszą być złożone celem utrwalenia fundamentów naszego istnienia.

Powstają wszakże tu naturalne pytania. Gdy mowa o ustępstwach na rzecz Litwy, a dotyczyć mają tych lub innych uprawnień naszych względem klejnotu Rzeczypospolitej, — czy poświęcenie tu czegokolwiek opłaciłoby zyski, jakie Litwa nam dać może? i czy je pomimo naszych rezygnacyi dać zechce? Jeżeli sytuacja zniewala nas istotnie do zrzekania się jakichś praw lub terytoryów, korzystniejszeby na pozór było za nie zdobyć neutralność lub pomoc kogoś z sąsiadów potężniejszych. Ba, jasną to jest rzeczą, ale nieosiągalną, każdy z nich bowiem zdyskontuje taką rezygnację, jako wzmocnienie się swoje, a osłabienie nasze, czyli jako pretekst do dalszych żądań, których końcem jest rozbiór Polski. Przecież już robiliśmy tak nieraz i skutki znamy. Z drugiej strony pomoc Litwy nie daje nam wprawdzie zbyt wiele, o ile chodzi o siłę jej zbrojną. Korzyści, jakie zawiera w sobie unormowanie stosunku polsko-litewskiego, są natury odmiennej. Stanowi ono o zmniejszeniu tarć, na jakie naraża nas sprawa wileńska w opinii zachodniej, czulej na skargi narodów pomniejszych. Przekonaliśmy się przecież chyba, zwłaszcza w okresie napoleońskim oraz czasu wojny ostatniej, ile zawdzięczamy sympatjom ludów Europy oraz Ameryki. Kapitału tego strzedz musimy, bacząc pilnie, by się przeciw nam nie obrócił. Tedy rachuby na przewagę fizyczną i stąd na brak potrzeby liczenia się z żądaniami słabych sąsiadów są zaiste obłudnie warcholskie. Wdzieliśmy, jak czemś podobnem przeciw sobie opinię świata burząc, zaborcy nasi to w wojnie ostatniej odpokutowali.

Poza tym względem ogólnym, doniosłym skutkiem uregulowania sporu polsko-litewskiego byłoby rozszerzenie naszych dróg polityki bałtyckiej. Już dziś ledwie sięgając nad Dźwiną granicy łotewskiej, stajemy nad morzem politycznie mocniej, niż przez sam Gdańsk. Atoli zatarg z Kownem znacznie korzyści ewentualnie stąd płynące redukuje. Stanowi bowiem główny powód wahań Estonii i Łotwy, z jakim trzeciem państwem należy związek bałtycki zawiązać: z małą Litwą, biorąc w posagu antagonizm jej polski, czy z wielką wprawdzie, lecz budzącą pewne obawy Rzeczpospolitą, wraz z jej zatargiem z pokrewną im duchowo, a Łotwie i rasowo Litwą? Rozumiemy wraz z niemi dokładnie, że właściwie związku bałtyckiego ani bez Polski ani bez Litwy być nie może, byłaby to koncepcja zgoła nienaturalna, niewykończona i przez to niętrwała. To też pragnieniem Estonii i Łotwy, w sporze

polsko-litewskim niezaangażowanych, jest słusznie więc c z w ó r p o r o z u r m i e n i e, które i nas stawia nad Bałtykiem twardą nogą oraz wszelkiemi drogami doń zbliża, z bogaca o siłę trzech narodów, liczbą nieznaczących, lecz żywotnych, które nie w naszym, ale w swoim interesie własnym bronić zawsze będą całości i spójności związku, nie przysparzając nam żadnych nowych antagonizmów państwowych poza temi, jakie mamy i w jakich przeto stajemy się silniejsi. Dzięki zaś wyraźnemu stanowisku Estonii i Łotwy mielibyśmy spokój, że już pomijając zniknięcie powodu do wrogich wystąpień Litwy, z chwilą ułożenia się jej z Polską, do nich nie dopuszczą.

Najdonioślejszą zaś zaletą uzgodnienia stanowisk pomiędzy po-bratymcami dziejowymi jest nie tylko to, że przechylenie się Litwy na naszą stronę w porównaniu z wrogością dzisiejszą wzmacnia nas w zatargu z Niemcami o jej siłę podwójną, ale przede wszystkim podwajamy również tym sposobem przedział terytoryalny pomiędzy Niemcami a Rosją, ułatwiając sobie samoobronę wogóle, na granicy północnej w szczególności. Pomorze przestaje być kurytarzem dzielącym państwo niemieckie, właśnie Prusy Wschodnie z tą chwilą stają się enklawą sztucznie rozbijającą spójnię terytoryalną czwórporozumienia nadbałtyckiego. Nie powinniśmy więc gardzić w kłopotach międzynarodowych stanowiskiem Litwy. Najlepszym po temu jest argumentem, że nie lekceważą jej bynajmniej jako ewentualnej sojuszniczki Niemcy ani Moskale, a więc z pewnością nie będzie im obojętną jako przeciwniczka. Czyli i my nie mamy prawa przechodzić do porządku dziennego nad jej wrogością ani sądzić, że przyjaźń jej byłaby dla nas bez znaczenia. Choćbyśmy zaś mieli w ewentualnej wojnie sprzymierzeńców najpotężniejszych, musimy być silni bezwzględnie przede wszystkim na swoim terenie, a do tego celu zróżnicowanie naszej granicy, tak niemal jednolicie ziejącej niebezpieczeństwami, jest nieodzowne.

Spór z Litwą, o ile drogę ułożenia z nią stosunków ominiemy, przez to nie ustanie, będzie więc permanentny. Pamiętajmy zaś, że historia zwykle w takich wypadkach następcza okazyje do tryumfu kolejnego stanowisk przeciwnych, czyli pewności nie miejmy zbyt, że zawsze posiadanie swe, które inny naród uważa za sporne, utrzymamy w rękę. Ponieważ zaś zatarg z Litwą w przeciwieństwie do zamachów niemieckich nie godzi w samo istnienie nasze ani podstawy jego, będąc jeno typowym zagadnieniem granicznym, tedy uzgodnienie stanowisk stron przy ofiarach pewnych nastąpić w istocie może. Trzeba jeno, by któraś z nich zechciała zejść raz ze stanowiska nieprzejednanego, powodując w dalszym ciągu obopólne ustępstwa.

Pierwszem, historycznym, dążeniem niemieckiem jest odcięcie Polski

od Bałtyku, i wzrok baczny winniśmy utkwić w Pomorze. Obrona „kurytarza“ górować musi nad wszystkimi innymi zagadnieniami polityki polskiej. Z chwilą, gdy go stracimy, zostaniemy uzależnieni zupełnie od Rzeszy, która okalając nas od zachodu i północy szczelnie, panować będzie nad głównymi drogami łączności naszej ze światem i nad życiem gospodarczym kraju, we względzie zaś politycznym lub strategicznym siedzieć na Pomorzu będzie jak na siodle, ściskając nas ostrogami śląską i wschodniopruską. Jedna z dróg ratunku prowadzi przez Wilno. Dalekie to pozornie kwestye i różne fronty. Mimo to logika rzeczy je wiąże. Trudniej jest nam utrzymać Pomorze, mając prócz Niemiec przeciw sobie Litwę. Powinniśmy się więc zastanowić, czy konieczniejszym jest dla nas państwo wo z dwu równie narodowo drogich uprawnień posiadanie bez zastrzeżeń integralne ziemi Wileńskiej czy dostęp do morza, bo wobec tego stoimy poniekąd wyboru i rozstrzygamy losy państwowe Kaszub w swej polityce litewskiej,—a raczej którego z uprawnień tych strata nieodwołalniej przyczynia się do naszej zguby ostatecznej, jako jednostki samodzielnej politycznie i gospodarczo. Wydaje się, że tu dwu odpowiedzi być nie może.

Nie znaczy to wprawdzie, że ułożenie się z Litwą bezwzględnie Pomorze ratuje, musimy i pozatem szukać dlań oparcia, ale zdaje się, że wrogie jej po stronie niemieckiej wystąpienie równie bezwzględnie nas z wybrzeża usuwa. Ten pewnik powinien skłonić Rzeczpospolitą do odważenia się na wejście z Litwą w zasadnicze rokowania, gdziebyśmy przedmiotem targu uczynili pewne swe uprawnienia do ziemi Wileńskiej, nie dla Litwy czyniąc te poświęcenia, lecz dla Polski, pod przymusem zaiste tragicznej sytuacji naszej. Jako *beati possidentes*, powinniśmy stawiać warunki i zastrzeżenia w ramach, obustronnie ugody nie wyłączających.

Przedewszystkiem zastanowić się należy nad pytaniem, jakie terytorium umowa powinna ogarniać.

W tym względzie mamy pomiędzy zasadniczymi zwolennikami jej dążność do ujęcia go w ramach administracyjnych dzisiejszych ziemi Wileńskiej do granicy traktatu sowiecko-litewskiego z r. 1920, a raczej do obecnego rosyjskiego kordonu.

To założenie umotywować nie jest trudno. Pierwszym argumentem na korzyść takiego określenia terytorium kwestyonowanego jest jego naturalność. Kształt państwowy Polski pozostałej przybiera również wygląd bardziej normalny. Litwini przez ewentualne tu swe uprawnienia wciągnięci zostają w orbitę zainteresowań wspólnych z Polską w zakresie ustalenia stosunków z Sowiecami. Specjalnie przeciwko węższemu, zakreśleniu terytorium, o które chodzi, przemawia, że pozostała część naszych kresów północno-wschodnich w tym razie nie mia-

łaby żadnego ośrodka ciężenia, jakim jest dla niej Wilno. Oczywiście, z tych argumentów jedynie drugi ma znaczenie poważniejsze, ale widoczne jest, jak jest obosieczny, przy dotychczasowych nastrojach litewskich właśnie sąsiedztwa sowieckiego z Litwinami ryzykować nie należy, i niewątpliwie kurytarz dźwiński stanowi zaletę traktatu Ryskiego. Przekonywa doń jeszcze jeden wzgląd — na naszą politykę białoruską, — ale o tem się dowiemy dalej.

Natomiast istotnie przemawia za tak szerokiem zakresie obszaru, o jaki mielibyśmy się z Litwą układać, że gdybyśmy się nawet zdecydowali go w całości i bez zastrzeżeń przekazać Litwie, w razie tym Polacy stanowiliby w granicach jej czynnik, liczebnie równoważący się mniej więcej z Litwinami, a więc taki, co nie tylko nie może być przez rządy litewskie lekceważony, ale osiągnięciu napewno stanowisko współgospodarza całego państwa, które z litewskiego stałoby się w istocie polsko-litewskim, w żadnym zaś razie nie dopuści do jego frontu antypolskiego czy wogóle interesom Rzeczypospolitej nie odpowiadającego. Przez uzgodnienie zaś zasad politycznych obu współgospodarzy kraju powstałaby może nowa Szwajcarya, historycznie tu usprawiedliwiona, i wróciłoby dawne pozajęzykowe pojęcie Litwina.

Przechodząc nad temi mrzonkami do porządku dziennego, przypuścić raczej należy, że z punktu widzenia polskiego bardziej pożądanem jest spór możliwie zlokalizować, zamykając kwestyę na terytorjum koniecznem najmniejszym. Wprawdzie obecnie Litwini skłonni są przejść na nasze dawne pozycye „krajowe“ i tworzyć Litwę językowo pstrą pod swoją hegemonią narodową, jak nasi krajowcy marzyli o odrestaurowaniu Wielkiego Księstwa Litewskiego pod przewodnictwem politycznem polskiem. To też okupanci niemieccy stworzyli Litwinom państwo, graniczące już nieomal pod Brześciem z Ukrainą. A i od bolszewików wyjednali Litwini prócz Wilna i Suwałki, i Grodno, i granicę wschodnią na rubieży przeważającej ludności katolickiej. Wszakże niewątpliwem chyba jest, że państwo Litewskie w takich granicach bynajmniej nie stworzyłoby idyllicznej Szwajcaryi, ale wprost przeciwnie zostałoby wiecznem ogniskiem swarów narodowościowych, Austryą raczej w miniaturze, gdzie Litwini o każdą placówkę spieraliby się nieustannie z Polakami, każdy z nich zabiegał o Białorusinów, a żydzi byłiby jęczyckiem u wagi. Może to i znośneby było gdzieś na krańcach świata, ale tu, w samym centrum antagonizmów europejskich, państwo takie żadnejby polityki prowadzić nie było w stanie. Jeżeli niesłuchanie zachłanny nacjonalizm litewski tego nie rozumie i gotów jest rewindykować zdobycze różnych średniowiecznych książąt, to w naszym interesie politycznym bynajmniej nie leży państwo litewskie żywotności pozbawione.

Z drugiej strony, zgoła złudnem jest mniemanie, że w tak zakreszonych granicach Litwy istotnie Polacy dorównywaliby liczbą Litwinom. Byłoby ich coprawda bardzo dużo, niepotrzebnie oderwanych od macierzy. Ale o ile chodzi o grunt polski absolutnie pewny, na którymbyśmy się w państwie Litewskiem opierali, nie należy go sobie wyobrażać przesadnie imponującym. Procesy narodowe, o których była mowa w rozdziale poprzednim, są bardzo świeże, tem świeższe, im dalej od granicy litewskiej na wschód. Powrotnej lituanizacji spodziewać się niepodobna, ale odpolszczenie się ludu na rzecz Białorusinów jest zgoła pod rządami obcemi prawdopodobne, bo językowo jest bezsprzecznie polską tylko bardzo wątła smuga graniczna. Sami Litwini, gdy proponowali plebiscyt w Wileńszczyźnie, opierali rachuby swe głównie na jej częściach wschodnich. Naszem tedy i z tego punktu widzenia żądaniem być winno, żeby obszar sporny nie wykraczał poza ściśle litewskie i pewne polskie terytorya za granicę językową białoruszczyzny, ażebyśmy nie ryzykowali swego narodowego dorobku, jak to się dzieje na Łotwie, gdzie rząd wśród świeżo spolonizowanej ludności szczepi z powrotem białoruszczyznę. Sama zasada zresztą zabezpieczenia na wypadek układu z Litwą praw ludności polskiej w Wileńszczyźnie jej liczbą jest niewłaściwa, gdy bowiem skłaniamy się do przyznania tu Litwie rozmaitych uprawnień, czy nie będą one zupełnie sztuczne i niczem nieuzasadnione na obszarze, której części przeważnej nic z Litwą nie wiąże?

Te względy wydają się poważniejsze od motywów, przemawiających za rozszerzeniem obszaru spornego, bodaj czy nie utrudniającem poważnie właściwego wyniku politycznego, jakiego po układzie polsko-litewskim pragniemy się spodziewać. Przecież terytoryum, na którym Litwinom prawdziwie zależy (poza paroma gminami litewskimi Suwałszczyzny), ogarnia dwa wyżej wymienione rąbki etnograficzne litewskie, przecinające jeden na południe, drugi na północ od Wilna naszą kolej żelazną Grodno-Dyneburg, oraz przestrzeń, wypełniającą półkole, przez nie i obecną granicę litewską tworzone, z Wilnem na czele. Są to powiaty Wileńsko-Trocki, północna połowa Święciańskiego i zachodnia Brasławskiego ziemi Wileńskiej*), granica zaś wschodnia tego obszaru biegnie równolegle do kolei żelaznej, o której była mowa, w nieznacznej od niej ku wschodowi odległości; terytoryum to całe o 15 tys. km. kw. zawiera nieco ponad półmilioną ludności, w czem w liczbach okrągłych Wilno zamieszkuje 200 tys., Litwinów zaś na całym obszarze jest 100 tys., Polaków 300 tys. i żydów 100 tys., innemi słowy jest tu pewna podstawa logiczna w składzie ludności do pertraktacyi z Litwi-

*) oraz część jednej gminy pow. Grodzieńskiego i skrawek pow. Lidzkiego.

nami, a zarazem mieści się cały zespół ziem, o które Litwini naprawdę i szczerze kwestyę podnoszą, gdy wszystkie inne swoje pretensje niewątpliwie sami uznają jeśli nie za przesadne, to za nieistotne. W dalszym ciągu właśnie ten obszar nazywać będą Wileńszczyzną.

Gdyby układ polsko-litewski doprowadził do takiego czy innego jej wyodrębnienia, pozostałe obszary obecnej ziemi Wileńskiej odejśćby musiały w skład województwa Nowogródzkiego. Wprawdzie ani Nowogródek, ani żadne inne miasto nie stanowi dość poważnego ośrodka,—lecz nie jest to winą kwestyi litewskiej, lecz traktatu Ryskiego, który poza granicami Rzeczypospolitej zostawił Mińsk. Ale o tem później

XI.

Ci, co projektują rozszerzenie obszaru Wileńszczyzny, entuzjazmują się dla ugody polsko-litewskiej, traktując ją niezależnie od naszych kłopotów z Niemcami lub Sowiecami, i wyniki jej wyobrażają sobie w barwach tęczy. Wyżej zaprojektowane zwężenie jego pochodzi z braku nastroju sielankowego. Przecież niewątpliwie wszyscy wolelibyśmy, ażeby stan granic obecny został nietknięty, żeby Litwini z nim szczerze się pogodzili i bez jakichkolwiek bolesnych cięć naszego organizmu zawarli z nami przyjaźń na podstawie status quo. Jeżeli więc mowa jest o konieczności pewnych ustępstw czy rezygnacji z naszej strony na rzecz pretensji litewskich, dyktowane one są przez liczenie się z twardymi warunkami naszego bytu państwowego w obecnej konstelacji międzynarodowej i dokonywaneby były napewno z ciężkim sercem. Zgoła bez entuzjazmu przystąpilibyśmy niewątpliwie do układu polsko-litewskiego, bo musiałby dla nas oznaczać właśnie rezygnację, choćby częściową, z tego, co jest nam drogie, a w wyniku bądź cobądź pewną część naszej ludności postawiłby w sytuacji od obecnego jej położenia mniej lub więcej gorszej.

Skoro uznaliśmy w kwestyi Wileńskiej pewne rezygnacje nasze za nieodzowne, mogą one z naszego stanowiska przybrać jeden z kształtów następujących: albo cedujemy Wileńszczyznę państwu Litewskiemu z pewnemi poważnemi zastrzeżeniami i za cenę określonych korzyści, albo ustalamy tu condominium. Każde inne rozwiązanie kwestyi, albo bardziej od obu tych sprzyjające Litwinom, albo znów nam, z góry skazane jest na odrzucenie przez stronę przeciwną.

Namby dogadzało bardziej pozostawienie Wileńszczyzny jako integralnej części Rzeczypospolitej. To oczywiście pertraktacje zrywa. Litwinom dogadzałoby przyjęcie jej od nas bez żadnych zastrzeżeń i zobowiązań. To znów jest nie do przyjęcia dla nas. Litwini to rozu-

mieją, wobec czego żądając od nas Wilna, pewne zastrzeżenia nasze podejmowali się uszanować.

Odrzucali tedy podział Litwy na dwa kantony — polski i litewski, ale zgadzali się na to, by terytorjum polskie Litwy stanowiło jedną z jej prowincyi i korzystało z odpowiedniego samorządu. Odmawiali uznania języków polskiego i litewskiego za równorzędne urzędowe języki państwa, a polskiego za jedyny urzędowy Wileńskiego kantonu, ale przy zachowaniu dla języka litewskiego praw języka państwowego zgadzali się uznać szerokie uprawnienia innych języków (polskiego, białoruskiego i żydowskiego) w obwieszczeniach państwowych, w Sejmie i samorządzie, urzędach, sądach i szkolnictwie. Odrzucali dualizm władz, ale przystawali na proporcjonalne w nich mniejszości narodowych przedstawicielstwo.

W tej ewentualności, że szlibyśmy na cesyę Wilna Litwie, ponieważ nam nie zależałoby na tem, by Polacy tamtejsi czuli się źle, pragnęlibyśmy przeciwnie, żeby współpracowali z państwem, któregooby obywatelami byli, pewnemi zastrzeżeniami musimy to zabezpieczyć. Wyżej wymienione „ustępstwa“ Litwinów z naszym zrzeczeniem się Wilna nie są współmierne. Możemy przystać na to, by terytorjum polskie Litwy nie rozbijało jej jednolitego zarządu wewnętrznego i stanowiło zaledwie zwykłą prowincyę, ale granice jej*) i samorząd mają być ustalone w układzie, samorząd zaś ten nie może być zbyt ciasny. Winniśmy nadto mieć gwarancyę, że istotnie Wilno zostałoby w tym razie stolicą Litwy, nie bacząc, że właśnie w tym charakterze jest żądane, bo zapewnia to mu większy wpływ na rząd litewski jako siedzibie władz. Gdyby w tym razie Wilno do składu prowincyi polskiej nie należało, będąc miastem administracyjnie wyodrębnionem, musiałoby mieć statut odrębny, również w układzie określony ściśle i zabezpieczający jego istotną samorządność, jako komuny. Ponieważ w omówionych granicach Wileńszczyzny język białoruski jest poza rachubą, żydowski zaś podlega specyficznemu traktowaniu, tedy w kwestyi praw językowych oprócz litewskiego wchodziłby w grę właściwie tylko polski. Wobec tego zaś, że zależy nam na losie mniejszości polskiej w Litwie całej i na udziale jej w pracy państwowej, tedy stanowiskiem naszym w sprawie językowej jest powszechne równouprawnienie obu języków, a raczej ustalenie dla polszczyzny miejsca drugiego w państwie Litewskim języka urzędowego. Zaznaczaliśmy, że nie dążymy do przekształcenia Litwy ani na Szwajcaryę ani na Austryę. Ale zachodzi wielka analogia pomiędzy Litwą a—Finlandyą, gdzie jakkolwiek Szwedzi stanowią kilkanaście zaledwie procent ludności, jakkolwiek

*) Ogarniałyby nie całą Wileńszczyznę, ale zatoby objęły pewne przyległe skrawki Litwy obecnej.

są okolice czysto szwedzkie, a jeszcze liczniejsze czysto fińskie, jednakże dla zasady kolaboracji państwowej obu narodów języki ich są absolutnie równouprawnione na całej przestrzeni państwa. Już rezygnacją z tej analogii byłaby zgoda nasza, by język polski jako urzędowy zajmował drugie miejsce, co nie przeszkadza, by mógł być jedynym językiem wykładowym w szkołach polskich, jak litewski w litewskich, z tem że się naucza wszędzie obowiązkowo i języka drugiego. Również obywatelom Polakom przysługiwałoby oczywiście prawo nie tylko zwracania się do władz i otrzymywania odpowiedzi w swoim języku, ale i przemawiania tylko po-polsku w sejmie, samorządzie i sądach. Jako drugi język urzędowy, język polski musiałby być równouprawniony na kolejach, monecie, gmachach urzędowych, w ustawodawstwie, publikacjach rządu i samorządu i t. d., w czem i na terytorium Kłajpedy*). Oczywiście i proporcjonalne przedstawicielstwo Polaków we władzach prawodawczych, obsadzaniu urzędów, parcelacji majątków i t. p. winno być ściśle układem sprecyzowane, a również zastrzeżone uszanowanie dorobku kulturalnego polskiego w Wilnie. Ugoda zyskuje gwarancję obu państw umawiających się, a tak dla zmian jej, jak rozstrzygania wynikłych z niej sporów powołany byłby arbitraż instancyi międzynarodowych. Taby miały być zastrzeżenia minimalne, gdybyśmy się zdecydowali na oddanie Litwinom Wilna, nie mówiąc na razie o korzyściach, jakie wzamian otrzymałoby z tej rezygnacji państwo Polskie.

Gdyby zaś bądź te korzyści miały być mniejsze od spodziewanych, bądź zaś układ powyższy wydałby się Litwinom zanadto wkraczającym w ustrój ich terytorium dotychczasowego, pozostawałoby drugie rozwiązanie kwestyi w postaci condominiumu polsko-litewskiego w Wileńszczyźnie, jak niegdyś na Inflanciech. Przy tego typu układzie obecna granica litewska pozostałaby nietknięta, za nią wszystko zasadniczo po-staremu, prócz chyba przyrzeczenia, że prawa mniejszości polskiej będą szanowane, stolicą i siedzibą władz litewskich nadalby było Kowno. Zmiana polegałaby na tem, że obszar Wileńszczyzny byłby wyodrębniony z Rzeczypospolitej i urządzony dość podobnie do dzisiejszego wolnego miasta Gdańska, czyli miałyby władze autonomiczne, zagwarantowane przez oba państwa, delegujące swoich komisarzy i ewentualnie załogi oraz umawiające się o pokrywanie deficytów prowincyi, o kordony celne, tabor kolejowy i t. d., przyczem oczywiście obydwaj kontrahenci i ich obywatele mieliby równe tu prawa

*) Gdyby Litwini na zasadę finlandzką absolutnie nie przystawali z obawy przed jej wpływem polonizacyjnym, pewne modyfikacje ona dopuszcza w postaci wzmocnienia praw języka polskiego na obszarach o znacznej ludności polskiej i osłabienia ich na przeważnych pozostałych.

i obowiązki, a podlegałyby w kwestyach spornych arbitrażowi międzynarodowemu, jako wzajemnej gwarancji pokojowego ich załatwiania. W urządzeniach zaś wewnętrznych Wileńszczyzny pomimo przewagi polskiej należy wprowadzić absolutne równouprawnienie obu narodowości i obu języków oraz stosowne ich przedstawicielstwo we władzach autonomicznych. Nazywaćby się condominium mogło Litwą Górną*) lub wolnem miastem Wilnem.

Drugie rozwiązanie, jakkolwiek ma tę ujemną stronę, że pozostawia upośledzenie ludności polskiej na Litwie Kowieńskiej, psychologicznie jest łatwiejsze do przeprowadzenia. My bowiem w tem rozwiązaniu nie tracimy Wileńszczyzny, godząc się jedynie na współpracę w jej organizacyi drugiego państwa. Litwini znów musieliby się zastanowić poważnie, czy nie warto dla tej koncepcyi zejść ze stanowiska nieprzejednanego. Bo przecież obecnego stanu posiadania ona im w niczem nie uszczupla i niepodległości nie pomniejsza ani zastrzeżeń do ustroju wewnętrznego nie wprowadza, a zarazem daje w upragnionem Wilnie, wprawdzie nie jako w siedzibie rządu (mogłoby i to być choć z trudem przy condominium pomyślane), ale niechby jako w stolicy narodowej, bardzo poważne uprawnienia językowe i państwowe. Sądzę tedy, że odnośne propozycje układu z naszej strony słynny upór litewski gotoweby były przełamać**).

O ile condominium ma swoje wady, to również posiada i specjalne cechy dodatnie. Mianowicie, oswaja ze sobą na wspólnym pomoście obydwaj narody oraz usposabia do dalszych umów i do współpracy na innych polach. Zarazem, choć nieformalnie, zmusza obydwaj państwa do wzajemnej postawy przyjaznej, a przynajmniej tolerancyjnej. Rzeczywiście, jakąby była sytuacja obszaru wspólnego w razie zerwania pomiędzy nimi stosunków dyplomatycznych? I wiąże faktycznie ręce im na pożytek wspólny w ewentualnych decyzjach nieprzyjaznych lub nierozważnych, bo obaj kontrahenci muszą przed ich postanowieniem namyśleć się, jaki wywrą skutek na drogich im uprawnieniach we wspólnej dziedzinie. Tak, jak nam dyktowały niejednokrotnie wstrzymanie się od pewnych kroków politycznych obszary plebiscytowe, na których uzyskanie rachowaliśmy***). A kilka takich

*) Przeciwwstawienie do Żmudzi (t. zw. Litwy dolnej). Nazwa Litwy środkowej przypuszczała istnienie jeszcze Litwy wschodniej i wychodziła z przesłanek „krajowych” utworzenia państwa z trzech kantonów — litewskiego, polskiego, i białoruskiego.

***) Zasada condominiumalna nie miała w rozstrzygnięciach powojennych zastosowania. Wolano dzielić obszary sporne, nawet miasta, jak Cieszyn pomiędzy Polską a Czechami, Wałk pomiędzy Estonią a Łotwą. Wątpliwe, czy Wilno mogłoby taką operację przeżyć i być po takim przecięciu w jednej części stolicą państwową Litwy, w drugiej prowincjonalną Polski.

****) Zapewne nie podpisałibyśmy np. traktatu o mniejszościach, gdyby nie obawa ujemnego wpływu takiej odmowy naszej na stanowisko koalicji w sprawie śląskiej.

momentów rozwagi w stosunku obopólnym więcej nauczy tak Polskę, jak Litwę wzajemnego rozumienia się i uznania wspólności interesów politycznych, aniżeli dziesiątki lat osławiania się przymusowego z obecnym stanem ich granic.

Z tych względów ustrój condominiumy Wileńszczyzny wydaje się, przynajmniej jako przełamanie lodów, najbardziej wskazany. Dopiero z chwilą, gdy ustali dobre stosunki sąsiedzkie kontrahentów, można przystąpić do realizowania programów dalszych, to znaczy albo do nawiązania stosunku pomiędzy niemi federacyjnego z tem, że Wileńszczyzna stanowiłaby obszar federalny, to znaczy nadal condominium, albo w miarę obopólnego uznania związanych z tem korzyści i ich sobie zapewnienia — do odstąpienia Wileńszczyzny Litwie na wyżej wymienionych warunkach, również z ewentualnem sfederalizowaniem się obu państw. Zależy to wszakże od pewnych świadczeń Litwy dla Rzeczypospolitej, o których dalej.

Tak czy inaczej inicjatywa układu polsko-litewskiego wyjść musi ze strony Rzeczypospolitej, jako posiadającej Wilno. Inicjatywa ta dla względów psychologicznych nie może wyrazić się wysłaniem parlamentaryuszy. Trzeba je poprzedzić pewnemi czynami. Mianowicie najsamprzód Rzeczpospolita powinna administracyjnie wyodrębnić Wileńszczyznę w granicach wyżej zakreślonych. Już to samo zapewne zamknie formalnie pretensje litewskie w ramach tej jednostki administracyjnej, o ile wszystkie obszary etnograficznie litewskie zawrze. Następnie, zgodnie z przyrzeczeniem Sejmu ustawodawczego, Wileńszczyźnie trzeba nadać statut. O ile celem jego będzie porozumienie polsko-litewskie, powinien on ustalać tu zasady zarządu wewnętrznego, wyżej w związku z condominium pomyslane, to znaczy musi równouprawnić szczerze na terytorium tem we władzach autonomicznych, języku urzędowym i t. d. obydwie narody prowincję zamieszkujące. Będzie to krok, nawet sam przez się, dla ustosunkowania się właściwego obu państw wielce wskazany. Dopiero na gruncie tych kroków przygotowawczych wolno nam rozpocząć rokowania.

Innymi słowy, trzy rozwiązania zaprojektowane (łącznie z wyodrębnieniem administracyjnem) stanowią etapy jednego. Pierwszym krokiem byłby dopiero co wyłuszczone przygotowawczy. Drugim — condominium. Trzecim wreszcie, zależnym od dalszego rozwoju wypadków, — cesya Wilna z dwujęzycznym zarządem całej Litwy. Ukoronowaniem tej pracy powinna zostać federacja bałtycka. Stopniowanie takie jest obopólnie pożyteczne dla Polaków i Litwinów, bo coraz ugniatą grunt psychiczny do współdziałania politycznego oraz ich wzajemnie naucza szanowania praw narodowych i państwowych, coraz bardziej obojętną czyni kwestyę granic. Pożyteczne i dla Wilna. Trudno mu

byłoby złożyć siebie w ofierze wyższemu, ze stanowiska lokalnego trudnemu do zrozumienia interesowi państwowemu i po tylu trudach osiągnąwszy zaszczyt być prowincjonalnem miastem w Polsce wrócić na stanowisko stolicy do nielubianego sąsiada. I wbrew naszym decyzjom może się nie dać, jak nie pozwolił się Lwów wziąć Ukraincom. Gdy zaś na razie zostałyby jeno prowincją na odrębnym statucie, następnie współwłasnością dwu państw, wreszcie dopiero ewentualnie tą stolicą, gdy przez czas ten stosunki obu narodów będą się regulować, narzuconą mu przez nasze położenie polityczne dziejową rolę polską swą spełni.

Drogę przecież całą porozumienia polsko-litewskiego w sprawie wileńskiej obstawilibyśmy pewnemi klauzulami, żeby zawsze mieć prawo wycofać się z niej, gdyby Litwini układu nie dotrzymali, ponieważ godząc się na rezygnację państwową, nie chcemy ponosić ryzyka narodowego, które zresztą w stosunku z Litwinami nie jest dla nas groźne. Ale można mieć spokój, że układu dotrzymają. Odczuwają bowiem zapewne, że zażyłość ich z najeźdźcami jest zgoła nienaturalna, tłómacząc się niespełnieniem ideału państwowego, i nadto niebezpieczna dla nich samych. Potrzebują i poszukują przyjaciół. Stąd związek ich blizki z Estonią i Łotwą, co nie są z usposobienia bynajmniej ani filorosyjskie lub filoniemieckie ani antypolskie.

Uczynienie odważnego kroku narodowego, o którym wyżej była mowa, obecnie, w stosunkach tak czy inaczej ustalonych, jest bez nadziejnie trudne. Psychicznie łatwiej jest państwowi iść do niechybnego upadku, niż w czas czynić zapobiegawcze amputacje terytoryalne. Opinia nasza z pewnością nie zechciałaby wchodzić nawet w ocenę motywów projektu, potępiając go z góry. Spełniam, proponując go, obowiązek publicystyczny, bardzo w tym szczególe bolesny, obowiązek otwierania oczu na piętrzące się nad nami niebezpieczeństwa, walki z niezaradnością naszą oraz bezwładnem oczekiwaniem biegu wypadków i wskazywania niezbędnych środków do tych niebezpieczeństw uchylenia. Sytuacja bowiem Rzeczypospolitej zmusza nas do natychmiastowych szerokich działań i tych lub innych możliwie korzystnych poświęceń, wobec czego winniśmy konieczne drogi postępowania rozważyć rzetelnie i wytknąć, powodowani względem na dobro i rozwój państwa ażeby nie winić siebie, gdy piorun trzaśnie, za brak przezorności i plany gotowe choćby dopiero w ostatniej chwili bez zbyt późnych poszukiwań w życie wcielić.

Były wszakże momenty, kiedy porozumienie z Litwą mogło być skuteczniejsze bez większych trudności psychicznych. Po raz ostatni w roku 1920, gdy Litwini opuszczoną przez nas w odwrocie przed wojskiem rosyjskiem Wileńszczyznę w czasie naszego pościgu za niemi

już byli zajęli. Po preliminaryach ryskich Litwini byli w sytuacji przymusowej, wiedząc o naszej przewadze militarnej. Zostawiając przy nich Wilno, moglibyśmy wymówić sobie od Litwy wzamian wszystkie wymienione wyżej zastrzeżenia oraz pożądane dla nas korzyści. Czyn jen. Żeligowskiego mógłby nastąpić dopiero w razie niepowodzenia rokowań. W faktycznych zaś warunkach był on wielkim błędem Naczelnego Dowództwa. Garibaldi pochodził z Nicei, ale Cavour, choć sam piemontczyk, umiał odstąpić ją Napoleonowi III-emu za sojusz przeciwaustrycki, ku wielkiemu Garibaldiego oburzeniu, ale i ku zasadniczemu Włoch korzyściom. Myśmy Cavoura nie mieli. Lecz mieliśmy energiczne Dowództwo. Gdyby bowiem z jego inicjatywy jen. Żeligowski Wilna nie zajął, Litwa nie stanowiłaby zapewne już dziś przeszkody w naszej polityce zagranicznej. Wprawdzie zastrzeżyliśmy w traktacie ryskim prawo odebrania Litwinom Wilna, ale można być przekonanym, że poza inicjatywą marszałka Piłsudskiego niktby ich stamtąd nie ruszył. Zapytaliśmy się poselstw alianckich, tamby nam odradzoło kroków wojennych, zaproponowanoby swoje pośrednictwo i skończyłoby się jak ze Śląskiem, tym razem bądź cobądź z tą wygraną, że po zapomnieniu wzajemnych uraz z chwili walki układ w ten sposób nawiązany zacząłby dawać swoje korzyści.

Gdy zaś jen. Żeligowski przesądził sprawę, powinien był inicjatywy z rąk nie wypuszczać i wówczas nawiązać rokowania nie z naszym sejmem, lecz z rządem litewskim, a do naszego przyjść już z gotowym układem, jak nigdy przecieź konwencji, konkordatów i t. p. parlament nie ustala, lecz dopiero ratyfikuje. Zapewne myśl ta istniała, jak o tem nazwa Litwy Środkowej przekonywa. Ale zdaje się, że z jednej strony nie mogliśmy się stamtąd porozumieć z Litwinami, bo nasza koncepcya — coś w rodzaju projektu Huysmansa — była dla nich nie do przyjęcia, z drugiej strony ataki sejmowe na Dowództwo wymogły na niem oddanie całej sprawy w ręce władz naszych, zwłaszcza że wmięszala się tu jeszcze i koalicja w charakterze dla nas zgola nieżyczliwym. Od tego czasu trwa stan rzeczy obecny.

Jeszcze wcześniejszym momentem, sprzyjającym porozumieniu polsko-litewskiemu, była chwila wyzwania ziem wschodnich w r. 1919. Naczelné Dowództwo porozumiewało się wówczas z Litwinami. Byli oni mocno zgorzzeni, że w rezultacie tych rokowań przynajmniej manifestacyjny oddział litewski nie asystował wzięciu miasta, ażeby mieli podstawę do pertraktacyi z rządem polskim. Zarząd cywilny z początku próbował polityki raczej niezdecydowania, o porozumieniu mowy nie było.

Najwłaściwszą zaś chwilą do nawiązania przyjaźni polsko-litewskiej był okres poprzedzający odzyskanie niepodległości. Naród kulturalnie

starszy, o tradycji w dziedzinie współzycia międzynarodowego ustalonej, mógł tu jeszcze przed wojną wielu rzeczy dokonać. Powinniśmy byli stanąć na czele wszystkich „mniejszości“ caratu, jako organizatorzy i przywódcy potężnego bloku, wkół otaczającego Rosyę etnograficzną. Bylibyśmy w takim razie już wówczas potęgą międzynarodową. W tym razie i po rewolucyi ostatniej rosyjskiej dzielilibyśmy się jako blok z Rosyą dziedzictwem caratu. I wspólnie z nimi występowałibyśmy w Wersalu. Przecież myśli podobne były jeszcze przed wojną wypowiedane, a stanowią prostą kontynuację tradycji mickiewiczowskiej. Myśmy się przeciwnie odosobnili, zamknęli w swojej skorupie, zamiast pobudzać ruchy masowe, a więc i litewski, i ukraiński, czyniąc z nich naturalnych sprzymierzeńców, — traktowaliśmy je jako dopust Boży, — a nie powstając z nimi, obracały się oczywiście w państwie obcym przeciw nam. Zamiast sprzymierzania się z nimi szukaliśmy raczej porozumienia — sami — z jakimś odłamem narodu ciemniącego, i rezygnacya musiała następować za rezygnacyą, a wpływy ideologii rosyjskich zalewały Polskę. Przeciw ruchowi litewskiemu lub ukraińskiemu broniliśmy stanu posiadania ziemskiego, z którego łatwiej było coś uratować w zgodzie z nimi, a który dziś zginął niemal doszczętnie. A przecież o przymierze było tak nie trudno wówczas, korzyści jego były tak oczywiste, — myśmy woleli prądy, co wytworzyły obecnie państwa, dumnie lekceważyć, nie widząc nawet, że te ruchy wolnościowe w istocie były emanacją naszych walk niepodległościowych i z naszych dziejów brały świadomie przykład*).

Ostatni z epoki tej moment, do porozumienia z Litwą odpowiedni, nadarzał się już w Paryżu, w związku z traktatem Wersalskim. Gdybyśmy przynajmniej w tej stanowczej chwili dziejowej, decydującej o losach świata i naszych, umieli się oderwać od drobnych swarów, przejąć się swą na daleką metę obliczoną racyą stanu, wznieść się na wyżyny dziejowego spojrzenia! Myśmy przeciwnie te kwasy polsko-litewskie wynosili na forum międzynarodowe w licznych publikacjach, usilnie denuncyjując Litwinów jako germanofilów i dowodząc ich nieżywołności plemiennej. Gdyby było inaczej, gdybyśmy występowali podówczas z nimi wspólnie, wynik tego nie ulega wątpliwości: dziś Prusy Wschodnie jużby nie istniały, byłyby wspomnieniem historycznym:

Przecież alianci byli w wyraźnym kłopotcie, co z nimi zrobić**). Danie Polsce dostępu do morza uważali za konieczne. Ale nie mogli nam oddać Królewca, Tyłży i Kłajpedy. Zresztą nie upominaliśmy się

*) Stwierdzali to w prasie Estończycy i Gruzini.

***) To też o ile przy wykreślaniu naszej granicy zachodniej brali pod uwagę narodowość każdej pogranicznej gminy, na prawym brzegu Wisły byli bardziej szczerzy, przydzielając nam całe powiaty, chociażby części ich niektóre, jak w Grudziądzkim, miały przewagę niemiecką.

o to. Projektowaliśmy najwyżej oderwanie od Niemiec republiki Królewieckiej, złożonej z Prus Wschodnich po odłączeniu dla nas powiatów mazursko-warminskich. Twór wyglądał na zupełnie sztuczny. Z Austryą ma się dziś kłopoty, mimo iż ma tradycję państwowości odrębnej, ażeby powstrzymać ją od włączenia się do Rzeszy, coż dopiero z taką republiką? Wiemy, ktoby tam rządził. I zostawiono Prusy w spokoju. Zabrano im na szczęście Kłajpedę, bo ujście Niemna i port, mogący obsługiwać całe jego wielkie dorzecze, zainteresował sprzymierzeńców. Nie przysądzili jej oczywiście Litwie, jako państwu podówczas jeszcze nieuznanemu.

Ale gdybyśmy trzymali z nią wówczas razem, razem byli wprowadzeni do koalicji i podpisywali z osobna traktat w Wersalu, mając nadto wspólnie ustalony program terytoryalny, nie mielibyśmy dziś obaw o nasze Pomorze. Jak na Śląsku zemścił się na nas brak porozumienia z Czechami, tak na „kurytarzu“ — zatarg z Litwinami.

XII.

Każdy podręcznik historii wypomina przodkom naszym dwa niewybaczalne błędy i błogosławi za dwa wielkie czyny. Jeden z tych błędów popełnił Konrad Mazowiecki, gdy nie dając sobie rady z ościeniem plemieniem wojowniczym litewskim Prusów, po wytępieniu przez nich polskiego zakonu Braci Dobrzyńskich, sprowadził celem ich pokromienia zakon niemiecki Krzyżaków, hodując na łonie polskim największe niebezpieczeństwo narodowe.

I pierwszym z tych wielkich czynów był dokonany przez Polskę wraz z Litwą pogrom Krzyżaków pod Grunwaldem, drugim zaś podbój Pomorza.

A drugim błędem była sekularyzacja Prus, która lennu, już zlewającemu się z Polską, dała nowe siły odrębne, przeciw nam wkrótce zwrócone.

Tak sami stworzyliśmy Prusy i sami uratowaliśmy je od zagłady. A następnie z ich ręki zginęliśmy.

Obecnie dokonaliśmy wielkiego czynu, zyskując Pomorze, i popełniliśmy wielki błąd, nie zdobywając Prus Wschodnich. Błąd cięższy, niż Konrad, bo ten nie mógł przewidzieć, że Prusy wkrótce odetną Polskę i Litwę od morza. I cięższy, niż Zygmunt, bo któż wtenczas wiedział, że Prusy rozbiorą Polskę i stworzą Rzeszę. Pokolenie współczesne natomiast doświadczenie dziejowe już zna, wie, jakim niebezpieczeństwem Prusy dla nas były, pamięta, że przez związek z Litwą je przełamywaliśmy, i rolę Prus przyszłą przewiduje. Służą one historycznemu dążeniu Niemiec odcięcia Polski od morza, okolejniu jej od północy i podaniu przez Rzeszę przeciw nam ręki Rosyi.

Przygotowania są już w toku. Pomorze podminowane. Niemcy ogłaszają światu, że „kurytarz“ jest nieznośną potwornością geograficzną. I mają bezwzględna rację. Nie może być Niemiec po obu stro-

nach kurytarza, mogą być tylko po jednej, ażeby Pomorze przestało być kurytarzem, i potworność znikła.

Czyż podobna, by kraj o 30 milionach ludności, państwo szóste w Europie, o obszarze na 800 kilometrów szerokim, sięgało morza wąziutkim, [bo kilkudziesięciokilometrowej grubości zaledwie wyrostkiem, a po obu stronach jego miało części innego, nieprzyjacielskiego, żądnego odwetu państwa, któremu nasz „kurytarz“ wprawdzie nie przeszkadza w niczem, lecz w razie wojny z Polską utrudniałby szybkie przesuwanie wojska?

Niemcy o wojsku naturalnie nie mówią, zasłaniając się argumentacją inną: że Prusy cierpią na tej separacji ekonomicznie. Czy nasze gospodarstwo nie byłoby rujnowane bez dostępu do morza, to przemilczają oczywiście. Prusy istotnie są upośledzone. Ale co osobliwsza, były ekonomicznie bierne już przed wojną, kiedy jeszcze odseparowane od Rzeszy przez Pomorze nasze nie były. Wyludniały się*). Z wyjątkiem powiatów mazurskich i litewskich, całe pobrzeże niemieckie Prus Wschodnich przez czas istnienia Rzeszy dało absolutny ubytek ludności. Zdawałoby się to absurdem. Kraina nadmorska, pomiędzy ujściami wielkich rzek położona, o dobrych komunikacjach lądowych i wodnych oraz dobrze urządzonych portach, mająca setki tysięcy kilometrów naturalnego Hinterlandu, — dawała dziesiątkami lat nadwyżkę emigracji nad całym przyrostem ludności! Przez lat czterdzieści rozkwitu Rzeszy, w których jej ludność wzrosła półtorakrotnie.

Paradoks ten tłumaczy się łatwiej, niż się zdaje. Owo pobrzeże, coby powinno być krainą wymarzonych bogactw, było odcięte od swe-

*) 15 powiatów niemieckich Prus Wschodnich (w granicach przedwojennych prócz Królewca) miało ludności w r. 1871 — 730 tys., przyrost naturalny — słaby — do r. 1905 stanowił 325 tys., mimo to ludności całej w r. 1905 było 710 tys., ubytek czysty wynosił 345 tys., a b s o l u t n y 20 tys.; emigracja z górą pochłonęła przyrost naturalny, zabierając 1/3 ludności.

14 powiatów polskich Prus Wschodnich miało ludności w r. 1871 — 625 tys., przyrost naturalny do r. 1905 stanowił 330 tys., ludności w r. 1905 było 700 tys., przyrost absolutny 75 tys., emigracja pochłonęła 255 tys., 1/4 część ludności.

Wreszcie 8 powiatów litewskich miało w r. 1871 — 360 tys. ludności, a w r. 1905 395, przyrost rzeczywisty stanowił 35 tys., co wobec 140 tys. naturalnego stanowi 105 tys. emigrantów (1/5 część ludności).

Ogółem przy ludności w r. 1871 — 1.715 tys. i przyroście naturalnym — 795 tys. nadwyżka emigracji nad imigracją w całej prowincji wynosiła 705 tys. ludności, z Królewcem 620. To znaczy, że przyrost naturalny był słaby i mimo to niemal w całości emigrował, z powiatów niemieckich emigracja przewyższała cały przyrost naturalny. I to pomimo sztucznej kolonizacji oraz dużej imigracji urzędniczej i t. p.

Patrz M. Sering — Die Verteilung des Grundbesitzes und die Abwanderung vom Lande. Berlin 1910.

A więc przy okolicznościach sprzyjających okaże się tu dużo miejsca nie tylko dla zatrzymania przyrostu naturalnego, ale i dla przychodztwa, zwłaszcza wobec tego, że gęstość ludności nie przekracza tu przeciętnie (poza Królewcem) 50 ludzi na 1 km. kw., — szczególnie przy rozwoju komunikacji z Hinterlandem, rozroście portów i parcelacji wielkich majątków, z których składa się gros prowincji.

go Hinterlandu granicą polityczną i nie miało z czego żyć. Wdarły się Niemcy przez nasze Pomorze, wąską smugą nas odcinając od morza, do granicy żmudzkiej, żeby ciągnąć korzyści z naszego eksportu oraz importu, i dalsze planowały podboje bałtyckie, zabierając w traktacie brzeskim pobrzeże Estonii i Łotwy. Ale w wyniku jeno wypaczały rozwój gospodarczy Hinterlandu, od morza odciętego, i skazywały ludność swoich wybrzeży na ubogi żywot rybacki.

Niemcy załamywali ręce, widząc to bardzo dokładnie. Oczywiście nie wymyślili na to jako zabiegu uzdrawiającego — zwrotu nienaturalnego odgałęzienia wschodniego prawemu gospodarzowi — Hinterlandowi. Przeciwnie wysnuli z tego jeno konieczność — zagarnięcia ziem dalszych. Przywłaszczyli Poznańskie, zaokrąglając się nieco. Podczas wojny „odbudowując“ Polskę, — postanowili następną „regulację“ jej granic, rozszerzającą Prusy do Narwi i ścinającą nasze ziemie zachodnie celem dalszego zaokrąglenia się. A nadto i Kongresówkę pozostałą włączali do Mitteleuropy, swojego polityczno-gospodarczego związku, i pozatem Litwę, po to przez nich „odbudowaną“. To dopiero miało dać Prusom Wschodnim życie normalne! A jednocześnie smugę pobrzeża wydłużali dalej, by było następnie znów co zaokrągląć, a dla pewności i niemczyć.

Jeżeli nie pragniemy powtórzenia się tej klasycznej historii, wypada orzec, że dziś, gdy i Prusy się do Narwi nie przysunęły, i Poznańskie Niemcom odpadło, i Pomorze stanęło im wpoprzek swym kurytarzem, posiadanie Prus Wschodnich przez Niemcy, zawsze bezzasadne, stało się dziwołagiem. Może służyć i będzie jedynie szerzeniu niepokojów i burz europejskich, czego chyba Europa za rację bytu uznać nie powinna.

Mają wprawdzie Prusy w znacznej części ludność niemiecką. Ale całe południe i częściowo zachód są polskie, na północy pod Tylzą jest dużo niedobitków litewskich, gdyż na obcym terytorium powstały Prusy, ludność zaś ich niemiecka z wynarodowienia autochtonów i sztucznej kolonizacji zrodzona*), więc gdy Niemcom odebrano Pomorze, bo się temu zdołało oprzeć, a zostawia się Prusy, nie jestże to nagrodą za zbójnictwo skuteczne i karą za wykonane nieumiejętnie?

*) W czternastu powiatach etnograficznie polskich (w tem trzy polskimi są w częściach południowych) ludność polska stanowiła sto lat temu (r. 1825): mniejszość w trzech, od 50 do 70% w dwóch, od 80 do 90% w sześciu, ponad 90% w trzech; obecnie (według statystyki z r. 1910) stanowi mniej niż 5% w trzech powiatach, do 15% w dwóch, od 35 do 50 w trzech, od 50 do 60 w dwóch, od 60 do 72 w czterech. Na Litwie pruskiej w r. 1905 poza litewskim obszarem Kłajpedy Litwinów pozostało od 10 do 20% w czterech powiatach. Ze imigracya, jakśmy widzieli, roli tu nie odgrywała, cały ubytek stonunkowy ludności polskiej i litewskiej tłómaczy się wynarodowieniem i przy sprzyjających okolicznościach mógłby może jeszcze być powetowany, zwłaszcza gdyby przychodztwo z Hinterlandu miało tu wolny dostęp. P. Turkowski — Żywioł polski w Prusiech Wschodnich i Zachodnich. Warszawa 1915.

Zgoła inaczej rozstrzyga historia los takich enklaw. Nie zostawiono przecież wyspy madziarskiej (Szeklerów) otoczonej przez terytorium etnograficzne rumuńskie Węgrom, lecz oddano Rumunii. I Szwedzi, zaludniający wybrzeże morskie Finlandyi, nie odcinają jej przeto od morza pasem państwa Szwedzkiego, lecz służą lojalnie Hinterlandowi, czerpiąc z niego bogactwo i jego zasobność wzmagając. Historycznie złożyło się tak, że wybrzeże Polski i Litwy zostało w części skolonizowane przez ludność niemiecką. Ale przecież nie stało się przez to wybrzeżem Niemiec. Tamto jest dalej na zachód.

Niepodobna całej ludności niemieckiej zgromadzić w ramach jej państwa. I na Węgrzech przedwojennych (t. zn. dziś prócz Węgier w Rumunii i Jugosławii) są wielkie zwarte wyspy, razem zawierające 2 miliony Niemców. Trzebaby było i tam uznać przedzielające je obszary za kurytarze i przez nie wyciągnąć się od Austrii smugą wgląd Siedmiogrodu. To samo w Czechach, gdzie nadto niemieckimi są obszary graniczne. Już nie mówimy o kilku milionach Niemców amerykańskich. Czemuż uczyniono wyjątek z Prus Wschodnich!

Dlaczego my mogliśmy zrezygnować z Dyneburga, nie zabierać Kowna, miast i okolic polskich, do których nie potrzeba było zatarasowywać cudzych kurytarzy? Dlaczego Francuzi nie zabierają zachodniej Szwajcaryi, ani południowej Belgii, ani północnego Piemontu, ani francuskiej Kanady, choć ziemie te prócz ostatniej łączą się z ich państwem terytoryalnie? Bo rozumieją, że są one częściami pewnych formacji innych, których niweczyć nie pragną.

Ten sam punkt widzenia powinien być być narzucony Rzeszy w sprawie Prus Wschodnich. Wówczas dopieroby ustały ich niedomagania ekonomiczne naprawdę, bez krzywdy olbrzymich połąci śródlądowych.

A czyż Niemcy na danych etnograficznych opierając się żądają polskiego Pomorza? Tylko na geograficznych, — te zaś przecież przemawiają raczej za odjęciem im Prus Wschodnich.

Tedy współdziałanie polsko-litewskie podczas traktatu pokojowego musiałyby dać w wyniku mniej więcej obraz następujący.

Granica polska zawierałaby

a) dwa powiaty i części dwu powiatów innych z b. Prus Zachodnich (Pomorze) na prawym brzegu Wisły — część Malborskiego i Sztumski, historycznie do rozbiorów polskie, pozostałą połowę Kwidzińskiego*) oraz Suski — w czym w Sztumskim przeważa ludność polska. Kwidziński i Suski mają poważne mniejszości polskie; zamiast zwrócenia ich Rzeczypospolitej traktaty postanowiły tu plebiscyt, który je

*) lewobrzeżną Polsce przyznano, większą zaś część pow. Malborskiego wolnemu miastu.

zwrócił Niemcom; Wisła wcale z gospodarczego stanowiska niesłusznie stała się granicą polityczną, wobec czego mamy tu ciągle kwestye z pruskiemi spółkami wodnymi o wały nadrzeczne, to o powodzie, bo czyż może być okoliczność od polityki najdalsza, którejby Niemcy nie wyzyskiwały dla wsadzania zaborczych klinów w naszą państwowość? w dodatku tędy przechodzi kolej, najbliżej łącząca Warszawę z Gdańskiem; przyznano nam wprawdzie więc tu uprawnienia, co Niemcom w „kurytarzu“, ale nie wymyślamy z tego atutu politycznego;

b) osiem powiatów południowych Prus Wschodnich, czyli tak zwane Mazury pruskie, polsko-ewangelickie (Ostródzki, Niborski*), Szczygieński, Żądzborski, Jańsborski, Łecki, Lecki, Olecki) i południowe trzy powiaty polsko-katolickie Warmii (Olsztyński miejski i wiejski oraz Reszelski); i tu był plebiscyt;

c) dwa powiaty pozostałe Warmii, historycznie polskie aż do rozbiorów, o ludności niemieckiej katolickiej (Brunsberski i Licbarski), również historycznie polski powiat Ebląski miejski i wiejski (który moglibyśmy przyłączyć do wolnego miasta) i dwa powiaty — Morągi niegdyś mazurskie i Holland, zamknięte pomiędzy Pomorzem a Warmią; tych sześciu powiatów delegacya polska bezskutecznie domagała się przy traktacie;

d) trzy powiaty pozostałe Mazur pruskich (Rastemborski, Węgorborski i Gołdapski), niedawno wynarodowione, mające jednak dotychczas mniejszość polską;

e) trzy powiaty niemieckie, od północy przylegające do Warmii: Sta Siekierka, Iława i Frydland.

Będę nazywał te ziemie w dalszym ciągu pokrótce Warmią**).

Granica litewska powinna była obejmować

a) obszar Litwy pruskiej po prawym brzegu dolnego Niemna (terytorjum Kłajpedy) o przewadze litewskiej, który obecnie zawiera;

b) 6 powiatów Litwy pruskiej po lewym brzegu Niemna, pozostałe przy Niemczech, w znacznym stopniu przed niedawnym wynarodowieniem, wszakże dotychczas posiadające znaczną mniejszość litewską (Tylża, Labiawa, Niziny, Ragneta, Piłkale, Stołupiany);

c) 5 powiatów Litwy pruskiej po obu brzegach Pregoły, dawniej wynarodowione (Welawa, Wystruć, Gąbin, Gierdawy, Darkiejmy).

Będę je nazywał w dalszym ciągu Litwą pruską.

Wreszcie Królewiec wraz z dwoma powiatami ościennymi (Króle-

*) część powiatu Niborskiego, ob. powiat Działdowski, weszła w skład Rzeczypospolitej.

**) najbardziej wyludniającemi się dotychczas powiatami Prus Wschodnich oprócz trzech ostatnich są Suski i Holland, to znaczy wszystkie pięć powiatów historycznie krzyżackich, etnograficznie niemieckich tego obszaru (l. c.).

wieckim i Rybackim), stanowiącemi półwysep Sambię, powinien był uzyskać statut wolnego miasta, będąc postawiony wobec Litwy, dla której o wiele bardziej od Kłajpedy jest portem historycznym i naturalnem wyjściem do morza, w tejże sytuacji prawnej, w jakiej wobec nas postawiono Gdańsk, z tem, że i Polsce należało tu przyznać pewne uprawnienia.

Zawierały według dat statystyki niemieckiej z r. 1910

Warmia obszaru około 25 tysięcy km. kw., ludności — około 1.200 tysięcy, (równa się więc naszemu Pomorzu), w czym obszar etnograficznie polskiego — 15 tysięcy km. kw. o 750 tys. ludności i nadto historycznie polskiego — 5 tysięcy km. kw. o 250 tys. ludności,

Litwa pruska obszaru poza zdobytą już przez Litwę Kłajpedą 10 tys. km. kw. o przeszło 500 tys. ludności, zaś

Królewiec z okolicą 2 tys. km. kw. o 300 tys. ludności.

Ludność niemiecka w Polsce wzrosłaby w związku z tem do 2 milionów głów, stanowiąc do 7% ludności państwa (z resztą Górnego Śląska), na Litwie do $\frac{1}{2}$ miliona, to znaczy do 12% ludności.

Są to odsetki poważne, wszakże porównanie z Węgrami przedwojennymi (10%), a zwłaszcza Czechosłowacją dzisiejszą (25% Niemców) Polska wytrzymuje korzystnie, jakkolwiek z góry trzeba powiedzieć, że polityka wewnętrzna tu, w stosunku do ludności tak niemieckiej, jak mazurskiej, nie mogłaby być oparta na naszych centralistycznych liczmanach i administracyjnych szablonach*).

O podziale takim lub innym Prus Wschodnich jednakże wówczas nie myślano. Natomiast przewidywano niekiedy u nas „ewolucyjne“ i samorzutne wcielenie się Prus Wschodnich do związku z Polską. Sądzono, że przedział terytoryalny ich od Rzeszy Pomorzem naszym będzie coraz rozluźniał ich spójnię z wielką ojczyzną, a otoczenie ziemiami polskimi coraz bardziej wiązać z Polską gospodarczo, a z czasem i podporządkowywać, wobec czego Prusy Wschodnie oderwą się od Rzeszy i wejdą w skład związku bałtyckiego bądź poprostu przylgną do Polski, zwłaszcza że i nasza kolonizacja będzie się tam naturalnie kierowała.

*) Nadzieje, że kierując dążności litewskie do powiększenia obszaru państwowego ku Królewcowi, dałoby się odwrócić je od Wilna, są płonne. A zresztą właśnie układ z Litwą miałby dla nas szczególną wartość z chwilą włączenia do niej Litwy pruskiej, by Wilno korzystało ze swych naturalnych portów i równoważyło jednostronne wpływy ludności niemieckiej na zarząd Litwy. Z drugiej strony próby obejścia się bez podziału z Litwą obszarem Prus Wschodnich byłyby również nieodosowne, bo przedewszystkiem utrudniałyby nam ewentualną obronę przed atakiem niemieckim: gdy mybyśmy strzegli granicy zachodniej, sił Litwy wystarczyłoby zapewne na paraliżowanie Prus Wschodnich, — a następnie, w razie gdyby całe Prusy Wschodnie przyłączono do Polski, zanadto wzmacniałoby u nas to żywioł niemiecki i komplikowało tak zarząd wewnętrzny, jak stosunek z ościenną Rzeszą, raczej Litwa, skoroby bezpośrednio z nią nie graniczyła, mogłaby stosunkowo więcej mniejszości niemieckiej zawierać, nie tyle wszakże, żeby jej liczebność w tem małym państwie zostawała niepokojącą.

Niestety, minęły czasy związków jaszczurczych i chyba nie wrócą. Od czasów tej wojny polskiej, prowadzonej przeciw Krzyżakom za ich pieniądze i ich ludźmi, gruntownie snadź odmienił się charakter niemiecki. Dziś Rzesza wszelako faworyzuje Prusy Wschodnie, łożąc w nie wielkie sumy, byle zapobiedz naturalnym ciężeniom obszaru ich ku ościenym państwom śródlądowym; nie dopuszcza kolonizacji naszej, lecz do cna wynaradawia Warmiaków, Mazurów oraz Litwinów; wzmacnia w Prusiech właśnie rolę marchii, ziejącej nienawiścią do sąsiadów, że ich swoim transportem nie zbogacają, i wylęgającą wszelkie plany zachłanne, przedewszystkiem względem „kurytarza“. Tę rolę pełniłyby Prusy, gdyby je nawet traktat wersalski oddzielił od Rzeszy i nadał im prawo państwowe własne, jak spełniły ją niegdyś łącząc się z Brandenburgią, a następnie nam zabierając Pomorze. Byłby to rozszerzony Gdańsk, wbrew korzyściom własnym zakorkowujący nam wyjście w świat dla przeciwludzkich pobudek żadnego zaborów mocarstwa. To też pokój świata wymagał, by nie zostawiano zarodku przyszłych niesnasek w postaci Prus Wschodnich, daleko od macierzy rzuconej forpoczty niemieckiego Drangu, której jak niegdyś tak dziś jest pierwszym dążeniem wyrobienie sobie wstecznym ruchem połączenia z metropolią.

A więc skoro postulat podziału Prus Wschodnich między Polską a Litwą był słuszny w r. 1918, stanowiąc poprostu nieodzowne zabezpieczenie naszego bytu państwowego, bez którego spełnienia grożą nam wojny, najazdy i rozbiory, tedy pomimo niepowodzenia wersalskiego, należy w dalszym ciągu zdarzeń uczynić zeń dominujący nakaz naszej polityki, ani na chwilę nie spuszczać go z oka i szukać chwili stosownej do jego urzeczywistnienia. Carthago delenda est. Niemcy nie zasną, póki nie zniszczą nam kurytarza i wszelkich imają się środków w tym celu, a trzeba to przyznać, że na szerokim świecie podważyły wiarę w nasze tu uprawnienia albo przynajmniej zdobyły ten sukces, że wielu na Zachodzie dla świętego spokoju, a raczej dla uspokojenia Niemiec i zlokalizowania zatargu, jest gotowych nas poświęcić, bo nie rozumieją, że właśnie przeciwnie tem dłużej wojowniczość pruska będzie ograniczona do Pomorza, im później je Niemcy zdobędą, bo z chwilą tą postawią natychmiast na porządku dziennym cel zaborczy następny.

Tą samą taktyką powinniśmy się byli przejąć w stosunku do Prus Wschodnich my. Gdyby cel ich naturalnego podziału był nas uduchał i nie dawał nam spać spokojnie, póki go nie osiągniemy, napewno jużbyśmy znaleźli dotychczas po temu chwile sposobne. W pierwszych latach powojennych Niemcy były we względzie militarym bez znaczenia.

W okresie panowania rozmaitych faktów dokonanych, jak Fiume, Konstantynopol, Wilno, Kłajpeda, niewypłacalność niemiecka i t. d., nie mówiąc o powstawaniu i podboju państw na terytorium sowieckiem, mogliśmy się zapewne odważyć, skoro tylko przestały nas krępować obszary plebiscytowe, na proste zajęcie w porozumieniu z Litwą całych Prus Wschodnich. Szczególnie stosowny był moment represyi Poincarégo.

Gdy zaś te lub inne względy polityki międzynarodowej stawały nam na przeszkodzie, w czem niechęć do rozpalenia wojny na długim naszym niemieckim pograniczu, obawa utraty jakichś korzyści od Zachodu zależnych, była przed nami droga posłużenia się do tego celu współdziałaniem Litwy, która w tych stosunkach nic nie ryzykowała. W ówczesnym stanie sił niemieckich, przy skłonności powojennej do uznawania faktów dokonanych, w końcu wszczęłoby z nią rokowania. I w drodze wielkiego ustępstwa na rzecz pokoju zgodziłaby się przyznać pewne autonomiczne uprawnienia — Królewcowi.

Nasza rola zaczęłaby się zapewne już wcześniej, od klauzul układu wileńskiego. A w każdym razie musielibyśmy zabrać głos, skoroby przystąpiono do rokowań. W wyniku ich podział Prus Wschodnich powinien był się dokonać — wspólnym wysiłkiem Polski i Litwy, jak zwycięstwo Grunwaldzkie za Jagiellą i Witolda.

Nie poto skreślam te uwagi, by ktoś wyzyskiwał je przeciw nam, jako charakterystykę ujemną naszej opinii. Czyż nie najlepszy dowód, gdy są tylko pisane, że właśnie nastroje społeczeństwa i rządu udaremniły możność ich wcielenia w życie? A to wobec na początku poczynionego uogólnienia, że wyzwalaliśmy naród — i to dzielnicami, — ale nie tworzyliśmy państwa. Istniał naród polski w Rzeszy, odosobniony od innych części narodu, jak one odrębnymi warunkami życia i przez nie wytworzonymi postulatami, mały naród czteromilionowy w wielkiej Rzeszy, który pragnął zrzucenia jarzma. W chwili stosownej proklamował swą wolność w Poznańskim, dopominał się o nią z Pomorza, wywalczył w części Śląska, i przyłączył się oczywiście do pozostałych, wyzwolonych w sposób podobny od innych zaborców części narodu. Czy z tego skleił się jakiś kształt foremny, było rzeczą przypadkową. To też dopiero dzisiaj konstatujemy, że wolność Pomorza potrzebna jest nie tylko Pomorzanom i pośrednio Polakom, ale przed Pomorzanami, przed narodem polskim niezbędna jest Rzeczypospolitej. I gdybyśmy przed wojną zamiast czterech opinii lokalnych, pozostających za sobą w stosunku federacyjnym, mieli centralną, wszystkie dzielnicowe podporządkowującą, nasz program polityczny nie mógłby się składać z dążeń wolnościowych poszczególnych odłamów narodu i ich pragnień mechanicznego zjednoczenia się, lecz miałby przed oczami

jako cel wytworzenie państwa, które ma swoje wymogi własne. Dla nich zaś musielibyśmy może coś poświęcić z ideału wyzwolenia narodowego, ale niepodobna było, żebyśmy wyczekiwali na głosowanie, czy Ślązacy też zechcą się wyzwolić albo Mazurzy pruscy, żebyśmy za jedyny sprawdzian postulatów terytoryalnych uważali, czy mamy do nich uprawnienia w związku plemiennym. Nie z właściwego stanowiska ocenialiśmy swoją sytuację, bolejąc nad utratą Kamieńca podolskiego, gdzie mamy przecież tylu rodaków, których wypadło zostawić w niewoli. Gdyby istniała opinia centralna i ona precyzowała żądania terytoryalne, tworząc państwo, musiałaby przejść nad Kamieńcem z góry do porządku dziennego, ale nie mogła po pierwszym spojrzeniu na mapę nie poruszyć całego narodu, wszystkich dzielnic, w kierunku uzyskania Prus Wschodnich, choćby tam nie było ani jednego Polaka, — zasada oczywiście wyjątkowa wprawdzie, — bo przez ich pozostawienie w Rzeszy Rzeczpospolita jest zniekształcona, upośledzona gospodarczo i narażona na śmiertelne niebezpieczeństwa polityczne. I gdy ta sama mapa wskazywała, że cel ten powoduje konieczność współdziałania Litwy i przydział jej części Prus Wschodnich, opinia centralna uczyniłaby wszystko, żeby się z nią w tym względzie porozumieć, nie poto tylko, żeby rodakom naszym lżej się żyło w Kownie, lecz nequid respublica detrimenti capiat.

Wbrew temu, gdy Litwa najsluszniej zajmowała Kłajpedę, zdaje się, że nie miała w tem przeciwników większych od nas. Cui bono? Dlaczego mieliśmy bronić jej statutu międzynarodowego? Czyżemy nie czuli, że skończą się one zwrotem Kłajpedy Niemcom? Czyśmy nie rozumieli, że państwu, posiadającemu główne dorzecze Niemna, niezbędne jest jego ujście, a państwu lądowemu port, choćby taki skromny? Zdaje się, że nawet nie próbowaliśmy rozumować, podrażnieni sporem wileńskim. Następnie zaczęliśmy się upominać o nasze uprawnienia w porcie kłajpedzkim. Czyż on nas kiedykolwiek obchodził? Mogło nas interesować nawiązanie stosunków z Litwą wraz z jej Kłajpedą, jako posiadaczy górnego dorzecza niemeńskiego. Dowodzone, że panując nad przeważną częścią jego, mamy do Kłajpedy więcej praw od Litwy. W ten sposób rozumując, należałoby Holandję z jej ujściem Renu oddać Niemcom.

Obecnie okres faktów dokonanych minął, a zresztą Niemcy w sensie militarnym bynajmniej już nie są tak bezwładne, ażeby Litwa mogła cokolwiek osiągnąć. Oczywiście, tembardziej my nie możemy się tego podjąć. Ale są przed nami otworem te wszystkie drogi, jakimi dążą Niemcy do zaboru Pomorza. A na ten moment, gdy Niemcy z ofenzywy dyplomatycznej przejdą do ataku wojennego, powinniśmy mieć przygotowany plan działania, program terytoryalny, sojusz z Litwą.

a w tem nie możemy już ograniczyć się potulnie do obrony traktatu
Wersalskiego. Prusy Wschodnie muszą być natychmiast w całości
z dwu stron zajęte i nieodwołalnie podzielone, potwór ten nazawsze
ma zniknąć z mapy europejskiej.

XIII

Drogą, prowadzącą nas do posiadania Warmii, nie jest tylko pomyslny wynik starcia się z Niemcami w razie ataku ich na Pomorze. O ile cel ten będzie przyświecał nam, jako osnowa i treść główna programu narodowego, niewątpliwie znaleźć się może okazy nawet pokojowego jej osiągnięcia.

Wiadomo bowiem, że Niemcy, w grze o pakt bezpieczeństwa zachodni, żądają dla siebie względem wschodu nie tylko „swobody ruchów“ (t. zn. prawa do wojny), ale i możliwości stosowania w myśl statutu Ligi Narodów pokojowej zmiany postanowień traktatowych. Gdy to uzyskają, możliwość ta sama otworzy się i przed nami, bylebyśmy z niej umieli skorzystać, to znaczy mieć dosyć dla naszego postulatu przyjaciół, a wśród nich przedewszystkiem Litwę, jako wspólną z nami w jego osiągnięciu zainteresowaną.

Jednocześnie z Pomorzem Niemcy mają wzrok fascynująco utkwiony w Austrii, dzisiejszej Austrii powojennej, tej niegdyś równorzędnej z Prusami marchii niemieckiej, której przeznaczeniem na podstawie podziału z niemi pracy zaborczej był atoli podbój innych obszarów wschodnich. Latwo jej to szło, gdy narodom ościennym wybierać wypadało pomiędzy Austrią a niewolą turecką. Gdy wszakże została Turcja „chorym człowiekiem“, racya bytu monarchii znikła z świadomości jej ludów. Była już ona wyłącznie skomplikowanym aparatem niemieckiego parcia na wschód południowy, i tem celowi służyła zapomocą supremacji niemieckiej w państwie, nader subtelnie osiąganey w okresie pokoju i brutalnie podczas wojny.

Zachód nie oceniał właściwie tej funkcji Austrii. Wydawało tam się, że przekształca się ona w drodze ewolucyjnej w związek wolny kilku narodów lub ich części, stanowiąc interesującą w tym względzie próbę dziejową. Usiłował tedy skokietować ją nawet, zapominając, że sama

wojna wybuchła z odgrywania przez nią roli zleconej w scenie pod nazwą Berlin-Bagdad. I gdyby nie te narody podbite, Czesi, Polacy, Rumuni, Chorwaci, może Austria straciłaby tylko ziemie włoskie oraz część serbskich. W wyniku wszakże sojuszków koalicji Austryę wypadło podzielić na składniki narodowe.

Niemiecką Austryę zostawiono jednakże jako państwo niepodległe. Zabroniono jej nawet nazywać się niemiecką (Deutsch-Oesterreich) i przeprowadzać plebiscyt na rzecz przyłączenia się do Rzeszy. Że zaś trudno jej było utrzymać się przy życiu, a zwłaszcza wyżywić Wiedeń, czerpiący poprzednio soki z całej monarchii, przeto udzielono jej wydatnej pomocy aprowizacyjnej i finansowej.

Postępowanie koalicji wychodziło z trzech przesłanek.

Po-pierwsze, w wyrokach sprzymierzeńców wielką rolę odgrywał moment formalnie-prawny. Dążąc do przebudowy Europy celem utrwalenia pokoju, uznano wszakże terytorya sojuszników za nienaruszalne. Z tego względu np. nie okrawano Czech, ani nie odbierano Serbii ziem macedońskich. Z drugiej strony uważano, że niema podstaw do przydzielania państwom zwyciężonym obszarów, które poprzednio w ich skład nie wchodziły*). To był wzgląd, dla którego i Austrii wzbroniono przyłączenia się do Rzeszy.

Po-wtóre, uważano aneksję jej przez Niemcy właśnie za niebezpieczną dla koalicji. Francya upatrywała w tem wzmocnienie się wrogiej potęgi. Włochy wołały być przedzielone od niej słabem państwem. Czechy nie chciały być jeszcze szczelniej otoczone granicą niemiecką, zwłaszcza iż obawiały się zetknięcia jej bezpośredniego z Węgrami, któreby mogły być ponownie wciągnięte w orbitę planów militarnych niemieckich.

Po-trzecie, przez zostawienie Austrii przy życiu zawieszano kwestyę państwowego związku dunajskiego. Musiano wprawdzie na razie podzielić Habsburgię na kilka państw małych i słabych, ale żywiono nadzieję, że rozumiejąc kruchość swoją gospodarczą i militarną, zwiążą się nanowo, bo przecież „gdyby Austrii nie było, trzeba by było ją wynaleźć”, jak częstokroć mówiono przed wojną. Wydawało się mianowicie, że Austria powojenna, Węgry, Czechy i Jugosławia mogłyby ją odtworzyć w postaci federacji naddunajskiej. I w czeskiej Małej Entencie ta myśl była.

Pomijając wzgląd pierwszy, jako nie merytoryczny i już nieaktualny, należy również czempredzej i ostatecznie rozstać się z trzecim. Niema poważniejszego sukcesu wojny, obok powstania Polski, jak

*) Wyjątek uczyniono jeden, przyznając Austrii skrawek niemieckiego terytorjum Węgier (Burgenland).

właśnie rozbitcie Austrii, jednego z trzech ognisk ustawicznych najazdów i europejskiego niepokoju. Dążności do jej odrestaurowania są przeto jak najbardziej szkodliwe i niebezpieczne. Wiekowe wychowanie tego Polizeistaatu tkwi jeszcze [w duszach] [narodów, które wchodziły w skład Austrii. Przywrócenie ich związku państwowego byłoby więc zapewne równoznaczne z budzeniem habsburskiego imperyalizmu w nowej, może nawet wzmacniającej go postaci. A że niemiecki Wiedeń pozostałby tu stolicą, że Niemcy są silni w Czechach, a Węgry szły ostatnio na pasku niemieckim, celem związku nie byłaby przecież obrona przed Rzeszą, przeciwnie — kto wie, czy nie zostalibyśmy wkrótce świadkami nowej Mitteleuropa albo nawet odrodzonego Świętego Przymierza? I właśnie przez wzgląd na te ewentalności raczejby sobie należało życzyć, żeby zniknął z mapy pasorzytujący zaczyn nowej Habsburgii. Niech tu powstają związki państw, ale z wyłączeniem tak bezpodstawnie faworyzowanej Austrii.

Ze przyłączenie Austrii do Rzeszy wzmacniałoby liczebność jej ludności, a przeto i militarnie byłoby niebezpieczne, kwestyi nie ulega. Gdyby jednocześnie z zachowaniem Austrii zwycięzcy poszli w decyzjach pokojowych dalej, unicestwiając Rzeszę samą i w jej miejsce powołując, jako państwa odrębne, Nadrenię, Prusy, Bawaryę, Saksonię i t. p., pozostawienie samodzielnej Austrii byłoby przynajmniej logiczne i być może skuteczne. Skoro zaś mała, słaba, a przecież niemiecka Austria została przy boku wielkiej potężnej Rzeszy, oczywistą jest rzeczą, że zdana jest zupełnie na jej wpływy. Rozdział polityczny stawać się będzie z czasem prawdopodobnie coraz bardziej pozornym tylko. I w rezultacie okazać się może, że pomimo odrębności swej, Austria poprze każdą decyzję niemiecką czynnie, a więc i militarną. Kto wie, czy Austria o różnej bądź cobądź tradycyi państwowej, nie usposobiona wrogo względem ani Polski, ani Francyi, nie zaważyłaby właśnie przeciw żądom odwetowym Rzeszy, wchodząc w jej skład, czy wogóle nie przeciągnęłaby ośrodków życia politycznego Niemiec ku południowi katolickiemu, bardziej przecież europejskiemu? i czy przeciwnie nie byłaby skłonna współdziałać z Rzeszą z samego obowiązku patryotycznego, pozostając państwem samodzielnem?

Włochy urządziły się wprawdzie bardzo wygodnie, zasłaniając się od Niemiec buforem austriackim. Ale czy ten specyficzny przywilej jest podyktowany interesami całej Europy? Gdy jeszcze i Francya z Belgią sobie stworzą bufor analogiczny z paktu bezpieczeństwa, całym impetem ruszą Niemcy na Polskę i na Czechy. To i tam dajcie takie bufory! Zasadniczo przecież kraj w rodzaju Austrii gwarantuje pokój bardzo jednostronnie, jednemu państwu, przez co nie osłabia, lecz wzmacnia siły napastnika. Czyż Włochy skłonneby były obecnie

występować po stronie Francji czynnie, gdyby była zaczepiona przez Niemcy? Pozbawiono je pod tym względem wszelkich bodźców. Co innego jeszcze było, gdy Austria była silna, niebezpieczna i zawierała terytorya włoskie. Ale teraz, w stanie nasycenia narodowego, przez nikogo nie zagrożone, bo zasłonięte buforem, czyż już nie prowadzą Włochy wobec Niemiec polityki conajmniej dwuznacznej? Tak osłabiając Niemcy o kilka milionów ludności, koalicję osłabiono o kilkadziesiąt.

Zgoła inaczej wyglądałoby postępowanie Włoch (i Jugosławii), gdyby graniczyły bezpośrednio z Niemcami, drżąc ustawicznie o Brennero i Tryjest. Polacy, Francuzi i Czesi mieliby w nich pewnego sojusznika, a Niemcy mniejby się odważały na wystąpienia odwetowe, mając oprócz zachodniego oraz wschodniego jeszcze i front południowy. Przecież nikt nie powinien się uchylać od tworzenia dzieła pokoju.

Sądzę przeto, że pomimo pozorów bardziej gwarantuje pokój, a w razie wojny—zwycięstwo nad Niemcami przyłączenie do nich Austrii, niż pozostawienie jej niepodległości, zwłaszcza, że wraz z tem zniknie zmora restauracji imperyalizmu habsburskiego. Nie należy zresztą przesadzać roli pokojowej buforu nawet w jednostronnym stosunku niemiecko-włoskim. Może stać się tak, że uśpi on jeno czujność Włoch, ale nie tylko nie przeszkodzi, lecz właśnie dopomoże Niemcom w sposobnej chwili zważyć się na nie całym hurmem, jak w ubiegłej wojnie na Rumunię, która czyż myślała kiedy przed tem o obronie — przed Niemcami?!

Ze stanowiska polskiego przyłączenie Austrii do Rzeszy jest równie niebezpieczne, jak dla Francji, o ile w Niemczech decyzye wojenne przeważą, Włochy zaś mimo to pozostaną neutralne,— a nadto specjalnie przykre z tego względu, że zamyka nam drogę tranzytową, omijającą Rzeszę. Trzeba wszakże wyperswadować sobie, byśmy się nie łudzili wobec panujących nastrojów Austrii i składu jej ludności, że kierując transporty na Wiedeń, postępujemy o wiele bardziej patriotycznie, niż posyłając je przez Berlin. Chcąc naprawdę Niemcy ominąć, winniśmy jechać drogą bardziej okólną, przez Węgry i północne Włochy.

Bądź co bądź nie możemy przystać na to ani my ani Czesi, ażeby Niemcy uzyskały Austrię darmo, a nie leży to również w interesie francuskim ani włoskim. Niezrekompensowane należycie ustępstwo bynajmniej nie ukoji pragnień odwetowych niemieckich, przeciwnie ośmieli je, bo nabiorą przekonania, że co się raz powiodło na południu, może następnie udać się na wschodzie lub zachodzie.

Oczywiście z samej Austrii Burgenland winien wrócić do Węgier, a plebiscytowy Celowiec być przyznany Jugosławii.

Ale i Niemcy, jeżeli naprawdę pragną łączności z Austrią dla

względów narodowych, nie zaś celem wzmocnienia się militarnego, muszą ten nabytek sąsiadom opłacić.

W szczególnie trudnej sytuacji znajdują się Czechy, które dziś Niemcy i Austria w ten sposób otaczają, że w razie wspólnego ataku mogą je przeciąć w pasie. Skoro tedy przybyłaby Czechom i od południa granica niemiecka, kompensatą musi być zniesienie wschodniej, to znaczy przydział Kładzka i pozostałej przy Niemczech części Górnego Śląska Czechom i Polsce, jak to wskazywałem w rozdziałach poprzednich.

Dla Polski zaś rzeczą najważniejszą jest, żeby tę okoliczność, gdy jednocześnie upominają się Niemcy o Austrię i o nasze Pomorze, wyzyskać właśnie do umocnienia „kurytarza“. Możemy zgodzić się na przyznanie Niemcom Austrii tylko w wypadku, o ile — nie mówiąc już o Śląsku Górnym — jednocześnie zrezygnują z Prus Wschodnich na rzecz Polski i Litwy według poprzednio wyszczególnionego projektu. A raczej powinniśmy popierać myśl takiej rewizji traktatów, ażeby Niemcom została przydzielona Austria (bez Burgenlandu i Celowca) nam i Litwie Prusy Wschodnie, nam i Czechom — reszta Śląska Górnego, Danii — druga strefa Szlezewiku. Innemi słowy, żeby przyłączenie Austrii do Rzeszy nie było rezygnacją przed niemieckimi zachciankami imperyalistycznymi, lecz uregulowaniem stosunków sąsiedzkich w Europie środkowej.

Korzyści takiego rozwiązania sprawy, gdyby osiągnięte zostało, są widoczne. Niemcy zostają państwem narodowym. Niema poza nimi innego państwa niemieckiego, jednoczą cały naród swój, poza granicami ich zostają tylko mniejszości niemieckie, wtłoczone w inne państwa narodowe — w Ameryce, Rosyi, Polsce, Estonii, na Łotwie, Litwie, Węgrzech i t. d., wszędzie bez sąsiedztwa bezpośredniego z Rzeszą lub bez kondensacyi terytoryalnej, z wyjątkiem Czech i Włoch, gdzie zwarta mniejszość niemiecka sąsiaduje z Rzeszą, oddzielona wszakże naturalnemi granicami górskimi. Zarazem, jako państwo narodowe, Niemcy zawierałyby terytoryum tylko własne, mając pozatem zaledwie drobne mniejszości obce (Fryzyczyków i Holendrów nad morzem północnem, Łużyczan przy granicy czeskiej, Polaków na pograniczu wschodniem).

Miałyby to znaczenie bardzo wielkie dla sprawy pokoju. Niemcy nie tak są podniecane zapalem zaborczym przez to, że nie zjednoczyły swojego terytoryum, jak wskutek posiadania obszarów narodowych obcych. Obydwie stolice niemieckie powstały w marchiach, na ziemiach zabranych Słowianom i wynarodowionych. Z tych marchii wytworzyły się Austria i Prusy, nasiąknięte duchem zaborczym i zachęczone powodzeniami w niszczeniu i niwelacyi obcych ras. Prusy wytworzyły Rze-

szą, zawdzięczając stanowisko rozbiorem Polski i z nich czerpiąc namiętność do podboju Szlezwiku i Alzacyi. Austria wyrosła w wielką monarchię naddunajską, tworząc kalejdoskop ziem zabranych, ciągle czemś uzupełniając i zaokrąglając zlepek habsburski. Aż wreszcie ruszyły przeciw całemu światu, mając pewność, że jak się rozprawiły z niejednym narodem, dadzą sobie radę i jeszcze z kilkoma.

Gdy wszakże wojnę przegrały, jedyną nauką, jakąby mogli ich uraczyć zwycięzcy, winno było być odebranie im wszystkich ziem kiedykolwiek zabranych, ażeby uświadomiły sobie, że rabować się nie opłaca, bo to trzeba później oddawać z dokładką ruiny militarnej i kosztów wojennych. To dopiero mogłoby zrobić przewrót w umysłowości niemieckiej i kazać jej przekląć rządy Hohenzollernów oraz Habsburgów, przywracałoby natomiast tradycję kulturalną Niemiec europejskich, którą wykorzeniły Prusy i Austria nawet z ziem zachodnich, kolebki niemieckiej, z początku podbijając rodaków swych krwią i żelazem, a potem kształtując ich na swoją modłę. Oczywiście obszary, gdzie już znikło poczucie powstania z zaboru, należało przy Niemcach pozostawić, wszystkie inne bezwzględnie wyzwolić. Że się uczyniło przeciwnie, że zarządono plebiscyty, gdzie upoważniono Niemcy do wypróbowania ponownego metod zaborczych, że obszary plebiscytowe w końcu przeważnie Niemcom zwrócono, nie tylko nie leczy ich, lecz właśnie podnieca do najazdów dalszych. Oddano im część Śląska, upominając się o resztę; pozostawiono Prusy Wschodnie — atakują Pomorze; nawet względem przyznanej Danii strefy Szlezwiku podnoszą pretensye, na razie w zakresie szanowania praw mniejszości niemieckiej. Gdzie z nimi postępowano właściwie, na granicy francuskiej i włoskiej, na razie stuliły uszy, gdzie się delikatnie ceremoniowano, na granicy naszej, czują punkt słaby i tu szykują pierwsze uderzenie.

Ten błąd powinien być naprawiony. Wprawdzie obawiamy się samego hasła rewizyi traktatów, ażeby się przeciw nam nie obróciło. Ale już ono wysunięte zostało i — nie chowajmy głowy w piasek — rewizya przeprowadzona będzie. Gdyby inicjatywa rewizyi wyszła od nas, jako najbardziej pokrzywdzonych, gdybyśmy to my z niej uczynili kwestyę europejską, zobaczylibyśmy, że Niemcy staliby dziś twardo przy nienaruszalności granic i świętości zobowiązań. Ale żeśmy prowadzili politykę strusia, hasło rewizyi stało się niemieckiem i pronieemieckiem, a my musimy bronić się nienaruszalnością granic i świętością zobowiązań, co już stanowi, że pierwsze szanse są na nas zdobyte. I na nich Niemcy oczywiście nie poprzestaną.

Skoro rewizya traktatu jest nieunikniona, chodzi o to, żeby przestała być wyłącznym atutem niemieckim, że jeżeli Europa chce poprawić swoje błędy, niech nie wyrzuca wraz z kołyską dziecka, niech nie

reguluje nic jednostronnie. Jeśli krzywdą jest dla Niemiec odrębność Austrii, niech ją dostaną. Ale jednocześnie trzeba naprawić krzywdy polskie, czeskie, duńskie, litewskie. To znów będzie dla Niemiec dobrem doświadczeniem, że kij ma dwa końce i że zamiary ich naprawiania swych krzywd mogą być obosieczne. Więcej się zastanowią następnym razem, czy okazywać swoje zaborcze apetyty.

Sytuacja wymaga od nas wogóle polityki bardziej energicznej. Niedość jest wygłaszać odczyty o naszym usposobieniu pokojowym i urządzać u siebie zjazdy przyjaciół Ligi Narodów*). Trzeba czynem udowodnić, że dążymy nie tylko do tego, żeby nas nie napadano, ale i do tego, żeby nas niepodobna było napaść, — do ugruntowania podstaw pokoju, to znaczy do ucięcia Niemcom ich wyciągniętych ku podbojom macek zachłannych, wschodnio-pruskiej, szlezwickiej i śląskiej. Z tem trzeba skoordynować całą naszą działalność, temu podporządkować pracę obronną, publicystyczną, propagandową, według zasad strategii niemieckiej prowadząc walkę tę w obronie ziem swoich Pomorza i Śląska na terytorjum przeciwnika — w Pruszech wschodnich oraz na Śląsku niemieckim.

Nietrudno chyba wykazać, że mapa, jakąby Niemcy uzyskały w wyniku poprawek granicznych, o których była mowa, mniejby zachęcała je do najazdów, aniżeli obecna. Odgraniczenie naturalne, bez enklaw, z przyciętymi tu i ówdzie pazurami, silnie zróżnicowana politycznie linia graniczna, mocno obstawiona z zewnątrz, — to jest też środek na to, żeby przynajmniej następne pokolenia niemieckie oswoiły się z świadomością, co jest ich, a co jest cudze i niedotykalne.

*) Tu właśnie zgłaszali Niemcy swe pretensye m. in. i do Szlezwiku duńskiego.

XIV.

O ile zamierzaliśmy wyjść na granicy zachodniej ze stanu biernego wyczekiwania rozwoju wypadków, dotyczyło to tylko Gdańska, ale nie kończyło się niczem. I tu bowiem w rezultacie ponieśliśmy wiele strat w porównaniu z tekstem traktatu Wersalskiego w postaci konwencji paryskiej, orzeczeń Wysokich Komisarzy oraz porażek kilkakrotnych w wytaczanych przez Gdańsk procesach na forum międzynarodowym.

Stan ten oczywiście irytował opinię. Gdańsk przecież nie jest dla nas sobie miastem, ale jest jedynem naturalnem wyjściem na szeroki świat, w wielu okolicznościach jedyną możliwą drogą stosunków międzynarodowych. To więc ustawiczne uniezależnianie się Gdańska od Polski, a raczej uzależnianie Polski przez Gdańsk, zgoła nieprawne nadto, oraz nastroj jego i działalność, nie owijając w bawełnę, względem nas poprostu nieprzyjacielskie, więc zawierające w sobie w krytycznych momentach ewentualność poważnych niebezpieczeństw, a w dodatku prześladowanie u siebie żywiołu i języka naszego, naprowadzało naszą opinię — zawsze wbrew rządóm — niejednokrotnie na myśl, że z tym paradoksalnym stanem rzeczy, gdy Gdańsk ciągnie ze związku z Polską wszystkie korzyści, a my cierpimy i koszta i szykany, — należy raz energicznie skończyć. Ze zaś jednocześnie i inne utworzone w wyniku traktatów pokojowych wolne miasta okazały się tworam sztucznemi, i jedno po drugim upadało włączane do przyległego państwa — Konstantynopol do Turcyi, Fiume do Włoch, Kłajpeda do Litwy, — co instancye międzynarodowe wrychle uświęcały, — to wydawało się istotnie, że i my nie powinniśmy się ceremoniować z Gdańskiem i zważać na wysokich komisarzy, lecz poprostu zająć siłą wolne miasto, inkorporując je integralnie do Rzeczypospolitej. Za rządów antyniemieckiej orientacyi Seydy i Dmowskiego zdawało się, że to niechybnie

zajdzie. Gdy przeciwnie zamiast tego poczyniliśmy jeszcze jedno ustępstwo pruskiemu zarządowi miasta, pocieszano się, że za to sobie rząd zapewnił miejsce w Radzie Ligi Narodów, a skoro będziemy tam, — Gdańsk zobaczy i tak, co my możemy. Zamiast tego wszystkiego postanowiliśmy omijać Gdańsk — niech sobie ściele jak chce, jak gdyby był nam zbyteczny, — budować port w Gdyni, projektować kanał od Wisły w obejście wolnego miasta, czyli dokładać do jego antypolskiej taktyki grube sumy z tem, żeby Niemcy przy pierwszym ataku na nas zbombardowali — nawet nie przekraczając naszej granicy — te niesłychanie kosztowne urządzenia, nie zostawiając z całej naszej pracy kamienia na kamieniu.

Zdaje się, że w obu wypadkach, to jest w zamiarach zarówno zajęcia Gdańska, jak jego wygłodzenia i ominięcia, jęto się broni zanadto ciężkiej Dla Turków milionowy Konstantynopol był stolicą, kwestyą posiadania cieśnin i europejskiego znaczenia. Włosi w Fiume mieli przeciwnika w ościennej Jugosławii. Litwa ze zdobycia Kłajpedy mogła uczynić cel narodowy, bo jest państwem małym. Okoliczności analogiczne nie zachodzą w stosunku polsko-gdańskim. Za dużo mu robimy zaszczytu, żeby z nim wojować albo z powodu jego wrogości łożysko Wisły sprowadzać na pagórki kaszubskie.

Ze procesujemy się z Gdańskiem, stawiając się z nim narówni, i umiemy te procesy nawet przegrywać, — to jest dowód tylko, że się nie szanujemy. To samo z miejscem w Lidze Narodów. Minęły czasy rozmaitych komisji Morgentauów i t. p., przecież nie jesteśmy w Europie byle czem, i doprawdy wstyd jest, żeby się to nam zdawało, żeby Francuzi przypominali nam, iż jesteśmy mocarstwem, dodając pobłażliwie, — „chwilowo osłabionem”. Słabość nasza polega doprawdy tylko na niedomyślności. Trzeba więc wreszcie zmądrzeć.

Wzrok nasz powinien być utkwiony w rozwiązanie kwestyi Prus Wschodnich. Tu jest klucz naszej sytuacji. Z tego warto i należy uczynić cel narodowy. Jeżeli trzeba było zająć coś, to oczywiście nie Gdańsk, lecz Mazury i Warmię. Tęby przysły statut wolnego miasta przesądzało, co się nazywa, automatycznie. Ale i pomimo tego w stosunku do Gdańska wystarcza sama stanowczość, tak wobec władz jego bezpośrednich, jak Ligi Narodów. Niechby Liga Narodów spróbowała narzucić coś np. Francji, w umiędzynarodowionem chwilowo również zagłębiu Saary, a choćby Włochom lub Hiszpanii nawet. Widzieliśmy to na przykładzie Korfu. Nie zapominajmy, że jesteśmy z niemi mocarstwem równorzędnem, i doprawdy jest dziwne, że Hiszpania (podczas wojny sprzyjająca raczej Niemcom) orzeczeniami Quinones de Leona przez aparat Ligi narzuca nam upokorzenia wobec Gdańska. To jest międzynarodowy skandal.

A gdy nasz d'Annunzio bohatercko umocowuje w Gdańsku parę skrzynek pocztowych, i po rocznym procesie nawet i Quinones de Leon przyznaje nam rację łaskawie, i sam Mac Donnell wreszcie skłania się do dostrzegania poniekąd w tem polskich uprawnień, a plenum Ligi nasz „fait accompli“ aprobuje, doprawdy to jest pyrrhusowem zwycięstwem i nasz „tryumf“ klęską okropną międzynarodowego ośmieszenia się.

Przypuszczam, że absolutnie wystarczy, ażeby nasz przedstawiciel w Lidze raz jeden zabrał głos nie tonem rezydenta z staropolskiego dworku, któremu się robi łaskę, że się dopuszcza do stołu obrad, lecz stanowczo oświadczając, że z ducha traktatu Wersalskiego i zasad kurtuazyi międzynarodowej wyciąga ten wniosek, że Wysoki Komisarz wolnego miasta mianowany być musi na wniosek Polski, zarówno jak referent spraw polsko-gdańskich w Lidze, bo Rzeczpospolita jest zwolenniczką stowarzyszenia narodów, ale nie może być przez nie traktowana lekceważąco. Oświadczając tego właściwie nie należy, trzeba przygotować jeno pomyślny wynik w „kuluarach“.

Oczywiście, mogą być dwa wyniki tak ostrego postawienia kwestyi. Przypuszczam, że żądanie nasze, dostatecznie poparte z kraju, musiałyby być uwzględnione. W istocie my jesteśmy więcej potrzebni Lidze, aniżeli ona może nam być przydatna. Pomoc Zachodu widzieliśmy w radach Lloyd George'a z r. 1920 i w Spa. Natomiast gdybyśmy się byli nie oparli Sowiecom wówczas, dziś zapewne Niemcy nie proponowaliby gwarancyi zachodnich granic, lecz byli conajmniej w Strasburgu. I jeśli nie sprostamy atakowi niemieckiemu, będzie to samo. Jesteśmy potrzebni w układzie europejskim, prócz Niemiec niema na Zachodzie nie tylko nieprzyjaciół niepodległości Polski, lecz wprost przeciwnie — wszyscy są o jej niezbędności przekonani, a jeśli szykanują nas lub naszym kosztem chcą ugłaskać Niemcy, to tylko dlatego, że my dajemy sami wszystkie po temu powody, zachowując się tak nieśmiało i pokornie, jak gdybyśmy byli intruzami w Europie.

Ale że Zachód istotnie roli naszej nie docenia, żądaniu naszemu może się nie stać zadość, i wówczas wypadłoby wyciągnąć konsekwencje. Mowy niema ani o krokach awanturniczych ani tem mniej o bojocie Gdańska, co nas przedewszystkiem upośledza. Wystarcza nie dostrzegać wysokiego komisarza, nie uznawać jego kompetencyi i wykonywać wszystkie swoje względem Gdańska uprawnienia w zarządzie własnym. I nie wnosić przeciw Gdańskowi pretensyi do Ligi Narodów, — gdy nie wykonywa zobowiązań, mamy dość sił zawsze, by go wyręczyć w tem na jego terytoryum. A kiedy on idzie z żalami do instancyi międzynarodowych, nie stawać do procesu: co my postanowimy wobec Gdańska, jest napewno prawne, a interpretacya statutu jego

słuszna, jeśli zaś kto chce wątpić i badać zaocznie, my nad przewodem oraz wyrokiem przechodzimy do porządku dziennego. To samo dotyczyć winno oczywiście stosunku do mniejszości niemieckiej w b. dzielnicy pruskiej.

Jest to też pewnego rodzaju bojkot, ale nie własnych przywilejów. Nie jest zaś bynajmniej polityką awanturniczą, tylko twardem dopominaniem się o swoje niewątpliwe prawa. Ale że stanowi również pewnego rodzaju fakt dokonany, zapewne nie zawiedzie. Nie możemy zaś obecnego stanu rzeczy tolerować. Jest rzeczą widoczną, jak Gdańsk rozkwita, zbogaca się i rozrasta od chwili związku z Polską. Przecież jedyny port trzydziestomilionowego państwa, w środku Europy położonego, musi szybko zostać miastem milionowem, jak Hamburg. Tymczasem ma zaledwie dwieście tysięcy mieszkańców. Gdańszczanie widzą, że im muszą przyjść w krótkim czasie setki tysięcy Polaków, a miasto zostać polskiem. Co innego było bowiem za Rzeczypospolitej, kiedyśmy własnego stanu miejskiego nie wytwarzali, a co innego dziś. I otóż celem zapobieżenia tej naturalnej i koniecznej imigracji szykanuje się pod auspicjami Ligi Narodów żywiol polski w Gdańsku, a wobec koniecznego rozrostu miasta sprowadza się sztucznie Niemców z Rzeszy. Oczywiście z chwilą, gdy Liga uzna za stosowne mianować polskiego komisarza na wolne miasto, te szykany ustać muszą, i Polska będzie miała naprawdę dostęp do morza. A jeśli tego nie dopniemy, zobaczymy wkrótce, po wstąpieniu Niemiec do Ligi, że faktycznie one będą komisarza gdańskiego mianować. To też nie bojkotować swoich praw do Gdańska, ale osiągnąć trzeba prostym, taktownym środkiem zarząd Gdańskiem z ramienia Ligi Narodów przez Polskę.

Postulat ten, jak się zdaje, jest wystarczający. Natomiast inkorporacja Gdańska, włączenie go do jakiegoś województwa i t. p., wcale dla nas niezbędne nie są. Póki jest niemiecki, powinien mieć autonomię. Nie zależy nam na komplikacji stosunków wewnętrznych. Jeno niech ta autonomia nie wyradza się w zdradę stanu. A to jest zaświśle tylko od tego, jak sami będziemy Gdańsk traktowali: jako stronę czy jako lenno.

XV.

Największą trudność sprawiamy sobie w polityce wobec Gdańska oraz Prus Wschodnich własnym bezgranicznie lądowym usposobieniem. Ale przecież byliśmy przez wieki całe społeczeństwem, złożonym z jednej warstwy rolniczej, a umieliśmy zostać narodem raczej mieszczańskim i przemysłowym. Nic tedy nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy zdołali wychować się na naród, którego morze jest najwyższem zainteresowaniem. Już nas pociąga. Lecz trzydzieści kilometrów wydm nadbrzeżnych nie są żadną szkołą. Musimy stanąć nad Bałtykiem twardą nogą. Wszystkie wywody dotychczasowe do tego prowadzą. Osiedlmy się na dobre w Gdańsku. Nawiaźmy przyjazne stosunki z Litwą. Zawrzyjmy sojusz z Estonią i Łotwą. Stwórzmy ścisły związek państw Bałtyckich. To da nam określone silne stanowisko w Europie. Skracając zarazem w okolicznościach sprzyjających granicę na Śląsku, wyzbywszy się niemieckiej enklawy wschodniopruskiej, od strony zachodniej będziemy bezpieczni, a w konfiguracji wewnętrznej naturalni. I właśnie dlatego, że Bałtyk skupić powinien nasze główne zainteresowania polityczne, państwowe i narodowe, atak niemiecki na „kurytarz“ wydaje nam się szczególnie bezecnym. Zasadniczem bowiem dążeniem Niemiec, dobrze rozumiejących, że dostęp do morza jest kwestyą naszego istnienia, a przynajmniej stanowiska niezależnego, jest przedewszystkiem nas go pozbawić. Dopóki mogą mieć sprzymierzeńca w Litwie i posiadać Prusy Wschodnie, uczynić to kto wie, czy nie są w stanie.

Program powyższy, jak widać, pomyślany jest na daleką metę. Wykonanie jego wymaga nie wysiłku jednego rządu, lecz bezustannej pracy pokoleń, ku jednemu celowi zdążających, nadto współdziałania rzeczywistego innych narodów, wspólnie w osiągnięciu jego zainteresowanych, a w tem takich, co dodziś zachowują się wobec nas albo z chłodną

rezerwą, jak Czesi, albo wręcz nieprzyjaźnie, jak Litwini, — i wreszcie szeregu okoliczności, nie od nas zależnych, a których wywoływać nie pragniemy, i z których nie wiemy, czy wyjdziemy obronną ręką.

Wistocie swaj program ten nie jest przeciw nikomu skierowany, ma charakter ściśle defenzywny. Niemcy doprawdy nic nie powinny mieć mu do zarzucenia, bo cóż im w rzeczy samej przeszkadzać może, że obok nich odradza się na ziemi własnej inny naród, nie mający zresztą ani sił ani skłonności do zakłócania im pokoju? Przecież gdyby nie była im właściwa zachłanność terytoryalna, my w programie powyższym napewno zawiesilibyśmy dążność do scalania terytoryum swego nad morzem, zastępując ją szeregiem konwencji, któreby czyniły z obecnej zawady wschodniopruskiej pomost gospodarczy krajów bałtyckich. Właśnie wrogość Niemiec zasadnicza, wspólna ich wszystkim odłacom politycznym, do samego istnienia Polski, ustawiczne zamachy ich na nasze posiadanie, używanie enklawy wschodniopruskiej i odnogi śląskiej czyli dziedzin na nas ongi zdobytych, jako atutów propagandowych i militarynych do dalszego wwiercania się w terytorya nasze i uzależniania ich od siebie zmusza nasz instynkt samozachowawczy do odruchu, żądającego zwrotu części naszego całokształtu geograficznego, przeważnie dotąd etnograficznie polskich.

Niepospolite trudności, związane z wcieleniem w byt programu bałtyckiego, skłaniają charaktery słabsze, na szczęście niezbyt u nas w tych stosunkach pospolite, do przeciwstawiania się jemu z góry. Skoro bowiem Niemcy, z którymi skazani jesteśmy z samej konfiguracji terytoryalnej na wieczyste sąsiedztwo, są względem naszego obecnego stanu posiadania usposobione bezwzględnie wrogo i podejmują wysiłki różnorakie celem odebrania okazałych jego składników, stale godząc w podstawy naszego bytu gospodarczego i grożąc nam wojnami, to przecież musi znaleźć się wśród nas, jak za okupacji, jakiś jeden szczery i może nadto kilkunastu ukrytych lub połowicznych adeptów kompromisu. Osnową jego jest pytanie, czy nie dałoby się na podstawie pewnych zamian lub dobrowolnych rezygnacji, w czym nawet terytoryalnych, przewidując ich nieodwołalność dziejową, wytworzyć z Niemcami stałego pokojowego stosunku i przyjaznego sąsiedzkiego współdziałania? Jest ono naszym zamiarem powszechnym, napewno wielebyśmy uczynili dla jego urzeczywistnienia, — ale jaka prowadzi doń droga? Niemcy zbyt są wielkiem mocarstwem, ażeby istotnie ograniczały swoje dążności polityczne do drobnych skrawków ziemi, o jakich mówią. Celem ich napewno nie są Pomorze i Śląsk ani same dla siebie ani dla drogi do Prus Wschodnich jedno, dla bogactw węglowych drugie. Ideałem ich jest poważna rola światowa. Pierwszym etapem do jej zdobycia jest Mitteleuropa, która otwiera im drogę na Blizki

Wschód europejski i azyatycki oraz na oceany, a pierwszym krokiem na etapie tym jest podporządkowanie sobie Polski, i pierwszym tego kroku posunięciem jest zabór Pomorza i Śląska, który jest więc w oczach Niemiec zaledwie ogniwo w łańcuchu środków, do celu je prowadzących. Czyli stawiając kwestyę jasno, jedynym ustępstwem naszym, któreby Niemcy zadowolilo, jest stanie się ich kolonią, i każde mniejsze potraktują nie jako unormowanie stosunku z niemi, lecz jako zbizenie się do celu. Bo też właśnie po utracie morza i węgla, nawet zachowując niepodlegość na obszarze pozostałym, niczembyśmy więcej jak kolonią już nie byli, i otwarty zwolennik kompromisu polsko-niemieckiego wyraźnie to zresztą dostrzega, upatrując przyszłość Polski w dostarczeniu uprzemysłowionej i przeludnionej Rzeszy produktów rolniczych (na warunkach gospodarczych i politycznych przez nie stawianych), ewentualnie obszarów kolonizacyjnych, a w miarę germanizacji uzyskiwalibyśmy zaszczyt i współdziałania z nią przemysłowego. My wszakże wolimy tę rolę odstąpić w całości Meklemburgii.

Innemi słowy, dopóki ideały niemieckie mają postać dzisiejszą, o porozumieniu się szczerem Rzeszy z Rzeczpospolitą w sprawie zasad stałego współżycia nie może być mowy, gdyż dotyczyłoby jedynie sposobu, formy i etapów zniszczenia naszego bytu, oraz ułatwień jej naszym kosztem pasorzytowania. Idąc na tę drogę, tracimy wszystko, nie idąc—też ryzykujemy stracić wszystko, o ile nie zdołamy z siebie wyłonić dosyć odporności. Tedy w kierunku wzmacniania jej obowiązkiem naszym głównym jest rozwinąć najżywszą działalność, gdy przeciwnie polityka cofania się przed każdym silniejszym naciskiem jest staczaniem się w przepaść*). Oczywiście, stosunek z sąsiadem, polegający z jego strony na ustawicznym szkodnictwie i zamachach, a z naszej na czuwaniu i samoobronie**), nie jest dla nas pożądany ze stanowiska politycznego i nie sprzyja rozkwitowi ekonomicznemu kraju. Atoli pocieszyć się tem winniśmy, gdy jest to nieuniknione, że jeśli nie doprowadzi do tragicznych rozwiązań, nie upośledza naszego bytowania wewnętrznego zasadniczo i nie uniemożliwia nam, dopóki trzymamy Pomorze i Śląsk, bujnego rozwoju gospodarczego. Pomijając nieustalone warunki okresu powojennego, nie jest bynajmniej normalną zależność

*) A jednak każdy atak niemiecki wywołuje u nas głosy za ustępstwami, jak naprz. w sprawie optantów, że wydalenie ich rzuca do Niemiec 40.000 agitatorów przeciw Polsce, a drażniąc je, pozbawia pracy naszych górników, jak gdyby Niemcom potrzeba agitacji i drażnienia, by się nastroić przeciw Polsce: czy niebezpieczniejsze nie jest, używając tegoż liczbowego dowcipu, pozostawienie w Polsce 40.000 baz niemieckiej agresyi?

**) Nie łudźmy się, że projektowany pakt o nieagresyi na granicy wschodniej Niemiec nie da nam żadnych istotnie realnych gwarancji: raczej obawiać się należy, czy nie będzie pomysłowym sposobem do odebrania nam Pomorza i Śląska, na razie w drodze projektów ich demilitaryzacji, a przynajmniej wielkiej dyskusji o rewizji granic.

naszego przywozu oraz wywozu od Niemiec: nie są one z natury rzeczy rynkiem ani dla węgla śląskiego, który zużywać winien przemysł polski, ani dla produkcji rolnej, bo już nie jesteśmy Europae granarium i jej nie mamy za dużo dla siebie, a zresztą nie wytrzymamy w handlu zbożowym konkurencyi rosyjskiej ani amerykańskiej. Zainteresowania gospodarcze Rzeczypospolitej skierować się muszą ponownie ku olbrzymim rynkom Wschodu, z którymi z bliska lub zdala sąsiaduje, boć zarówno z charakteru zaludnienia, jak położenia geograficznego jesteśmy stworzeni na kraj wysoce przemysłowy. Gdy zaś silne oparcie się o morze i skrócenie granicy niemieckiej uniezależni od Rzeszy nasz przywóz, tedy łączyć z nią będzie Polskę tylko tranzyt jej wschodni, który wprawdzie zostać winien poważną pozycją w bilansie naszym i jedną z podstaw bogactwa narodowego, ale stanowi w istocie potrzebę przedewszystkiem Niemiec i w razie, gdy stracą nadzieję rychłego przełamania samoobrony naszej, raczej będzie je usposabiał wobec nas pojednawczo, o ile drogi sztucznie omijające Polskę bądź odpadną (Prusy) i stracą pikantność (Litwa), bądź się okażą za kosztowne (Węgry). W tejże właśnie słusznej analizie warunków gospodarczych kraju wskazywano źródła oryentacyi rosyjskiej, nie doceniając wszakże w nich istotnej podstawy materialnej dla naszej niepodległości.

Tedy nakazem jedynym polityki polskiej w stosunku do Rzeszy jest mocna i nieugięta samoobrona przed jej tendencjami zaborczemi. O ile wszakże nie zdołamy zapobiedz jej napaści zbrojnej, w tym wypadku szczególnie niepokojącym byłoby dla nas stanowisko wschodniego sąsiada oraz kwestya możliwości takiego czy innego na nie oddziaływania, bo sprawą jest zanadto jasną, że gdybyśmy wzięci zostali w dwa ognie, sytuacja nasza stałaby się niewysłowienie trudna, jeśli nie beznadziejna.

Ludzka jest słabością zamykanie oczu na nadmiar niebezpieczeństwa, gdy rozum nie nastrecza dość wyjść pewnych. To też dziś, gdy stoimy w obliczu zamachów niemieckich na byt nasz, pragniemy wierzyć, iż granica przeciwległa Rzeczypospolitej nie budzi obaw, bo Rosya ma dość kłopotów wewnętrznych, bolszewizm zaś ją paraliżuje. Stając przecie wobec faktów niezbitych niepokojenia przez nią kresów, mącenia ładu wewnętrznego w państwie naszym i skwapliwego wyzyskiwania u siebie „pieredyszki“ do wzmacniania się militarne go, reagujemy na nie okazywaniem bezwzględnej ustępliwości. Nie nalegamy na wykonanie traktatu ryskiego, wymieniamy z Sowietami więźniów polskich na więźniów polskich, w czem czasem komunistów notorycznych na nieujawnionych, wydalamy od siebie przeciwników politycznych Bolszewii, pobłażliwie traktujemy jej dywersye, jednym słowem uprawiamy kurs pro sowiecki i w ten sposób bodaj czy nie półseryo myślimy

kupić jej względem Polski neutralność, — gdy ona z naszego postępowania wyciąga jeno wniosek o absolutnej swych czynów wszelkich bezkarności. Choćby kto pragnął dyskutować, czy w każdym ustroju Rosya byłaby nieprzejednana wobec istnienia Rzeczypospolitej lub jej granic, a kto inny przeciwnie dowodzić, że bolszewizm mniej jest dla nas groźny od rosyjskiego nacjonalizmu lub liberalizmu, dla nikogo nie może być przecież spornem, że Sowiety nie dają za wygraną i czekają na sposobność śmiertelnego nas ugodzenia.

O ile więc chcemy czynić wnioski praktyczne, zbudowane logicznie na podłożu czarnej rzeczywistości, trzeba, żebyśmy sobie najspóźniej twardo uświadomili, że mamy dwie granice, i z obu w rozumowaniach politycznych oczu nie spuszczać. Dwie granice, za któremi panuje nieustanna i powszechna wrogość dla niepodległości naszej, z za których czyhają na pierwszą okazję swojego wzmocnienia lub naszej słabości kilkudziesięciomilionowe masy, nieprzepartą ogarnięte wolą całkowitego Polski zniszczenia, podsyconą pozostawieniem w ich rękę ziem naradowo lub historycznie polskich, „kurytarzami“ i granicami dzielącymi jedną ludność. Teza ta nie wymaga niestety nawet dowodzenia, wszyscy ją odczuwamy i znamy, ktoby się jej przeciwstawił, opierać się musi na argumentacji sztucznej i sofizmatycznej. Ale gdyby nawet nie miała słuszności bezwzględnej, wystarczy, że ją może mieć w poszczególnym wypadku, ażeby na obu granicach mieć się szczególnie a stale na baczności.

Że dom nasz ma tu i ówdzie mury, gdzieniegdzie rysujące się już może, — nie nasza to lub nie tylko nasza, a raczej niczyja wina, skoro zdecydowały o tem tak zawile kombinacje wypadków, że o winie niewłaściwie mówić. Granicę zachodnią nam dano, i obliczenie nasze kazało nam czekać by dano, a okazało się błędne, bo przez to, że nie braliśmy jej sami, straciliśmy dwie trzecie Śląska Górnego i dostateczny z Czechami kontakt, dopuszczając niemożliwe wydłużenie granicy niemieckiej; i straciliśmy należyte o brzeg morski oparcie, które nam uzależniono od dobrej woli niemieckich gdańszczan, a nadto ze stron obu obrębiono niemieckimi bojówkami, pragnąciami za wszelką ceną do reszty od morza nas odseparować. Granicę wschodnią nam innych szereg wypadków wyznaczył, w czem zmienne szczęście wojenne, a przeprowadził ją znów za blisko tu wyciągniętych szponów niemieckich w północnej części, w całokształcie zaś przez żywe ciała narodowe, burząc w nich krew, zatrutowaną nadto jadami wschodniej intrygi i fermentującą na drożdżach naszej politycznej niezręczności.

Niech nie pociesza to nikogo, że nie tylko Polski budowa ma usterki i rysy, że mniej jeszcze pewny jest byt wszystkich małych narodów, że wielkie potęgę swą w enigmatach wschodu złożyły, albo są

wewnętrzniemi zżerane walkami. To się przeciw nam obraca. I tem bardziej grozi runięciem naszemu domowi.

Przecież niema kraju we świecie, któryby był w równie z nami sytuacyi bezprzykładnej. Tu nie chodzi o brak naturalnych granic na zachodzie i wschodzie. Nie ma ich wiele krajów, i brak ten może być jednako zaletą, jak wadą. Przy technice zresztą dzisiejszej odgraniczenie najnaturalniejsze nie jest ratunkiem samo przez się, jak przykład Węgier wskazuje. Chodzi o to, że z pomiędzy wszystkich narodów my jedni graniczymy bezpośrednio i ściśle z obydwojma Europy Raubritterami, jeśli to określenie nie za rycerskie dla nich jeszcze, z obydwojmi formacyami państwowemi, których celem jedynym, odwiecznym i nieustannym, jest ziem cudzych zabór, zaborów przygotowywanie w kierunkach wszystkich, ziem zabranych niwelacya bezwzględna i ostateczna, a temu celowi podporządkowany jest cały państw tych duch, ustrój, nawet gospodarstwo. Nie są to zbrojne spory graniczne, ani wojny kolonialne, ani jakiś jeden tradycyjny kierunek ekspansyi narodowej, jak i gdzieindziej bywa, gdzie jest ideał ograniczony, widoczny jest koniec zabiegów, istnieje możność porozumienia się i ustalenia normy. Tutaj zaś spór graniczny, cel gospodarczy, ekspansya narodowa są to pozory i środki, celem zaś jest nieskończona ekspansya państwa, przed którą żaden sąsiad bliższy, dalszy nie zaznaje chwili spokoju. Czyż możliweby były stosunki w Europie, gdyby ten cel wszystkie państwa cechował, gdyby nieustannie Hiszpania i Włochy wicherzyły w Prowancyi, a Francya w Piemencie, Katalonii, Belgii, Szwajcaryi, Szwecya w Norwegii lub Finlandyi, Jugoslawia w Grecyi, w Rumunii albo na Węgrzech, Łotwa w Estonii albo na Litwie, Anglia w Holandyi, Norwegii lub Francyi, pragnąc podbojów nieskończonych, — gdyby słowem co jest na szczęście wyjątkiem, zostało zasadą. Ale wyjątki są nader poważne, i oto od Niemiec, ich intryg, placówek przyszłym zaborom służącym, propagandy, szerzenia rozterek wewnętrznych, grania na antagonizmach miejscowych nie jest wolne żadne państwo ościennie, — Dania, Holandya, Belgia, Francya, Szwajcarya, Włochy, Jugoslawia, Węgry, Czechy, Polska, Litwa, — jedne podminowywane, inne na razie kokietowane, trzecie już zagrożone zaborom, — wszystkie za największą troskę i groźbę mają niemieckie sąsiedztwo, nawet dalsze, jak Łotwa, Estonia, Finlandya, Szwecya, Grecya, Rumunia, i wystrzegać się muszą macek niemieckich. A z drugiej strony wiecznie głodna zaborów, wcale nie gospodarczych, nie narodowych, ale wyłącznie molochowi państwa w jej państwa pojęciu służących, Rosya nie daje zaznać spokoju Finlandyi, Estonii, Łotwie, Polsce, Rumunii, Bułgaryi, nie mówiąc o placówkach we wszystkich krajach ani oazyatyckich granicach, zajęta trawieniem na swój sposób Ukrainy, Bia-

lejrusi, Karelii, Gruzji, Armenii i wschodnich prowincyi. Po zaborze bowiem nie ustaje praca państwowa nad zdobytym obszarem, trzeba zaś zedrzeć oblicze, zabić cechy plemienne, nie że złe, ale że inne, włożyć nań uniform rządowy. Nawet już nie po to, żeby bunt zdławić: na okaz etnograficzny nic nie chcą zostawić. Liczą i cieszą się Niemcy, że oto Słowińców już nie 10 tysięcy, ale tylko 5 pozostało, że Łużyczan, co razem ich jest 50 tysięcy, z każdym rokiem liczba maleje. I tak samo Rosya wśród szczepów wymierających Wschodu.

W środek tych potęg wcisnęły dzieje ojczyznę naszą. Wiele krajów graniczy z Niemcami, ale mają rubieże inne stałe, nieruchome, bezpieczne, z za których nic im nie grozi. Dużo państw sąsiaduje z Rosją, ale mają sąsiedztwa pozostałe spokojne, usatkwane, pewne. Tylko my jedni mamy obydwie granice, i niemiecką, i rosyjską, — i to najdłuższe z ich granic i naszych, i tu ich napiera największe ciśnienie, już dziś dla nas groźne, gdy są osłabione. Ale przecież regenerują szybko.

XVI.

Zarazem, obok stwierdzenia, że mamy te dwie i obie granice niepokojne z mącicielami pokoju europejskiego, należy sobie sposobem równie kategoriycznym uświadomić, że takich granic mamy właśnie dwie i że żadnych pozatem wrogów niepodległości naszej nie mamy. A nawet w sytuacji naszej niewolno nam sobie pozwolić na taki zbytek, by ich mieć więcej. Jakkolwiek są słabi pozostali sąsiedzi nasi, w niebezpiecznej pozycji swej musimy sobie ich przyjaźń zawarować. Z Rumunią i Łotwą jesteśmy w stosunkach dobrych, z Czechosłowacją je gruntujemy, wreszcie z Litwą, co stać się może wielce niebezpiecznym ogniwem, spajającym zawisły nad nami łańcuch wrogów, winniśmy dojść do porozumienia celem wzmocnienia naszej postawy zewnętrznej.

Nie mamy nieprzyjaciół i w „wielkim świecie”. Francya, Anglia, Ameryka, Włochy kto wie, czy nie są nieco rozczarowane wobec naszej rzeczywistości państwowej w porównaniu z nadziejami, jakie budziły w ich ludach nasze walki wolnościowe; bodaj nas nieco lekceważą; zdają się być wreszcie zdolne poświęcić nas ewentualnie dla innych swoich kombinacji politycznych. Wynikają z tego ich stosunku do nas poważne niebezpieczeństwa, których przedsmak czujemy w polityce polskiej Ligi Narodów.

Najgorzej jest oczywiście z tem, że stosunek ich do nas uzależnia się od traktowania przez nie Niemiec i Rosyi. Utrudnia to nam tem bardziej samoobronę wobec tych dwu państw, któraby była bez porównania łatwiejsza, gdyby względem nich wielkie mocarstwa nie posiadały zainteresowań. Możliwość poświęcenia przez nie żywotnych potrzeb naszych do niepodległości włącznie przez to się ogromnie zmaga. Szantażowanemu przez Niemcy rzekomą pokojowością ich z warunkiem rewizyi traktatów Anglikowi łatwo przechodzi przez gardło

zwrot o błędzie górnośląskim, a tak długo, jak będzie istniał bufor szczałkowy Austrii, Włochy nie będą zbyt nieprzychylnie wolnej ręce niemieckiej na wschodzie, która przecież nie uczyni wyłomu i w doktrynie Monroego, jakkolwiek ją wyinterpretujemy. Początkiem trwałego pokoju może wydawać się państwu Zachodu to, co przywracając mapę przedwojenną, nanowo rozwiązuje ręce przeciwnikom jego i użyźnia grunt pod ponowienie się przez nich wywołanego kataklizmu. Czyli nie mamy na Zachodzie przyjaciół takich, coby wszyscy w każdej zagrażającej nam okoliczności przyszli ze skuteczną pomocą, bo nie zawsze przewidzieć będą jej dalsze, dla nich samych bolesne wyniki.

Z temi nastrojami walka jest fizycznie możliwa i politycznie konieczna, chociażby nie wróżyła owocności. Konieczna jak dla ryby wyrzuconej na brzeg bicie się o piasek do ostatniego tchnienia, a nuż da się odbić odeń i wrócić do rodzimego żywiołu choćby trafem. Walka ta polegać musi na propagandzie, więc z jednej strony dotyczyć uświadamiania korzystnego Europy o nas, nie tyle za pośrednictwem nudnych broszur, czytanych tylko przez nasze kolonie, ile za pomocą czynów, podnoszących wszechstronnie naszą wartość wewnętrzną; z drugiej zaś strony iść powinna w świat nasza propaganda literacka, uświadamiająca Zachód o istocie państwowej Niemiec i Rosyi, ich zasadniczej wrogości pokojowi europejskiemu i permanentnej zaborczości, jawnej lub potencjonalnej. Studya polityki tej od zarania ich dziejów, wskazywanie w ich charakterze przyczyn wojny światowej, badanie i demaskowanie tendencji obecnych, wykrywanie szantaży niemieckich i rosyjskich, niemieckich w pozorowaniu pokojowego bezwładu, rosyjskich w imitowaniu wartościowej siły, — ot co zająć powinno naszych uczonych i publicystów, a nawet powieściopisarzy, ot na co państwu niewolno żałować nakładu, na czem stosować oszczędności i redukcji... Niemcy doceniają znaczenie w czasach dzisiejszych wojny literackiej, i zanim wyciągną rękę uzbrojoną po ziemię naszą, chcą ugruntować w opinii europejskiej przekonanie, że jest to słuszne, moralne, konieczne, że najazd ich jest mandatem kultury, a nasze odparcie ataku — najazdem, — by nas zdusiła atmosfera niechęci, jak taż drogą bolszewicy wstrzymywali nam dostawę z Zachodu amunicji.

A nam przecież wystarczy głosić tylko prawdę, którą możemy sobie uświadomić lepiej od Zachodu, a z nią docierać dowsząd, powtarzać ją przy każdej sposobności, na wzór^z dzięcioła dziurę wierząc uparcie w umysłach europejskich non vi, sed saepe cadendo, aż oswoją się z faktem, że przychologię państwową niemiecko-rosyjską należy od swojej odróżnić. W ten zaś sposób nie tylko najskuteczniej zabezpieczamy istnienie nasze, o które Zachodowi dotychczas mniej chodzi, lecz nadto istotnie przysługujemy się pokojowi europejskiemu, który

nie miał przed wojną i nie ma obecnie przeciwników innych prócz Niemiec i Rosyi, w jakakolwiek się ubierają formę rządów. Wyobraźmy sobie bowiem ex contrario, że państwa te dwa przestają być zaborcze, — i oto pokój wieczny widzimy zapewniony: pozostają najwyżej walki ekonomiczne, wojen dziś w Europie nie opłacające. Wyobraźmy przeciwnie, że Francya lub Polska rozbrajają się, — i patrzmy, że już są ograbione lub nawet podbite. Gdy to sobie uświadomią dobrze jako aksyomat Francuzi, Włosi, Anglicy, Amerykanie, włos nam z głowy nie spadnie.

Obaj przeciwnicy z osobna są dla nas groźni, nawet dziś, gdy są przez porażki wojenne osłabieni. Troską bardzo poważną jest dla polityki, wojska i dyplomacyi naszej samoobrona przed Niemcami, przeważającemi Polskę liczbą i techniką. Z Rosyi masami olbrzymiemi walczyć musieliśmy przez cały ciąg dziejów w stosunku jednego do dziesięciu, a gdy odpieraliśmy nawet je skutecznie, wojny zawierały ryzyka porażek i były niszczące. Nie lekceważymy i dziś rozprawy sam na sam ani z Rzeszą ani z Sowietami, potencjonalnie mocniejszymi, niż Prusy i Moskwa ongi. Wszakże niewolno nam nie brać pod uwagę ewentualności, że te dwa względem nas nieprzyjazne obozy zechcą wyciągnąć dłonie ku sobie, występując przeciw Polsce wspólnie lub jednocześnie, jak poprzednio dopiero łączną siłą rozbioru dokonały. Jakiś słowianofil nazwie błędem Rosyi sojusz z Niemcami, boć na dalszym planie ich Drangu i ona się znajduje, przeciwnik jego za mylne uzna ze strony Rzeszy bratanie się z kulturą niosącą rozkład Moskwą, a obaj za niesłuszne z ich strony wyzbywanie się buforu polskiego, przez co doszły do zatargu ze sobą zbrojnego w wojnie powszechnej, gdy trzeci ktoś ratunek nasz upatrywać będzie w tem, że nawet przystępując do rozbioru Rzeczypospolitej ponownego nie zdołają się zgodnie podzielić. Ale cóż stanowimy o faktach tych, z zewnątrz woli naszej dokonywujących się? Gdyby to Rosya i Niemcy graniczyły ze sobą, gdzieś zdala od nas, a my rozważali skądciś z ubocza, czy dla nas jest korzystniejszy zatarg pomiędzy nimi, czy pokój a w razie zatargu po której raczej należałoby nam stronie wystąpić? Sytuacya niestety przedstawia się odmiennie. Nie jesteśmy bowiem arbitrami w ich ewentualnym sporze, lecz właśnie objektem tego sporu, względnie porozumienia. A z tego szczególnego stanowiska czyż je przekonamy, że się mylą, łącząc się przeciw nam?

Dla troskających się o całość naszą wystarcza, że „błąd“ taki zdarzył im się za Katarzyny i za świętego Przymierza, gdy „norma sojuszu ani polsko-rosyjskiego przeciw Niemcom, ani polsko-pruskiego przeciw Moskwie nie znalazła dotychczas sobie w dziejach miejsca. I dziś z tego, że w wojnie ostatniej idąc osobno poniosły razem klęskę, wyciągnęły wniosek o konieczności współdziałania, czego dowodem

Rapallo, a co czujemy w grunt pod nami obsuwającej akcji ich przeciw-polskiej. W tych warunkach „oryentacyjne“ medytacje, który z najeźdźców gorszy, są wyborem postronka przez wieszającego się. To też gdybyśmy byli tak naiwni, że się ugodzili z Sowietami o pomoc ich zbrojną w razie agresyi niemieckiej, nie wątpmy, że wojska chętnie przysła, ale czy je z powrotem wyprowadzą, jak Prusy przed drugim rozbiorem zawarły z nami podstępnie przymierze, by przy podziale łupu nie zostać pominiętymi. Z całego postępowania dotychczasowego Sowietów widać, że niecierpliwie wyczekują akcji niemieckiej do czynnego zaatakowania Rzeczypospolitej, choćby bez uprzedniej z Rzeszą zmywy.

Więc gdy dziś opinia wiąże wizytę Cziczeryna w Warszawie z osłabieniem przez pakt zachodni sankcyi sojuszu polsko-francuskiego, — jeżeli tą drogą szukamy sprzymierzeńca zastępczego, popełniamy błąd, otwierając do siebie drogę komunizmowi i w rosyjski się wprzegając rydwan, co nas kosztować będzie życie. Ze wszakże na posunięcia samodzielne a ryzykowne nie zdobywamy się zwykle, angielskie zaś natchnienie tego kroku trudno przypuszczać, tedy czy nie zamykamy sobie poprostu oczu na wikłające nas sidła, wykonywując „w zakresie poruczonym“ ballon d'essai polityki francuskiej, naszym ewentualnym kosztem eksperymentującej tu przeciwbrytańską akcyę kontynentalną, czy już nawet nie z uludną nadzieją odnowienia aliansu, poczemby murzyn mógł odejść?

Oslabianie wrogości czynnej przeciwników naszych nie stanowi nie może dla nas jednego z najdonioślejszych zadań. Chodzi jeno o wybór środków po temu. A tu doświadczenie wskazuje niezbitcie, że najbardziej chłodząco na zapaly wrogie tak Niemiec, jak Rosyi działała zawsze i przedewszystkiem nasza siła, najwięcej podrażniała ich żądze zaborcze nasza kruchość, niejednorodność, rezygnacya. Kto chce zdobyć sympatyę prusko-moskiewskie przez uwzględnianie częściowe zbójeckich instynktów lub kurczenie się w możliwie niepozornej, rzekomo więc nie zachęcającej do zaborów skorupce, łaskoce jeno podniebienie dra pieżcy. Więc gdy zapobieżenie najeźdźców napaści wspólnej lub jedno-czesnej stanowi nasze główne zadanie obronne, nie rozdzielimy ich ani zjednamy czemkolwiek, ani biernością, ani próbami skłócenia ze sobą. Te bowiem naiwne półśrodki mogą zawieść, a wtedy zginęliśmy. Samo-obrona zaś nasza musi być niezawodna. Tylko tedy mając oczy na niebezpieczeństwo szeroko otwarte, znajdziemy drogi ratunku.

XVII.

Błąd traktatu Ryskiego nie polegał na niewykonaniu programu maksymalnego polskiej polityki demokratycznej. Przedewszystkiem dlatego, że tego programu nie było, po-dругie, że elementu błędu trudno dopatrywać się w decyzjach, będących, subiektywnie wprawdzie, jedynem wyjściem historycznie naówczas możliwem. Druga z tych przesłanek nawet nie wymaga dowodzenia. Byliśmy w r. 1920 w tem samym położeniu, co koalicja w 1918. Zwycięstwo po klęskach straszliwych i stratach niepowetowanych nie to nawet, że wydawało się zmiennem szczęściem, ale poprostu sposobnością dla zmęczonego latami wojny społeczeństwa, by ją nareszcie zaprzestać, wcale zaś nie do realizowania tych czy innych programów lub postulatów politycznych. Faktyczna linia frontu z dnia zawieszenia broni przesądzała w tych nastrojach granicę państwową. Nie należy więc upatrywać tryumfu programu Stanisława Grabskiego w tem, co identycznie formułowali Dąbski i Barlicki. Najwyżej można zastanawiać się nad zbiegiem okoliczności, że program Stanisława Grabskiego z góry utrafił w decyzje, które podyktowała następnie niechęć zmęczonego narodu do zasadniczego przemyślenia też trwałego pokoju.

W żadnej zaś części wpływowej społeczeństwa też już do tego czasu przemyślanych na temat uregulowania stosunków na naszej granicy wschodniej, jak zaznaczałem, wcale nie było. Pozory programu posiadała może narodowa demokracja, ale ściśle negatywnego, prawiąc najwyżej o braku zainteresowania naszego dla niepodległości Ukrainy i Białejrusi. Jeżeli ktoś na lewicy przeciwnie twierdził, że Ukraina i Białoruś winny uzyskać niepodległość, to takich oświadczeń platonicznych zarówno niepodobna nazywać programem, jak naszych ogólnych życzeń wszelakiej pomysłowości dla Irlandyi lub Transvaalu, i przeciwstawiając się mu namiętnie narodowa demokracja walczyła z wia-

trakami, tem bardziej że według licznych jej wynurzeń przeciw bytowi niepodległemu Ukrainy i Białejrusi nic również w zasadzie nie miała. W istocie obydwie odłamy opinii zgodnie traktowały tę kwestyę jako zewnętrzną i pozostawiały ją biernie rozwojowi wypadków poza granicami naszego oddziaływania.

O ile zaś chodzi o posunięcia praktyczne lewicy w zakresie polityki wschodniej, pomijając ludowców, których widnokrąg sprawa ta przekraczała, można tu brać pod uwagę dwa tylko czynniki: akcyę Naczelnego Dowództwa oraz stanowisko Polskiej Partji Socjalistycznej.

Polityka Polskiej Partji Socjalistycznej różniła się w tej sprawie, jak wiadomo, od narodowo-demokratycznej w istocie tylko frazeologią, a faktycznie wypowiedaniem tych samych zasad w innych momentach, zależnie od różnicy bieżących postulatów klasowych. Np. P. P. S. antyrosyjską krzewiła orientacyę za caratu i silnie odchyłać się zaczęła ku Rosyi z wybuchem tam rewolucyi, gdy wówczas przeciwnie sfery narodowo-demokratyczne zaczynały skłaniać się ku „aktywizowaniu“ w obawie przed wpływem tej rewolucyi na Polskę. O ile chodzi o stosunek do Ukrainy i Białejrusi, P. P. S. na bankietach szła bardzo daleko w radykalizmie i nawet konkretnych zobowiązaniach moralnych—z jednym małym zastrzeżeniem: czekajcie na tryumf polskiej demokracji! ale już w mowach sejmowych i prasie partyjnej wypowiadała się powściągliwiej, w momentach zaś decydujących była o wiele bardziej umiarkowana od Naczelnego Dowództwa. Popularność Piłsudskiego w P. P. S. słabła w miarę posuwania się wojska na wschód. Przypomnijmy choćby nagankę „Robotnika“ z racyi Borysowa i bardzo chłodne traktowanie wyprawy kijowskiej, a następnie hasło „pokoju porozumienia“ z Rosyą, identyczne z hasłem „wspólnej granicy“ Narodowej Demokracji, tyle że w moralnie mniej zdrowej formie głoszące rozbiór Ukrainy i Białejrusi.

Polityka zaś Naczelnego Dowództwa z natury rzeczy nie mogła być w treści swej niczem innym, jak stosowaniem w życiu postulatów, jak widzimy wzajemnie nie różniących się, obu wymienionych obozów. Rozbieżności pomiędzy niemi a stronnictwami miały charakter jedynie pospolitej niezgodności praktyki a teoryi. Teorya bowiem wytworzona była w kraju, jak zwykle na podstawie faktów dotychczasowych, a więc z pewnem opóźnieniem wobec faktów następujących*). Praktyka zaś miała na froncie do rozwiązywania zagadnienia, stawiane przez nie biorący udziału w tworzeniu naszych teoryi czynnik trzeci, nieprzyjaciela, w postaci jego aktualnych decyzji bojowych. Z tem

*) Jak wogóle u narodów nieusposobionych do tworzenia wielkich syntez politycznych.

zastrzeżeniem trudno dopatrzeć się różnic ideologicznych pomiędzy posunięciami Naczelnego Dowództwa a postulatami kraju.

Naczelne Dowództwo nasze nie szło na wschód z programem politycznym, wypływającym z tego lub innego ujęcia polskiej racji stanu, lecz uczciwie robiło w narzuconej nam wojnie. Zbyt silną indywidualnością jest Piłsudski, ażeby dał na sobie posłom sejmowym wymusić pokój ryski, gdyby postanowienia traktatowe nie były dlań sprawą drugorzędną, tak jak się nie pozwolił rządzić Korfantemu, gdy już i na lewicy wielu z rezygnacją przystawało w duszy na przeboleń tego eksperymentu. Oczywiście unikać w zupełności posunięć politycznych Dowództwu się nie udawało. Stosunek jego wszakże do nich był wojenno-utylitarystyczny. Przecież w polemice z narodową demokracją obóz popierający Piłsudskiego argumentował wyprawę kijowską właśnie względami strategicznymi. Że zaś je dekorowano proklamacjami politycznymi, Naczelne Dowództwo nasze wzorowało się w tem zgoła widocznie na świeżym w pamięci przykładzie niemieckiego, które również celem ułatwienia sobie okupacyi tyłów i zdobycia innych chwimowych atutów tworzyło „niepodległe“ państwa i „regulowało“ ich obszar, jakeśmy to uczynili w układzie z Petlurą na Wołyniu, przesadzając granicę ryską.

Jakim wnioskiem praktycznym służyć może to stwierdzenie przypadkowości historycznej kształtów zewnętrznych naszego domu? Można, jak p. Hołówko w „Drodze“ uczynić to poto, by naszkicować, jaki program powinniśmy byli onego czasu mieć, wyrazić żal, że decyzje ówczesne odeń odbiegły, zaznaczyć, że wobec tego i skład wewnętrzny naszego państwa jest dość przygodny, następnie po stwierdzeniu, że te pretensje do przeszłości jej w niczem nie zmieniają, zastanawiać się nad tem, co z tym fantem, co go mamy w ręku, zrobić. Osobiście wszakże nie pragnę być ani tak daleki od rzeczywistości w przesłankach, ani tak jej aktualistycznie blizki we wnioskach. Obawiać się bowiem należy, że uchylenie czoła przed faktami, które historia zmienia łatwo, oraz łatanie szaty niedokończonej i niedopasowanej odwrrotnie do zamierzeń doprowadzi do takich zmian w tych faktach i tej szacie, jakich sobie najmniej życzymy.

Wyzwalając się z niewoli narodowej, byliśmy skłonni, co wyżej zaznaczałem, do traktowania tego czynu nie jako wejścia do polityki europejskiej, lecz odwrrotnie, jako wyjścia z niej, zamknięcia się w swoich ramach i poświęcenia się pracy wewnętrznej. Z tego właśnie względu rozpowszechnionem była u nas dążność do odgraniczenia się od wschodu i pozostawienia biegowi wypadków sprawy ukraińskiej białoruskiej oraz désintéressement w sprawie ustroju rosyjskiego. Lecz Polska nie jest niestety w tej sytuacji szczęśliwej, by dla niej takie lub

inne otoczenie polityczne było obojętne lub tylko pożądanę: chcąc żyć, musi w budowaniu odpowiedniego środowiska czynnie i stale współpracować, nie czekając na wypadki choćby z programami w głowie, lecz je tworząc z narzędziami chirurgicznymi w rękę. Los, dając nam państwowość największą na rubieży europejskiej Rosyi, wkłada na nas specjalne obowiązki czynnej tu polityki, od której zresztą niewolno nam w obronie bezpieczeństwa własnego się uchylać. Nasz pasywizm tedy wcale nie jest {tu poprostu bezczynnością, jakbyśmy chcieli, lecz jest mimowoli określonym zgoła kursem, niewątpliwie prosowieckim, osłanianiem bolszewizmu, podparciem trzeciej międzynarodówki oraz dawaniem folgi wszystkim sowieckim bezceństwowom w kraju, prowincjach zabranych i po całym świecie. Jedyne wytłómaczenie dla tak cudacznej misyi Rzeczypospolitej jest chyba obawa, że Rosya inna, „trzecia“, zakwestyonuje granicę ryską. Ale przecież pomijając, że bolszewicy bynajmniej nie są wobec niej zbyt skrupulatni, nie otrzymaliśmy jej w prezencie, i stanowi o jej utrzymaniu tak teraz, jak i w przyszłości, tu zwłaszcza, nie „świsstek papieru“, ale stosunek sił. Błędne zaś jest mniemanie, że Sowiety są dla nas sąsiadem stosunkowo najbardziej pożądanym, jako najsłabsze z możliwych ukształtowań politycznych Wschodu. Rosya jest w każdej formie sobą, i po okresie utrwalenia władzy rewolucyjnej, zdąży szybko do zdobycia potęgi poprzedniej, która też już niepokoi dziś nawet Anglię.

Polityka zagraniczna Sowietów zakresłona jest bardzo szeroko—po liniach, ustalonych przez carat. W stosunku do Rzeczypospolitej wychodzą, doń podobnie, z zasadniczej dążności do jej całkowitego zniszczenia. Metod używają z dawna nam znanych. Przedewszystkiem wygrywają pojednawczość polską, ustępliwość i wiotkość, znając sposoby i miarę nacisku, wywołującego nasze rezygnacye. Więżą bezpodstawnie naszych obywateli, mordują członków poselstwa oraz, jak mimochodem Piotr u nas pastwił się nad księżmi unickimi, na granicy naszej porywają ludzi, wybijają strażę graniczne, palą dwory, rabują majątki. Jednocześnie tworzą i utrzymują, jak ongi, stronnictwo jurgieltników rosyjskich w Polsce, co otwarcie wzywa wojska ościennej potencji, tym razem „czerwone“, usiłują zdeorganizować za pomocą zamachów, mordów, szpiegostwa i propagandy naszą siłę militarną, ustrój państwowy i spójnię społeczną, w Polsce strzegąc złotej wolności dla nowoczesnej szlachty robotniczej, w Rosyi ją dławiając. A zarazem grają na wszystkich antagonyzmach wewnętrznych Rzeczypospolitej, przedewszystkiem pozyskując do jej dezorganizowania dawniejszych dyzunitów, obecne mniejszości kresowe, by przygotować grunt sympatyzujący inwazyi. Żadne państwo na naszym miejscu nie wytrzymałoby takiego sąsiedztwa i dawnoby już zaprowadziło tam porządek alboby przynajmniej

dążyło w tym kierunku. My zaś pocieszamy się, że trzeba się tylko przyzwyczaić. I tak sami się wciskamy do paszczy drapieżczej. Nie chwytamy zresztą pobudek całej tej akcji, tak od naszego usposobienia odmiennej, — do czego dąży temi sposobami Rosya? Otóż do takiego muru granicznego, którego jej łeb nie zdoła wzruszyć, z takim sąsiadem, który jej zawadjać, tchórzliwemu w istocie, nakazać potrafi poszanowanie samym wyglądem, zanim wyszczerzy zęby. Powinniśmy więc przekonać Rosyę, że takim właśnie murem jest dziś znów Polska, jak nim była w wieku XVI, a Niemcy w^q XIX, jak nim zdołała zostać Japonia.

Tedy polityka dotychczasowa Polski, wyrozumowana wbrew naturalnym odruchom społeczeństwa, nie osiąga nawet swych skromnie zakreślonych celów. A raczej doprowadza do wyników zamierzeniom przeciwnych: wzmocnienia Rosyi i niepewności niepokojonej rubieży. Jak niegdyś na zgubę swoją wyhodowaliśmy Prusy, tak dziś sztucznie konserwujemy potwora, czyhającego na naszą zagładę, przeciw nam ze spadkobiercami krzyżackimi sprzymierzając się. A w ten sposób dopomagamy przedewszystkiem Niemcom, bo po-pierwsze dla nich szykujemy przeciw sobie hufce sowieckie, po drugie im dajemy okazję wobec naszej tolerancji i beczynności na wschodzie ofiarowywania Europie swoich usług w walce ze smokiem komunistycznym — za wspólną z nim granicę, to znaczy wciąż i zawsze za odstąpienie im naszego Pomorza! One mają stworzyć trzecią Rosyę, im będzie zawdzięczała swoje powstanie, — i maż być z nami na dobrej stopie?

Kiedy politycy nasi czasu wojny kołatali do gabinetów ministeryalnych koalicji, gawędząc o swojej orientacji rosyjskiej, dostrzegali zapewne u swoich interlokutorów wzruszenie ramion: czyli nie stanowicie dla nas żadnego czynnika nowego, więc i interesującego? — i nie toż samo widać w odpowiedzi na nasze popisywanie się powszechnie swoją bezwzględną pokojowością? Łudzimy się wciąż, że jest rok 1919, kiedy nam dopiekano naszą wojowniczością, więc usprawiedliwiamy się dziś, że już jesteśmy grzeczni; tymczasem zaś panowanie weteranów i inwalidów na świecie się skończyło, a rządy wróciły do snucia swoich kombinacji, bądź wyciągając konsekwencye ze zmienionych układów politycznych, bądź przygotowując ich dalsze przeobrażanie, w czem Rosya stanowi jedno z zainteresowań najpoważniejszych. Gdy więc my deklarujemy swoją względem nich niewzruszalną neutralność, reakcja jest do przewidzenia: myśleliśmy, że się na coś zdacie, musimy na wasze miejsce puścić kogoś innego.

Gdybyż obojętność nasza wpływała z natury rzeczy, i rachuba nakazywała nam zadowolenie z sowieckiego sąsiedztwa! Ależ ono wytwarza dla nas sytuację nieznośną. Pomijając akcyę przeciwpolską,

ustrój sowiecki zatkał nam wejście na rynki rosyjskie, którym zawdzięczamy uprzemysłowienie kraju i które stanowią nadal o naszych możliwościach rozwoju gospodarczego. Gdy więc cała Europa odczuwa boleśnie odpadnięcie z ekonomiki jej fatalnie zubożonej i pozbawionej sposobów dźwignięcia się połowy wschodniej, polskie życie przemysłowo-handlowe zbyt długiego stadium tymczasowości sowieckiej wręcz nie przeżyje. A przecież chodzi nam nie o wegetację wieczną kraju, ale i jego rozkwit najrychlejszy. Z samej potrzeby ratunku z duszącego naród kryzysu sprzyjać musimy czynnie odbudowie pojemności Wschodu. Słusznie nie popieraliśmy ruchów Denikina i Wrangla, kiedy stanowiły wielką siłę, która mogła być skierowana przeciw naszemu, ledwie gruntującemu się bytowi. Dziś nie byłyby już dla nas na razie niebezpieczne, zwłaszcza gdy będziemy ich bazą faktyczną. Natomiast wprowadzenie się na miejsce Sowietów jakiegokolwiek ustroju indywidualistycznego i mniej więcej praworządnego jest dla nas koniecznością życiową. Przed rozbiorami mogliśmy być krańcem świata cywilizowanego, jakkolwiek i wówczas to czyniło nasz rozwój gospodarczy jednostronnym, upośledzając miasta. Dziś przystosowaliśmy się z charakteru obecnego obszaru swego i ludności do zgoła odmiennego posłannictwa ekonomicznego. Bez dróg na Wschód naocześnie otwartych w przeciągu jednego pokolenia spadniemy na poziom Hiszpanii. Przecież na kolonie zamorskie nie rachujemy, świat jest podzielony cały, dla nas zostaje ten jedyny kierunek ekspansji kapitalistycznej i wszystko musimy poczynić, aby go ocalić, jakkolwiek niema mowy o jego wyłączeniem przez nas samych opanowaniu.

Dążyć do tego można drogami różnemi, zasadniczo dwiema: bądź dopomagając odrywaniu się od Sowietów rynków poszczególnych, np ukraińskiego i t. p., bądź też wspierając prądy antysowieckie w samej Rosji. Wybór metody powinien być nam wskazany nie przez rozważania zasadnicze, ale przez interes i możliwości, jak również wybór jednego z obozów antysowieckich. Wszakże drogi te są sprzeczne ze sobą tylko ze stanowiska rosyjskiego, ale przez nas mogą być dobrze uprawiane równolegle. Niebezpieczeństwo bowiem interwencji naszej do spraw wschodnich twi w nas samych, w jednostronnej całkowitości wszelkich naszych orientacji, w tem, że łącznie wpadniemy w jakieś tony względem popieranego obozu przyjazne: za naszą i waszą wolność, równi z równymi i t. d., nie ważąc, że z inną tu naturą mamy do czynienia; zaczniemy po ludzku uwzględniać rzekome potrzeby państwowe sprzymierzeńca, wierząc, że polegają istotnie na utrzymaniu dawnych i czynieniu nowych zaborów: Ukrainy, Łotwy i t. p.,—i nawet nie konfrontując ich z naszemi, znów tu proklamować désintéressement.

Natomiast stanowisko gołego interesu i powszednich możliwości,

jakiebyśmy wytworzyli ujęcie idealne stosunków wschodnich na dalszą metę najbardziej dla nas pożądane, nakazuje nam w tej chwili, jak to zresztą czynią i Czesi i Niemcy, właśnie równoległe popieranie prądów antysowieckich zarówno rosyjskich, jak separatystycznych, którekolwiek bowiem z posunięć naszych uwieńczy powodzenie doraźne (co ściśle przesądzić trudno), życie gospodarcze nasze natychmiast uzyska szerszy oddech. Ośrodkiem tedy ruchów przeciwbolszewickich z natury położenia i potrzeb własnych powinna zostać Polska, odejmując tę rolę sąsiadom zachodnim, co jak im dotychczas, tak i nam nie powinno mącić stosunku „correct” z Sowietami, który dziś tem jest zły, że jest do zatracenia godności szczery.

A więc jak względem Niemiec punkt ciężkości samoobrony swej przenieść winniśmy z naszego Pomorza i Śląska na Śląsk niemiecki i Warmię, tak i na wschodzie należy ją przerzucić na terytorium przeciwnika, co dziś Sowiety stosują względem nas. Gdy zaś przejdziemy tu do polityki czynnej, w razie jej powodzenia osiągniemy jakieś takie uregulowanie stosunków ze Wschodem, kiedy tam jakikolwiek inny rząd zasiądzie. Nie powtarzając naiwnych błędów niedawnej przeszłości, nie łudźmy się, że będzie względem Rzeczypospolitej wiecznie przyjazny. Bardziej jest prawdopodobne, że odnowi z czasem tradycyjną względem Polski politykę. Ale nie będzie tego w stanie uczynić natychmiast, jako na razie przez fakt pomocy polskiej i słabość własną od nas zależny oraz zapewne dłuższy okres czasu poświęcając wywalczeniu dla siebie posłuchu w kraju i przetasowywaniu porządków. O to nam zaś w tej chwili najbardziej chodzi. Spodziewając się ataku ze strony Niemiec, winniśmy go ubiedz unieruchomieniem wschodniego ich przyjaciela, ażeby sparaliżować ich współdziałanie i uniemożliwić napaść jednoczesną. Występując tu w roli twórczej, to osiągamy. A nadto przecież nie zaniedbamy wyciągnąć z nowego przewrotu rosyjskiego pewnych gwarancyi realnych trwalszego bezpieczeństwa swojej granicy. Tedy bynajmniej nie sojusz czy przyjaźń z Sowietami ratuje nas przed Niemcami, lecz właśnie energiczne przeciwstawianie ich knowaniom oraz dywersjom kontrofensywnej akcji polskiej.

Z tą zmianą kursu należy się bardzo śpieszyć. Nie w naszej bowiem mocy jest na długo odroczyć agresję Rzeszy. Nadto zaś moment tej zmiany sprzyja. Myślmy cośkolwiek o sojuszu z Anglią. Ale przy obecnym kierunku polityki polskiej byłby bezprzedmiotowy: nie dotyczyłby chyba przecież jakichś ustępstw dla Niemiec. Nie dlatego naturalnie powinniśmy zmienić stosunek do Sowietów, że dogadzałoby to Wielkiej Brytanii. Ale z założeń i potrzeb własnych wyprowadzając linię postępowania względem Wschodu należyta, permanentnym oraz aktualnym interesom kraju odpowiadającą, nie wolno nam zaniedbać wy-

zyskania okoliczności, że zgadza się z chwilowemi tendencjami polityki angielskiej. Nie znaczy to znow, byśmy zostać mieli jej satelitą. Skoro Anglia dla nas oczywiście nie zmieni swego traktowania Niemiec, dla porozumienia z nią w sprawie rosyjskiej my Krzyżaków nie zaczniemy nagle wielbić. Praktyczni zachodnio-europejczycy zresztą nie są zdolni nawet zrozumieć — zaiste kobiecych, jak nas Bismarck określił, poszukiwań całkowitego oparcia się jednostronnego o czyjeś ramię, natomiast pojmą, że mając dwie granice, dwa antagonizmy, konsekwentnie uprawiamy dwie polityki i zawieramy dwa sojusze, raczej dwa rodzaje sojuszów, wcale ze sobą nieharmonizujących w żadnej innej platformie prócz naszego interesu narodowego. Nawet w projektach konkretnych polityki wschodniej możemy odbiegać znacznie od postulatów ewentualnego sprzymierzenia.

Pozyskanie Wielkiej Brytanii dla polskiej polityki wschodniej w wyżej podanym jej kształcie sprowadzić musi jeden skutek natychmiastowy. Anglicy niebawem ochłodną dla planów niemieckich względem Pomorza. Tylko bowiem okoliczność, żeśmy ich absolutnie przekonali, iż jako naród pokojowy zawsze będziemy neutralni, przychyła ich do aspiracyi niemieckich względem „korytarza“, tej drogi jedynej, jaką się może Anglia z nami komunikować. To też czemprędzej należy ją uświadomić, że nie są jednakże wykluczone warunki, w jakich się nam wspólnie na co zda, że przeciwnie ze stratą Pomorza ze wszelkich, jakie się dadzą czy nie dadzą przewidzieć, kombinacyi politycznych brytańskich Polska zostaje przez sam brak kontaktu nazawsze bezwzględnie wyłączona. Gdy w to uwierzyć jej pozwolą nasze czyny, dostępu do morza nie stracimy, i Niemcy zapewne rozwiną w innych raczej na razie kierunkach swe apetyty zaborcze: ku Austrii i z nią ku wschodowi południowemu. Czynna polityka na wschodzie—oto w tej chwili jedyny ratunek poważny, skuteczny przed niemieckim jasyrem.

Jasną jest rzeczą, że przewidywać należy i jej niepowodzenia. Dopóki wszakże stwarzać będziemy Sowiecom trudności wewnętrzne, unieruchamiamy lub osłabiamy ewentualne poparcie przez nie niemieckiego najazdu. Ale mogą, nie czekając nań, wyciągnąć stąd casus belli. Nikt z nas oczywiście wojny sobie nie życzy. Atoli Sowiety do niej niewątpliwie dążą, pragnąc albo odpowiednio się najpierw wzmocnić albo uderzyć na nas wspólnie z Niemcami. W tych warunkach, — jeśli będziemy się trzymać na baczności i w pogotowiu, — dla nas korzystniejsze jest przyjąć wyzwanie ich, zanim te okoliczności zajdą. O ile zaś możemy zapobiedz uderzeniu Rosyi z tyłu w razie wojny z Niemcami jedynie w drodze jej uprzedniego sparaliżowania, o tyle przeciwnie gdy Sowiety walkę zbrojną zainicjują, Rzesza dla wielu względów ich poprzeć otwarcie i formalnie nie będzie w stanie, zwłaszcza

cza że Anglia będzie raczej sympatycznym na nas okiem patrzała*). Nawet więc w tym najgorszym wypadku,—jeżeli tylko pewni jesteśmy przewagi swojej w pojedynku z Sowietami,—korzystniej jest dla nas załatwić ten porachunek skutecznie, zanim się zsunie na Polskę lawina pruska, z którą sam na sam walka będzie wprawdzie ciężka i wymaga wielu wstępnych przygotowań politycznych, ale nie tak beznadziejna, jak przy ataku obustronnym.

Podjęcie akcji czynnej względem Sowietów wymaga oczywiście w pierwszym rzędzie odpowiedniego umocnienia granicy naszej od wewnątrz, czyli uregulowania spraw kresowych, ażeby się nie stały dla Polski piętą achillesową. Kto wie, czy w naszej niechęci do poruszania ich nie znajduje się źródło kursu względem Sowietów pojednawczego? to one nam je nastawią po swojemu, i już to czynią. Więc unormować stosunki na wschodnich rubieżach niezależnie od tego czy innego ujęcia zadań zewnętrznych Rzeczypospolitej musimy, bo w obecnym stanie są ułatwieniem dla każdego naszego przeciwnika, nawet zachodniego, który również nie będzie się wzdragał maczać rąk w burzeniu przeciw Polsce we właściwych momentach jej ludności kresowej.

*) Po wzięciu Kijowa gratulował nam natychmiast król angielski,—było to moment, że Anglia zaczynała dopiero doceniać Polskę: dalszy bieg zdarzeń sprawił, że to niedługo trwało. To też i dziś polityki wschodniej nie możemy poprzedzić porozumieniem z Anglią, co przyjdzie aż po ważkich a skutecznych krokach naszych.

XVIII.

W wyniku walk wyzwolenicznych nie tylko graniczymy na wschodzie z Białorusinami i Ukraińcami, obecnie sowieckiej poddanyymi władzy, ale i zawarliśmy w swych granicach znaczne terytoria o niewątpliwej ich przewadze liczebnej. Wprawdzie państw o ludności jednolitej niema. Atoli po upadku austro-węgierskiego nonsensu przeważa w Europie: typ państwa narodowego. Różnolitość językowa Szwajcaryi nie przeszkadza jej być organizacją jednonarodową, jak czują się Francuzami Bretończycy. Mniejszości narodowe np. Łotwy są rozproszone pomiędzy autochtonami, jak musiała Rumunia zawrzeć enklawę madziarską, a Włochy w Trentino mają pas pograniczny niemiecki stosunkowo do ich obszaru zupełnie niewielki. Krajem klasycznym pstrokacizny narodowościowej jest Czechosłowacya: o ile wszakże przystać na zasadę jej dwunarodową i pominąć uwagę organizację specjalną Rusi Karpackiej, to poza drobnymi skrawkami ziemi polskiej oraz madziarskiej zawiera ona bardzo znaczną mniejszość jedynie niemiecką, i to zarówno z dziejowej, jak geograficznej konieczności. Pod przykłady powyższe podpada i u nas ludność niemiecka oraz żydowska, same już wynosząc łącznie aż kilkanaście procent zaludnienia. Natomiast nie zachodzi analogia pomiędzy naszymi Białorusinami i Ukraińcami z jednej strony a Bretończykami z drugiej, nie mówiąc, że nie tworzymy z nimi wspólnie ani jednonarodowej Belgii ani trójjędnej Jugosławii. Innymi słowy, Rzeczpospolita stanowi w Europie dzisiejszej, nie licząc federacji rzekomej republik sowieckich, zjawisko wyjątkowe.

Największym tryumfem wojny powszechnej, zwiastunem ustalenia we świecie ładu zasadniczo nowego, było wyzwolenie Polski — i jako symbol ustania przemocy nad narodami i jako umożliwienie geograficzne odbudowy państwowej wielu ludom innym: w ślad za nią powstały Czechosłowacya, Jugosławia, okrojone, lecz niepodległe Węgry,

zjednoczona Rumunia, wyzwolona Finlandya, Estonia, Łotwa, Litwa, przejściowo Ukraina i Gruzja, a nawet na przeciwległym krańcu wolna Irlandya. Dalsze zaś istnienie Rzeczypospolitej jest niejaką rękojmnią niepodległości wielu z państw nowonarodzonych, coby jej upadku długo przeżyć nie mogły, — a więc i podstawą trwania nowego ładu. Ze zaś zasada podziału politycznego świata według granic etnograficznych poskramia zaborczość, tedy wyzwolenie Polski stało się wielkim krokiem po drodze pacyfikacyi Europy.

I naszym zamiarem było powołanie Rzeczypospolitej, jako organizacyi narodowej. Skłoniły nas atoli do pewnego rozszerzenia ram państwowych dwa wielce poważne względy. Z jednej strony rozsiedlenie odwieczne polskiej ludności kresowej, wtłoczonej w wielkie obszary obcoplemienne, zostało pobudką do niepomijania jej przy wyzwoleniu naszym, w którym zresztą brała czynny udział. Po drugie, położenie Polski pomiędzy dwoma wielkimi mocarstwami skłaniało nas do przeciwstawienia im państwa dość obszernego, by miało siłę do oparcia się ich ponownemu zalewowi. Troską naszą było wszakże włączyć do Rzeczypospolitej na wschodzie jedynie ziemie o szczególnie wysokim procencie ludności polskiej, następnie niektóre terytorya, zaludnione bardzo słabo, gdzieby się mogła rozszerzać i ściągać dyaspore, natomiast woleliśmy pozostawić poza granicami swemigłównie dziedziny, a zwłaszcza stolice Ukrainy i Białejrusi. Dążyliśmy innemi słowy, by spełniając przeznaczenia swe — skupienie przeważnej części rodaków i zdobycie postawy obronnej, państwo nasze nie utraciło przez to o ile możliwości charakteru etnograficznie jednolitego. Zadanie okazało się kwadraturą koła.

Odsłoniło to w konstrukcyi Rzeczypospolitej, narodowej z założenia, różnoplemiennej w rzeczywistości, zasadniczą sprzeczność. Zaczęliśmy się zastanawiać nad tem, jak się wydostać z tej matni, utrzymując zarówno granice swoje, jak zarząd wewnętrzny jednolity: pragnąc wcisnąć się do szeregu państw, jakimi przed wojną były, widząc w nich i dziś liczne pozostałości okresu poprzedniego, nie dostrzegliśmy przełomu w świecie, jakiego sami dokonaliśmy, nowego prądu, jaki reprezentuje i z którym wiąże się nasze istnienie państwowe. I oto wbrew własnym tradycjom, wbrew doświadczeniom i wynikom wojny dały się słyszeć u nas głosy zgoła niewspółczesne, że chcąc utrzymać niepodległość, powinniśmy być regierungsfähige, to znaczy zdobywać, kolonizować, wynaradawiać inne ziemie, więc kresy wschodnie — regierungsunfähige. Czyż trzeba dowodzić, że wędrówki narodów czy inne Drangi są uniemożliwione dziś przez mocniejsze przywiązanie terenowe ludności, niż kiedykolwiek istniało, a raczej to aktywność ludu bardziej je uwidoczniała i uczyniła wielką siłą i pobudką dziejową. W wojnie

ostatniej na froncie zachodnim weszło ono do techniki wojennej, i Niemcy musieli brać dom za domem, wieś za wsią za pomocą całego współczesnego aparatu militarnego, na wschodzie zaś budził prawdziwy podziw opór bohaterski Serbii naciskowi armii o wielez potężniejszych, które tu wreszcie grób swój znalazły. Trudno tedy było wygrywać wojny na terytorium narodowym przeciwnika: mścił się najazd, mściła się i przesada zwycięzcy.

W istocie na rubieży epok pogańskiej a chrześcijańskiej Niemcy zaludnili szybko znaczne połacie ziem słowiańskich, Polacy litewskich (Jaćwież, Gołędź), Rosyanie—fińskich, chrzest bowiem szedł razem z kulturą rolną i gdy które z plemion do niej nie dorosło, kraj jego zajmowali przybysze, bo go umieli zamieszkać nieporównanie gęściej, jak później w kolonizacji Ameryki, Australii i Syberii. Prusacy wprawdzie ulegli złudzeniu, że środkami rządu da się to samo osiągnąć w wieku dziewiętnastym,—lecz przy europejskich różnicach kultur polityka osadnicza prowadzi do dyfuzji gospodarczej, to znaczy że przybysze dostosowują się do warunków otoczenia, tubylcy zaś z instynktów obronnych podnoszą poziom swej pracy, i dziś marzenie o tak masowej kolonizacji, ażeby zmieniła charakter etniczny kraju, są reminiscencyami z epoki przedchrześcijańskiej*). Niema dziś mowy i o wyznaczaniu się całych szczepów—w czasach rozwoju oświaty ludowej i świadomości obywatelskiej, z wyjątkiem asymilowania się w powolnym zresztą tempie ludności wązkich stref pogranicznych, jak Ukraińców w Besarabii lub Chełmszczyźnie, Litwinów w okolicy Wilna, Polaków — ewangelików na skrawkach dolnego Śląska i Mazur pruskich, a i te drobne wyjątki dotyczą jeno ludów lub ich części, pozbawionych jakichbądź zawiązków własnej inteligencji: Chełmszczyznę spolszczyło zniesienie przez cara wraz z unią miejscowego duchowieństwa, — i od czasów średniowiecznych nie znikła w Europie żadna narodowość ani w całości ani na poważniejszym obszarze**). To też w beznadziejnej

*) Nawet pocieszając się, że różnica poziomu gospodarczego Polaków a Ukraińców i Białorusinów jest większą, niż pomiędzy nami a Niemcami, uwzględnijmy, że zato stosunek obszaru i ludności kresów do metropolii był w Rzeszy korzystniejszy. Nadto i środki rządu nie okazały się wszechpotężne: Prusy czyniły kosztowną zachętę kolonizowania Poznańskiego, tymczasem emigracja niemiecka ciągnęła na Zachód, i procent ludności polskiej wzrastał. Odsetek Ukraińców w Małopolsce wschodniej przed wojną wprawdzie nieco spadał, bo dosięgła ich wówczas fala główna emigracji amerykańskiej, co przez nas już przeszła,—ale liczby ich absolutne nie ustawały szybko rosnać. I u nas wolelibyśmy przez analogię z krótką i wązką doliną Noteci, skolonizowaną przez Niemców, zaludnić kolosalne Polesie, osadnicy zaś dążą raczej już do przeludnionego Podola. Wydawało się, że obszary ewakuowane podczas wojny, jak pas frontowy, posłużą do osiedlenia się naszego, ale i ich ludność, przetrzebiona wprawdzie w tułaczce, wróciła naogół do swojej ojcowizny, stwierdzając raz jeszcze jej siłę magnetyczną.

**) Zwracając się zaś do ludu ponad głowami inteligencji, nie eliminuje się jej przez to z życia i nie osiąga się wyników asymilacyjnych, jeno pewną destrukcję życia ludności. Polityka ta zresztą wymaga całkowitego uwzględnienia potrzeb jej ekonomicznych, np. radykalnej parcelacji dworów, i nie może być przeto stosowana równocześnie z osadnictwem.

tej sprawie faktycznie uczyniliśmy więcej rozgłosu, niż nawet poważniejszych wysiłków; potraktowaliśmy jeno ludność kresów niepolską jako malum necessarium: skoro niepodobna, by się od nas wyprowadziła, niech się przynajmniej da nie dostrzegać i jako coś odrębnego nie uwzględniać.

To się oczywiście nie dało wykonać. Trudno, żeby Ukraińcy lub Białorusini na obszarach, gdzie od wieków zwartą masą osiedli, patrzyli na siebie samych, jako na niepożądanych w obcym domu intruzów lub za słuszną się uznali ofiarę właściwego rozgraniczenia się państw. Gdy zaś są zepchnięci pod własną strzechą na stanowisko mniejszości wiecznej, która nie rządzić sobą, lecz stosować się do naszych rządów musi, jesteście ni świadkami ich walki narodowej, nieustannej, zażartej, głośnej, po kompromisie serbochorwackim w Jugosławii bodaj że najintensywniejszej w całej z pominięciem Sowieców Europie. A więc choć założenie—stworzenie państwa obszernego—było słuszne, wykonanie widocznie zawiodło. Rzeczpospolita przedrozbiorowa osiągała nie tylko tenże cel, ale i niezwykłą jednolitość społeczeństwa, umiejętnie usuwając w epoce rozkwitu dysonanse wewnętrzne dzięki iście koronkowej polityce, budującej przywiązanie wszystkich obywateli i grup ich do państwa. Arsenał metod jej należałoby dziś ze stanowiska praktycznego przejrzeć, gdyż swary narodowościowe są w sytuacji naszej zewnętrznej zbytkiem, na który sobie absolutnie nie możemy pozwolić. Są podsycane przez wrogów niepodległości naszej, wyyskiwane przeciw nam na forum międzynarodowym i urabiane na bazę dywersyjną najazdu, który chce się stroić w piórka oswobodziciela ciemionych milionów, na Polskę wskazując światu, jako na przykład bałkanizacji Europy powojennej i jedyną w niej pozostałość—ancien régime'u.

Antynomia, żeśmy stuletnią walką o niepodległość przygotowali przekształcenie świata według naszych zasad państwowych, a następnie zostali—wciąż pomijając Sowiety—najpoważniejszym z ich zastosowania wyjątkiem—nie tylko pozornym,—skłonić nas powinna do poważnego zastanowienia się. Gdy polityka dotychczasowa staje się czemś do après nous le déluge podobnem i nie daje innych wyników, jak stały stan zapalny kresów i dezorganizację życia państwowego Rzeczypospolitej, stwierdzenie tego wystarczy, by z drogi niedostrzegania odrębności narodowej kresów z dobrze przemyślanym planem radykalnie zawrócić, rozważając możliwości i sposoby współżycia z ludnością ich, zestawione z zasadniczymi postulatami naszego bytowania niepodległego.

XIX.

Polska granica wschodnia, jak ją ustaliły koleje wojny r. 1920 składa się z dwu odcinków narodowościowych — ukraińskiego i białoruskiego, i zgodnie z tem powstała dwoma etapami. Ziemie na odcinku południowym zdobyliśmy najsamprzód, na samych Ukraińcach, Sowiety, co ich pozostałe zajęły obszary, właściwie tu posiadanie nasze pokojem ryskim tylko uznały; granicę zaś północno-wschodnią ustaliliśmy, z niemi bezpośrednio. Oczywiście, różnica ta jest zasadnicza, nie w tem wszakże znaczeniu, że czyni odcinek ukraiński rubieżą naszej bardziej ugruntowanym lub lepiej sankcyonowanym, ale że świadczy, iż tu mieliśmy do czynienia prócz najeźdźców z tą czy inną wolą państwową ludności, której ruch charakteryzuje to jako w danym momencie od białoruskiego potężniejszy.

Zarówno jak z Czechami, jak z Litwinami, tak i z Ukraińcami nie nawiązaliśmy porozumienia politycznego przed wojną na najbardziej nadającym się do tego terenie galicyjskim, lecz prowadziliśmy z nimi codzienną drobiazgową walkę, i jak Czesi od Niemców, tak Rusini od nas zdobywali, imając się targów i obstrukcyi, teroru i protekcyi wiedeńskiej, stanowiska urzędnicze, szkoły średnie, katedry uniwersyteckie i t. p., w warunkach o tyle cięższych dla nas od Niemców austryackich, że ci mieli za sobą państwo, które na naszych sporach narodowościowych grało jak na klawiszach. Bezcelowość tej walki, gdy się z reguły po zaostreniu stosunków ustępowało, daje do myślenia, że nie tyle chodziło o te lub owe rezultaty jej, ile o samo zaognienie współżycia narodowościowego, czyli że dawaliśmy się bezwiednie używać za sługi panowaniu austryackiemu, które tylko rozbijając ludność na skłócone obozy jako tako do czasu cało wychodziło.

Motywym stanowiska tego, kramarskiego zresztą raczej, niż nieprzedjednanego, była, jak się zdaje, chęć umniejszenia w oczach własnych

siły ruchu ukraińskiego i powagi położenia. Lekceważyliśmy tedy, jak przy dzisiejszej technice oświatowej szybko zdobywają młode narody poziom nie ustępujący wielu starszym: czyż nie zdumiewa przykład narodu norweskiego, który nie tak dawno był tylko częścią duńskiego, a dziś we względzie zarówno rozpowszechnienia kultury, jak osiągnięcia jej szczytów zajmuje jedno z pierwszych w Europie miejsc? W naszym zaś pojęciu Ukraina wciąż nie dorastała do posiadania własnej wszechnicy. Zamykaliśmy oczy i na istotę narodową tego ruchu, odrębny język, obrządek, folklor i tradycję nawet, do której coraz się walka z Polską bardziej wplatała, chcieliśmy widzieć w nim jeno zazdrość chłopską o rolę, lasy i pastwiska, na której grają przez kogoś zaangażowani agitatorowie i robią nową narodowość, żeby nam życie uprzykrzać. Że zaś rusyfikacja czyniła postępy na Ukrainie rosyjskiej, a i w galicyjskiej istniał słaby zresztą prąd moskalofilski, prorokowaliśmy, że cała ta zabawa w nową narodowość skończy się tem, że Rusini, nie mając z Rosyą przeciwieństw klasowych, wpływowi jej się nie oprą, co w rezultacie nas z nią postawi twarz w twarz już nie tylko jako z państwem, ale i jako z narodem. „Niema Rusi, jest tylko Polska i Moskwa“, mówiliśmy, zapewne sądząc, że tak jaskrawa antyteza przyciągnie żywioł ukraiński ku Polsce, tymczasem właśnie zamykała mu drogę do nas, a jeżeli w nią wierzył, wspierała prąd moskalofilski, któremu oczywiście żywioł bierny trudniejby się ostał, aniżeli zorganizowany przywiązaniem do walorów lokalnych: zresztą i nam nie przeszkodziła z tym właśnie obozem zawierać porozumień, wręcz gorszących, boć przenosiły nad rację stanu naszą interes klasowy ziemianstwa. A przecież nie byliśmy na Rusi Czerwonej tylko „panami“, liczne tam jest wszędzie włościanstwo polskie, co jeśli rutenizowało się dawniej, obecnie również przeżywa odrodzenie narodowe (łacinnicy), mieszczaństwo chrześcijańskie jest prawie wyłącznie polskie, a w eksploatacyi głównego bogactwa kraju — nafty — zaangażowany jest kapitał nasz i Polacy przeważnie są personelem technicznym. Skazani tedy na współżycie z Ukraińcami, zamiast ustalenia norm jego, jako nakaz narodowy głosiliśmy, że niech Rusini się ukrainizują lub moskwiczają, ale rodaków na łup hajdamacyczny nie wydamy.

Czemże są argumenty te, jak nie naśladownictwem starczego zrządzenia blizkiej podówczas skonania Austrii? co osiągnęliśmy konkretnego przez stwierdzanie niewyrobień kulturalnego Ukraińców? albo przez wskazywanie przewagi w ich walce pierwiastków klasowych? lub też przez wyrażanie obaw, że się zleją narodowo z Rosyą? bądź przez wmawianie w siebie, że mniejszość arytmetyczna polska Galicyi Wschodniej waży więcej od większości rusińskiej? Kubek w kubek to samo w Czechach i na Morawie mówili niegdyś Niemcy, aż doczekali się rozsadzenia Austrii

i wcielenia ich do Czechosłowacyi w charakterze mniejszości narodowej na takich nawet terytoryach, gdzie Czechów trzeba szukać.

Ze zaś pomimo zastrzeżeń naszych Ukraińcy nie przestają istnieć i być nadal na kresach południowych większością, kształtować jak umięją swego oblicza narodowego, wytwarzać wspólnej woli politycznej i dążyć do wcielenia jej w życie, boć trudno się spodziewać, żeby aktywność ich, o ile myśmy w niej pewne niebezpieczeństwa dostrzegli, miała przez to ustać,—wytwarza się błędne koło: my ich organizowaniu się usiłujemy przeszkodzić, że się Polsce i polskiemu stanowi posiadania przeciwstawia, co znów ich wrogość potęguje. Skoro zaś my swoje stanowisko uzewnętrzniamy w praktyce administracyjnej, — nie mianujemy przecież Ukraińców wojewodami, stosujemy selekcję w obsadzie urzędów i ingerencję w życie ich stowarzyszeń i prasy, czyli wogóle przymusowe wychowanie państwowe, — po czemu oni władzy nie mają, tedy w terminologii naszej niedawnej to błędne koło nie ma innego miana, jak przemoc i majoryzacja. Jeśli to nazywamy strzeżeniem interesów Rzeczypospolitej, to rzekoma celowość administracyjna, co z założenia jest sługą państwa, wypiera z organizacji jej samo państwa powołanie—urzeczywistnianie słuszności, czyli praworządność nie w znaczeniu formalnie-kodeksowem, lecz merytorycznem, istotnem.

Przyczyną klęski usiłowań wyzwolenicznych naszych, od insurekcji kościuszkowskiej do powstania styczniowego, upatrywaliśmy słusznie w obojętności politycznej ludu, obudzenie się jego uważaliśmy za warunek konieczny odzyskania niepodległości, nie zważając na łączące się z tem kwestye społeczne. Tradycja przedrozbiorowa nakazywała nam zarazem poszanowanie dla odrębności etnicznej ludów Rzeczypospolitej, rozumieliśmy bowiem, że aktywność ich ujawnić się może jedynie w formach, cechami ich plemiennymi uwarunkowanych, a przeto działacze polscy przykładali się do szerzenia oświaty litewskiej, ukraińskiej, białoruskiej i tworzenia z gwar ludowych języków literackich. Stanowisko ich było zupełnie słuszne, prowadząc do wytworzenia rodziny narodów sarmackich, posiadających oddzielne kultury i patriotyzm lokalny, ale spojonych wspólnymi albo uzgodnionymi ideałami politycznymi. Wydawało się, że w tej budowie nadrzędnej nie będzie miejsca dla rywalizacji szczepów ani dla sporów granicznych, jak nie ma ich z reguły wewnątrz kościoła powszechnego.

W dziele tem nie wytrwaliliśmy, spłoszeni pierwszymi trudnościami. Gdy więc aktywność ludów kresowych obudziła się istotnie, a wyraziła się twardem stawianiem postulatów klasowych, godzących w nasz stan posiadania ziemskiego, oraz dążnością do wyzwolenia się z polskiego patronatu kulturalnego, judzona przeciw nam przez zaborców, co gruszek w popiele nie zasypiali, miejsce sympatii dla ruchów kresowych

natychmiast zajął zał. Nie stać nas było na ujęcie nastroju ich przeciwpolskiego, jako fazy przejściowej wyrabiania się ich życiowego i braku chwilowego szerszych widnokręgów, któreby im ukazały istotnych wrogów pod owczą ukrytą skórą. Odsunęliśmy się więc zaraz, choć za pierwocin ruchu można było wiele dokonać, od własnej w szeregach ludowych pracy społecznej na kresach, aktywność ich uważając za nieubłaganego, wroga polskości, przeto raczej parować zaczęliśmy ją w miarę możliwości i władzy a siły wyteżać ku samemu wzmocnieniu się wewnętrznemu, jako jedynie pewnemu oparciu w przeciwnościach losu.

Była to największa rezygnacya nasza porozbiorowa,—to świadome i ostateczne osamotnienie się w walce, zrzeczenie się poszukiwań wszelkich oparcia się o porozumienie i współpracę z naradzającemi się społeczeństwami kresów, to nastrojowo szybkie sankcjonowanie młodych ruchów ludowych jako nie tylko narodowo odrębnych, ale i politycznie nam przeciwnych. Uważaliśmy się za zmuszonych zrzekać niekiedy czynnego dążenia do niepodległości i ideału zjednoczenia ziem polskich w jedno państwo. Były to chyba tylko choroby woli, przytłoczonej przez najazd, rozbiór i ucisk i przeto nie smagającej rozumu do znajdywania z nich wyjścia. Bieg dziejów nas z tych chorób obecnie uleczył — z tych dwóch. Pozostaje nam do zwalczania w sobie trzecia, tem najgorsza, że w istocie jej było lasciate ogni nadziei. Jeśli zaś nam wszystkie trzy nie przeszkodziły wyzwolenia w czasie ogólnego przewrotu osiągnąć, należy pamiętać, że odzyskane dobra trzeba utrzymać. Do tego zaś samotność polityczna, brak woli w kierunku jej zwalczania, wrogość najbliższych sąsiadów i współobywateli naszych jest największą przeszkodą. Pamiętajmy o lekcji dziejowej, jaką w r. 1918 dał Węgrom generał francuski, — że „świat sympatyzował z wami, pókiście walczyli o niepodległość, świat was zwalcza, gdy jesteście prześladowcami innych narodowości, i tego musicie ponieść straszne konsekwencye!“. Pamiętajmy i to, że najpotężniejszym orężem przeciw nam najeźdźców niedawnych naszych w ich walce zbrodniczej są atuty moralne, i tych nam niewolno im dostarczać, jak niewolno siły swej niesnaskami wewnętrznymi obniżać.

A więc nie należało nam wynosić drobnych swarów z Ukraińcami do Wiednia, wzajemnie denuncyując się o niedostateczne przywiązanie do państwa i dynastji. Oczywista rzecz, że każde porozumienie z innym narodem zawiera ryzyko, ale to nie dowodzi, że lepiej zerwać z nim odrazu. Gdy w biernych dotychczas masach zaczęła się wylegać aktywność, z tą chwilą było aż nadto widoczne, że jeśli nie powstanie z nami, to jednak powstanie, ale przeciw nam. Trzeba więc było nie zrażać się separatyzmem ukraińskim, lecz mu patronować, temby był mniej nam przeciwny, temby cechy jego istotne były pospoli-

ciej czerpane i tłómaczone od nas; nie szczędzić szkół ani katedr; obcować towarzysko z nową inteligencją, temby większą miała wartość w oczach własnych i mniej uprawiała malkontentyzm. I nie mówić, lecz pokazać, że nie jesteśmy już narodem „panów“, usuwając krzywdy społeczne ludu tamecznego, toby kwestyę rolną uczyniło mniej bolesną, a więcejby w zgodzie z Ukraińcami na dłuższą metę nam z stanu posiadania ratowało. Polityka ta wcale oczywiście nie byłaby przeszkodą do otaczania jak największą troską naszych siedzib czerwonoruskich, przeciwnie rolę ich potęgowałaby.

Umieliśmy tak postępować na tym samym terenie w wieku XIV i XV, a w ówczesnych stosunkach osiągnęliśmy tą drogą nawet zyski narodowe, teraz niechby były polityczne: rozumienie się wzajemne i wspieranie w trudnych dla obu narodów okolicznościach. Ukraińcy przecież wiedzą, że oprócz nas mają obok Rosyę, a dzieje uczą ich, jak to sąsiedztwo jest dla nich nawet wewnątrznie niebezpieczne. Zato wprawdzie wierzą w Niemcy, ale to tylko, jak na Litwie, nieulożenie się należyte stosunków z Polską pozwala tu Niemcom intrygować, a Ukraińcom na nie liczyć.

XX.

Odmienne zgoła nastroje, pojęcia, stosunki zastał tak u nas, jak u Ukraińców galicyjskich rozkład i upadek Austrii.

Jednocześnie z nami oczywiście i oni zaczęli z dziedzictwa jej obejmować w posiadanie i organizować co uważali za swoje. Skoro byli narodem, dominowali liczebnie na pewnym terytorium i swojemi instytucjami lub udziałem w rządowych znaczną część jego życia zbiorowego tworzyli, niepodobna było się spodziewać, by czekali, aż my ich wyzwolimy i urządzimy. Był to odruch zupełnie spontaniczny. Przed nami stanąć mogło najwyżej zagadnienie,—ponieważ naogół aspirowaliśmy poprzednio do całej Galicyi, a w sprawie niepodległości Ukrainy zdanie nasze było nieustalone, — czy następnie, po zorganizowaniu się w państwo, rewindykować z powrotem obszary, ukraińskiej podległe władzy. Kto pamięta nastroje, panujące podówczas w Warszawie, — bo ona na szczęście jest stolicą Polski, — stwierdzić może z pewnością całą, że do tegoby nie doszło, że z faktem wyodrębnienia się wschodu galicyjskiego w osobne państwo pogodzilibyśmy się, wojny o Kołomyję nie wszczynając, i w tym czy innym zakresie terytoryalnym republika ukraińska istniałaby dziś, podobnie do litewskiej. Zemścił się wszakże srodze brak zgody i porozumienia obu narodów. Ukraińcy bowiem galicyjscy, skoro Austria przestała istnieć, jedyne go przeciwnika upatrywać zaczęli w Polsce, co oczywiście komplikowało bardzo zarówno nam, jak im tworzenie państwa, bo mieliśmy wspólnie z Ukraińcami poważniejszych i bardziej zasadniczych wrogów niepodległości naszej.

Porozumienie polsko-ukraińskie mogło być podówczas uskutecznione wcale łatwo na podstawie bardzo znacznych rezygnacji naszych, a w każdym razie zawarlibyśmy układ prowizoryczny o tymczasową linię demarkacyjną. Ukraińcy tego momentu nie wyczuli zupełnie. Traktowali nas w czambuł, jako kolonizatorów Rusi, a nastrój wobec niej

Lwowian, tu w strażnicy kresowej zrozumiwały, uogólniali, jako w Polsce dominujący. Zadaniem ich było oczywiście tworzenie Ukrainy „so-bornej“, organizowanie jej państwa i niepodległości od strony przeciwnika zasadniczego; pracy było podstatkiem. Podobnie do nas wszakże Ukraińcy nie zdołali wznieść się na wyżyny momentu. A raczej w stosunku polsko-ukraińskim z tamtej krótkiej chwili myśmy go-towi byli do właściwszej jego oceny.

Pomimo bowiem długotrwałej walki Polaków galicyjskich z Ukra-
ińcami o poszczególne placówki narodowe, najbardziej nawet drobiazgo-
we i obojętne, wogóle postępowania wzajemnego, którem wobec historii za-
pewne nie będziemy się przechwalać, stanowi bowiem jeno spadek
metternichowski, — gdyby Ukraińcy w chwili krytycznej umieli po-
prześcić na objęciu w posiadanie ziem, odpowiadających dzisiejszym
województwom Tarnopolskiemu i Stanisławowskiemu, nie ulega dla
mnie wątpliwości najmniejszej, że nasz rząd ówczesny byłby skłonny
podział ten uznać, a z rządem ukraińskim nawet zawrzeć sojusz wobec
wspólnej wojny z Rosją*). Rozumiem, że nie była ta rezygnacja łatwą
ani dla nas wobec tak licznych ośrodków naszych w Tarnopolskiem,
ani dla Ukraińców, ruch ich bowiem, jako żywiołowy, ogarniał wszyst-
kie terytoria, gdzie posiadali placówki swoje i ludność choćby jako
mniejszość. Mieli przecież wszakże rząd, a ten wojsko; była więc wszel-
ka sposobność po obliczeniu szans, co stanowi pokój, a co jest nieunik-
nionem zarzewiem bratobójczej walki, do bardziej rozważnego po-
stąpienia.

Tedy przecenili swoje siły, odurzeni hasłami przedwojennej pro-
pagandy zagranicznej wyobrazili się sobie pupilami Europy, która o ich
istnieniu prawie że nie wiedziała, podnieceni perfidnym traktatem brze-
skim stan posiadania wschodni uznali za uświęcony i pewny, a przeto
zamiast tworzyć — przecież od początku — nowe zgoła a wielkie pań-
stwo z materiału pewnego i koniecznego, zaryzykowali z Polską zbroj-
ny spór graniczny**). I Lwów stał się grobem całej Ukrainy.

Zachodzi duża analogia pomiędzy sprawami Lwowa a Wilna. Jak
tu, tak tam, spór graniczny przesądził ujemnie o naszych stosunkach
sąsiedzkich. Ukraińcy mają tu nawet pozornie [większą od Litwinów

*) A i w braku sojuszu fakt, że Rosya prócz nas byłaby jednocześnie w stanie wojny z Ukrainą, ułatwiałby nam walkę na froncie rosyjskim i gwarantował pokój na ukraińskim.

***) Ponieważ na linię Curzona, zostawiającą po naszej stronie Przemyśl, napew-
noby przystali, my zaś najprawdopodobniej uznałibyśmy Ukrainę na terytoriach wo-
jewództw Tarnopolskiego i Stanisławowskiego oraz skrawkach Lwowskiego, tedy tery-
toryum, o jakie walkę wszczęli, obejmuje nie więcej, jak czwartą część obecnego woje-
wództwa Lwowskiego.

racyę, bo czysto polska okolica Wilna jest związana z głównym naszym obszarem narodowym, gdy również polska okolica Lwowa jest przetkana mniejszością ukraińską i stanowi wreszcie wyspę, ledwie wiążącą się narodowo z terytoryum głównem wazką smugą wzdłuż toru Przemyśl—Lwów, która też broniła się do upadłego podczas wojny polsko-ukraińskiej, gdy połączenia inne nie dały się utrzymać.

Pomimo to w sprawie Wilna możemy się układać z Litwinami, Lwowa zaś musieliśmy bronić. Zachodzi bowiem różnica pomiędzy Litwą a Ukrainą. Wilno, nawet gdyby się znalazło w granicach państwa Litewskiego, narodowo pozostanie polskiem, a nadto od ataku rosyjskiego przez polskie terytorya zasłoniętem, pasowane zaś byłoby na stolicę Litwy polityczną, jak było dla niej kulturalną, przez co żywioł polski odgrywałby w państwie rolę wybitną, przy porozumieniu polsko-litewskiem tamby współgospodarzył. O Lwów, gdyby go Ukraina wchłonęła, żywimy obawy narodowe, bo mamy tu do czynienia ze szczepem trzydziestomilionowym i zwartym, gdzie polskie mniejszości ogarniają tylko część terytoryum i tego znaczenia, co na Litwie, mieć nie mogą, raczej zejda na stanowisko podrzędne. W dodatku w razie nieostania się Ukrainy wobec Rosyi i teby pomniejsze korzyści wzmocnienia Lwowem polskich wpływów na Ukrainie znikły. Wprawdzie Lwów też dla ruchu ukraińskiego stanowi stolicę, ale prowincjonalną. Jest niewątpliwe, że w Ukrainie odbudowanej ośrodkiem organizacyi państwowej i życia politycznego zostaćby mógł tylko Kijów. Polacy zaś lwowscy rolą mniejszości polskiej w mieście prowincjonalnem kresowem obcem zadowolić się nie mogą. A że stanowią tu faktycznie większość, więc nie tylko oczy skierowane mieliby ku ościennemu państwu własnemu, ale i w polityce wewnętrznej Ukrainy stanowiliby ustawiczną zawadę, uniemożliwiającą rządy normalne, a przeto i stały temat targów Polski z Rusią, pomiędzy któremi stosunki właściwe, nigdyby się ułożyć nie dały. Gdyby Ukraińcy galicyjscy w czas zrozumieli, że jak włoski Piemont schodzą w państwie „sobornem“ z ogniska ruchu na poziom prowincyi, zapewne nie uczyniliby z zagadnienia lokalnego kwesty wojny, w której stracili najprzód Lwów, a następnie niepodległość i tu się Cavour na czas nie znalazł.

Myśmy więc Lwowa poświęcać nie mogli, jak niewolno nam było wchodzić z Ukrainą w żadne pertraktacye o Łemki, Przemyśl, Chełmszczyznę lub Brześć. Wystarczy rzucić okiem na mapę, by się przekonać, że bez tego minimum ziem granicznych konfiguracya państwowa nasza staje się absurdalną, a jeżeli ta mapa będzie etnograficzną, zobaczymy, że tu idzie najsprawiedliwsza demarkacya obu narodów, których pokaźne mniejszości pozostają po obu stronach. Tysiąclecie współżycia złożyło się na to, że granica polsko-ukraińska może by

tylko konwencyonalna, oparta na rezygnacjach obopólnych. To też Lwów z jego rolą dziejową i ludnością w oczach naszych jest tak polski, jak Poznań lub Warszawa, i nie ujawniliśmy większego patriotyzmu w żadnej walce o swoje ziemie, jak w obronie Lwowa. Ukraińcy niepotrzebnie narazili na szwank duży kapitał sympatii, jaki ruch ich niepodległościowy budził w szerokich kołach naszego społeczeństwa, zwłaszcza w zaborze rosyjskim.

A za tem przyszła zwykła kolej ówczesna. Zjechała jak do rozstrzygnięcia sporów polsko-czeskich i polsko-litewskich komisya koalicyjna. Sprzymierzeńcom chodziło bowiem o gaszenie wybuchów nieuprzątniętych przez traktaty min w jakikolwiek sposób, nie tyle rozwiązujący, ile przecinający kwestye. Linia Curzona zalecała nam poprzestać na Przemyślu i Chełmie. Gdy wszakże komisya stanęła oko w oko z zagadnieniem, o które obficie się lała krew młodzieńcza oraz z linią faktyczną frontów, zaproponowała demarkacyę i zawieszenie broni na rubieży, o której mówiłem wyżej: Bugu i Stryja, którą w poufnych do rządu memoryałach uzasadniali jako nasze minimum i działacze małopolscy, a która zbiega się mniej więcej z dzisiejszą granicą wschodnią województwa Lwowskiego i zostawia po naszej stronie to, na czem nam jako narodowi i państwu najbardziej zależy: Lwów i naftę, na czem też, o ile wiem, poprzestawały plany pierwotne Naczelnego Dowództwa*).

Był to już moment ostatni. Z chwilą osiągnięcia tej linii broń należało zawiesić i przeprowadzić rokowania. Nie wiem, która strona zawiniła, że to się nie stało, obawiam się, że my. Przecież wojna już była rozpętana, jużśmy byli górą, a z za frontu gnębieni rodacy wołali o ratunek. Uczucie znów zdławiło racye polityczne. Zresztą, jeśli to Ukraińcy broni złożyć nie chcieli, w wyniku okupacji kraju mogliśmy im w pokoju narzucić taką granicę, jaką uważaliśmy za właściwą. Upoiło nas wszakże zwycięstwo, odezwał się maksymalizm nasz, i gdy dopiero co ograniczaliśmy cel wojny do obrony Lwowa, teraz nie rezygnowaliśmy z Czortkowa i Zaleszczyk. Zrozumieć nietrudno, że wynikało to z pobudek patriotycznych. Nie tak dawny był czas, kiedy Ukraińców tu na powierzchni życia nie było wcale, tylko Polacy. A i dziś, stanowiąc społeczeństwo mało zróżnicowane, reprezentowane

*) Nafta oczywiście nie w znaczeniu całego pasa ropodajnego, który za Galicyą przechodzi na Podkarpacie rumuńskie: chodziło wyraźnie o Borysław i Tustanowice, czyli o powiat Drohobycki. Natomiast, że Kałusz ma sole, a Nadwórna naftę, nie decydowało przeciw linii demarkacyjnej, bo za dalekoby nas takie argumenty zaprowadziły. Wprawdzie Lwów bardziejby postępował w rozwoju gospodarczym, w peryferii mając całą Ruś Czerwoną, jak Tryjest, gdyby do Jugosławii wszedł: ale postawiony wobec dylematu, czy ma pozostać sam przy Polsce, czy dzielić te lub inne losy dzielnic, wybrał nieodwołalnie wzgląd narodowy.

przez inteligencję nieliczną, choć są tu większością, ale uwidoczniają się jeszcze dotychczas mniej od nas, bo mamy tu warstwę oświeconą liczebnie silną i bądź cobądź wszędzie opartą mniej lub więcej o własny żywioł ludowy. Czyż łatwo może przejść przez gardło, że takie powiaty, jak Trembowelski lub Buczacki nie są w Polsce, lecz już na Ukrainie? Czyż nie zastanowi się każdy, gdzie granica nasza przejść winna, nie zechce posunąć ją na wschód jeszcze o jedną wieś polską, jeszcze o jedno miasto? Wcale nie z pragnień zaborczych, ale wyłącznie celem wyzwolenia rodaków, wielce zarazem żałując, że muszą oni wejść do państwa w towarzystwie przeważającym innej narodowości. Jest to do wytłómaczenia, ale ta droga prowadzi nas do Kijowa, a Ukraińców pod Nowy Sącz. Trzeba zaś raz ustalić, że co innego jest naród, i w Ameryce mający siedziby, zaś co innego kraj, — i niema, jak się politykom naszym z pod znaku „linii“ rozmaitych wydaje, Polski-minimum i Polski-maximum. Jest Polska pojęciem geograficznym ścisłym, w ramach określonych zawartem — jest tu Warmia, jest i Lwów. Ale pozatem miejmy przynajmniej świadomość, że przyłączamy inne kraje lub ich części i może to być zabór, może być unia, lecz wykraczamy już poza granice kraju.

Stanowisko swe motywowaliśmy potrzebą wspólnej granicy z Rumunią. Oznaczało to całkowitą likwidację republiki Zachodnio-ukraińskiej i jako dalszy a konieczny skutek wszystkie nasze obecne trudności zarządu Małopolską wschodnią, skoro trzy miliony obywateli polskich zwalcza państwowość naszą i absentuje w legalnym o niej stanowieniu. Niepodobna zaprzeczyć wielkim korzyściom politycznym i gospodarczym, co płyną dla nas z oparcia się o Rumunię. Atoli może się łatwo okazać przykrem złudzeniem, że oto wśród granic tak niepewnych, jak niemiecka, rosyjska, litewska, i nieustalonych właściwie, jak czeska (Frysztat, Jaworzyna) i łotewska (Kałkuny, Dyneburg), mamy przynajmniej na małym odcinku prawdziwie dobre sąsiedztwo. Nie liczymy na to zbyt. Nie ze względu na Rumunię oczywiście, ale na dostęp do niej w razie wojny. Że bowiem Ukraińcy nasi nie głoszą do Sejmu, nie znaczy to, że ich niema albo że są czynnikami biernym. W chwili pokoju są za słabi, żeby utrudnić nam sprawowanie władzy na południowym wschodzie. Ale gdy siły nasze będą ekspansowane nazewnątrz, od ich zachowania będzie wiele zależeć. A jakie będzie, nie trudno być prorokiem.

XXI.

Gdybyż siedziby Ukraińców ograniczały się była Galicyą! Że nadto za kordonem są ich jeszcze liczne miliony, że i tam aktywność mas wogóle, narodowa w szczególności obudzona została, a po temu Małopolska wschodnia stanowi ognisko ruchu i tam swoje zapatrywania polityczne krzewi, tedy z zatargu lokalnego rośnie sprawa wiekowego spółżycia dwu narodów ościennych.

Należy przyznać, że jednak Ukraina wielka czyli dnierprańska, pomimo iż była dla niej Ruś Czerwona częścią budowanego państwa zupełnie nieodzowną, skłonna była wszakże traktować wiele przez nią wszczynanych kwestyi, jako prowincjonalnych, a z tych umiała czynić ofiary. Gdy wybuchła wojna we wschodniej Galicyi, naturalnie wzięła w niej udział, raczej za słaby w kierownictwie politycznym frontu ukraińskiego. Ale lepiej widziała główne swoje niebezpieczeństwo i wolała z Polakami przyjaźń, zwłaszcza że stosunki jej z nami przedwojenne pozostawiały pod zaborem rosyjskim niewiele do życzenia. Nie było tu austriackiego *divide et impera*, lecz odczucie wspólnego ucisku, a wysoka kultura i prężność gospodarcza tamecznego żywiołu polskiego łagodziła nawet stosunki społeczne, trzeba było przykładu nihilistycznej rewolucyi rosyjskiej i wprawdzie ciemnoty miejscowego chłopca, ażeby nastąpiła taka gwałtowna likwidacya posiadania polskiego, nadto okrutna i krwawa.

Nie przeszkodziły atoli dymiące zgliszcza Małopolski Wschodniej ani ruiny dworów polskich od Zbrucza do Dniepru zawarciu porozumienia pomiędzy dowództwem polskim a rządem Ukrainy dniewowej o wspólną walkę z Rosyą. Inne to były warunki, niż na początku roku 1919. Ukraina wolna była już państwem *in partibus infidelium*. Polska była w Kamieńcu i Zwiahlu, Kijów przechodził z rąk do rąk zwalczających się armii rosyjskich, Ukraina chwilami chować się musiała po la-

sach i jarach, zrzadka mając jakąś siedzibę z paru powiatów. Sojusz ten miał raczej [znaczenie moralne, wskazywał, że Polacy i Ukraińcy potrafia porozumiewać się politycznie i braterstwo broni zawierać, że]Polska sprzyja niepodległości Ukrainy, a Ukraina umie szanować jej prawa. Front ukraiński oczywiście był raczej demonstracyjny, obejmował zaledwie kilkadziesiąt kilometrów rozciąglej granicy rosyjskiej. Ale bądź cobądź wojska ukraińskie na podstawie tego sojuszu wraz z polskimi wchodziły do Kijowa. Tworzyła się piękna tradycja, piękna, gdyby...

Po-pierwsze, Naczelne Dowództwo mogło to uczynić wcześniej, przed ostatnimi zwycięstwami czerwonoruskimi jen. Iwaszkiewicza. Po-drugie, o ile uczyniło to w momencie późniejszym, nie należało od Petlury żądać uroczystego zrzekania się Małopolski i nadto sześciu powiatów Wołynia, ani wtrącać się do składu ukraińskiego rządu. Poco to uczyniono? Poco zwłaszcza wcielano do Polski Wołyń w drodze układu z rządem, który się znajdował w sytuacji przymusowej i każdy układ musiał podpisać? Co osiągnano przez to?

Jedni twierdzą, komentując ten krok Dowództwa, że w ten sposób, wulgarnie mówiąc, zatykało ono usta narodowej demokracji. No to się zaraz okazało. W nastrojach jej ówczesnych miarodajny byłby dla niej tylko podpis pod aktem granicznym Denikina lub Wrangla, ale nie Petlury. Raczej sędzę, że Piłsudski w ten sposób szczerze zaakragłał granicę naszą na południu, tworząc podstawę terytoryalną dla Wilna. Działał zaś niestety zarażony złym przykładem niemieckim, na nas doświadczonym przeciw bez powodzenia. Petlura ze swemi oddziałami miał być analogią do naszych legionów. Czyż Niemcy lub Austriacy dali im za podstawę Galicyę lub Poznańskie? Idźcie i zdo-bądźcie sobie tę podstawę. Dało się im mały odcinek i silne kierownictwo, nie sojusznicze, lecz zwierzchnicze. Zarząd zdobytych ziem ukraińskich ustalono oczywiście polski, z wolnym werbunkiem. Wreszcie zdecydowano pozwolić Ukraińcom rząd utworzyć o ograniczonej kompetencji i „aktywistycznym“ składzie. W końcu dokonano „regulacji“ granicy, podobnie jak na nas za Steczkowskiego, i mówiono o federacji, jak o Mitteleuropa Niemcy. W rezultacie wątpliwe jest wobec tej analogii, czy Dowództwu chodziło o zasadnicze zmiany w naszym układzie zewnętrznym, czy też o pozyskanie chair à canon, materiału ludzkiego, jak Niemcom od nas, i o stworzenie atutu wojennego, żeby go sprzedać za coś przy zawieraniu pokoju. I po preliminariach puściliśmy Ukraińców samych na Rosyę. Tu analogia się kończy, bo myśmy szli przeciw niej jako państwo i wojsko, a ona była zdezorganizowana i miała wiele frontów, Petlura zaś szedł partyzantką przeciw zorganizowanej już dobrze potędze. To też i oddźwięk w społeczeństwie ukraińskim na akcyę Petlury był tenże, co nasz na aktywizm. Zdepopularyzowaliśmy go niepotrzebnie i tradycja, która mo-

głaby być wspomiana po obu stronach z rozrzewnieniem niezależnie od wyniku wojny, została zbrukana. Zwłaszcza zaś nie chcą zrozumieć Ukraińcy tego żądania Wołynia, kiedyśmy nigdy przed wojną nie wnosili oń żadnej pretensyi.

Należało oczywiście postąpić inaczej, niż Niemcy. Można było z Petlurą układu nie zawierać. Skoro wszakże pragnęliśmy wciągnąć do wspólnego rydwanu Ukrainę, to nie w celu demonstracyi wojennej, która drugą stronę za dużo kosztuje. Sojusz jest aktem obustronnym, i trzeba było w tym razie bronić się wspólnie aż do skutku, to znaczy do ugruntowania nie tylko Polski, ale i Ukrainy. Ilość kilometrów frontu polskiego w stosunku do ukraińskiego tu nic nie stanowi, jak pomiędzy Francją a Belgią. Albo Francją a nami, naszymi oddziałami na francuskim froncie, za które otrzymywaliśmy w rezultacie wojny państwo i wspólnie z nią podpisywaliśmy traktat. Czy więc w stosunku do Ukrainy poszliśmy za szlachetnym przykładem koalicji czy za ohydną grą niemiecką? Mówiłem wyżej, że Polska powinna była odegrać wobec dziedzictwa caratu rolę nie poszczególnego spadkobiercy, ale i syndyka masy upadłościowej, organizując związek wierzycieli i jemu przewodząc. Bylibyśmy więc wobec mniejszości Rosyi tem, czem Francya w koalicji. Pokój z Sowietami należało zawierać przy wspólnym stole z innymi zaborami jej wyzwolonemi, a nie osobno Estonia, osobno Finlandya, Łotwa, Gruzja i my. Ukraińcom trzeba było dać pied à terre, właśnie na Wołyniu i w miarę możności w województwach Tarnopolskiem i Stanisławowskiem. Dla nas to byłoby tylko pożyteczne, bo odwracałoby tameczne zainteresowania od walki z nami. To trzeba było oddać szczerze, proklamować Ukrainę choćby na samych skrawkach Wołynia i Podola i dać jej zorganizować rząd normalny. Nie mieliśmy nikogo na tyłach wówczas, gdy okupanci niemieccy u nas musieli liczyć się z Francją. Petlura mógł więc nie krępować się żadnymi względami i zarządzić nie werbunek, lecz pobór. Jeszcze wówczas, gdybyśmy chcieli Ukrainy, — Ukrainaby była powstała.

Dla nas oczywiście różnicowanie się Rosyi polityczne było tylko pożądanę, pomijając, że temu procesowi i my zawdzięczamy niepodległość, z dwu względów: po-pierwsze, jako zasadnicze osłabienie przeciwnika, nie mającego granic swojemu apetytowi zaborcemu, boć wiadomo, że Rosya nie opierała się aż o Warszawę, gdy z Ukrainą w najgorszym razie mieć możemy tylko zatargi graniczne, ponieważ bądź co bądź jest to naród, nie organizacja najazdów; po-drugie, wyodrębnienie jej wzmocnienia nasze placówki na Ukrainie i daje nam szersze pole pracy, jako poważnej, dobrze zagospodarowanej mniejszości w państwie drobnych rolników, gdy będąc w granicach Rosyi, była ona pozbawiona znaczenia politycznego.

U nas przeciwnie częstokroć obawiano się odrodzenia Ukrainy. Mniemano czasem, że Rosyi, jako państwu par excellence, ostatecznie jest wszystko jedno, co w skład tego państwa wchodzi a co nie, bo obszar narodowy rosyjski i tak w całości wchodzi, a reszta to zabory, które mogą być czynione tak tam jak tu*). Ukraina natomiast, jako naród, koniecznie będzie sięgała po Lwów, Przemyśl, Brześć, Chełm, a przeto będziemy z nią ciągle w stanie wojny. Rosya zaś łatwiej może pogodzić się z pozostawaniem tych miast i ziem w ręku polskim. A więc nawet dobrze podzielić się z nią Ukrainą i na tle tego rozbioru nawiązać obopólnie stosunek serdeczny, podobny do tego, jaki łączył Rosyę z Niemcami na tle rozbioru Polski.

Tak jak gdybyśmy już nie próbowali tego w XVII wieku! I w sto lat po rozbiórce Ukrainy (w którym mniej zawiniłszy zresztą wówczas) przyszedł rozbiór Polski. Posiadanie skrawka Ukrainy drażniło Rosyę: skoro potrafiła zabrać część i z powodzeniem strawić, dlaczego nie miałyby wziąć reszty? i odrazu zaczęła przygotowywać dalszy zabór, mniej więcej dzisiejszemi metodami: niepokojeniem granicy, intrygami wśród „mniejszości“ i t. p. Historia się nie powtarza, powiadają u nas na to. Więc nie korzystać z doświadczeń dziejowych? Właśnie się powtarza w drobnych szczegółach, bo duch narodu jest ten sam, a czy wyraża go car moskiewski, kurlandka Katarzyna czy żyd Trocki, linia państwa zostaje identyczna, i Mac Donald kontynuuje politykę państwową Disraelego. Tylko my niestety przez niewolę i przyswojenie ideologii zaborców nie umiemy dotąd wydobyć z pomroki dziejowej swej linii politycznej ni nawiązać nici z wiekami naszego rozkwitu państwowego oraz z tradycyjnymi metodami naszej pracy historycznej.

Natomiast założenie ewentualnej zgody polsko-rosyjskiej na tle rozbioru Ukrainy (obserwujemyż tę zgodę i obecnie na temże tle!) w analogii do zgody niemiecko-rosyjskiej na grobie Rzeczypospolitej podpada raczej pod regułę: *comparaison n'est pas raison*. Prusy i Moskwa to zupełnie co innego, niż Polska i Ruś, są to dwaj augurzy, posiadający tę samą sztukę czarodziejską i bynajmniej nieskłonnii manewrować nią między sobą, żeby nikt nie dojrzał jej cienkich szwów. Feliks Faure i Edward angielski obiecali Rosyi niestworzone rzeczy za udział w wojnie z Rzeszą i polectali apetyt. A mimo to, czy nie mamy dowodów, jak nie chciały wojować ze sobą? Bronić Polski?! kiedy od r. 1905 petersburski organ półurzędowy doradzał systematycznie poprostu podarować ją Prusakom. Wojowano więc przecież nie o nas i nie przeciw Niemcom, tylko o zapobieżenie rewolucyi: Konstantynopolem i—Lwowem.

*) Ludzono się u nas np., że rosyjska ekspansya wschodnia pohamuje zachodnią, gdy oczywiście przeciwnie powodzenie w jednym kierunku zachęcało do ekspansyi w kierunkach innych, a i niepowodzenie zresztą też.

Rosya i Niemcy są to dwa kraje w Europie, które narodziły się jako Moskwa i Prusy odrazu w gotowej postaci państwa. Zakładały je tam wikingowa drużyna na ziemi fińskiej, tu zakon czy marchia na ziemi słowiańsko-litewskiej, zanim miały swoją ludność, tę dopiero sprowadziły później. Odtąd przez wszystkie ustroje i granice przechodzi historię ich linia państwa, dla którego obywatel jest tylko koniecznym narzędziem. I potrafiły odpowiednio wytresować tego obywatela, Prusy lepiej, bo te narzędzia są tam automatycznie czynne, Rosya gorzej, bo wierzgają, ale zato, znając tylko jeden typ organizacyi, ci wierzgający nie tworzą organizacyi wcale, są anarchistami jak Tołstoj, państwu nie szkodzą i go nie przekształcają; a jeśli tworzą, jak bolszewicy, to taką samą, jak carat. Najwyżej mają więcej od caratu tych narzędzi czynnych, jak i Niemcy, gdy się „demokratyzują“.

Sekretem obu państw wspólnym jest więc to, iż zrozumiały, że państwo nie jest tylko sumą obywateli i wypadkową ich dążeń, że jest *sui generis* nadorganizmem istniejącym w pewnej niezależności od obywateli, a nawet w nich przez swoje warunki wytwarzającym te lub inne przymioty, potrzebne państwu lub dlań szkodliwe. Uogólnienie socyologiczne słuszne, i właśnie w nieświadomej linii dziejowej każdego narodu znajduje wyraz. Od czegoż jednak kultura dzisiejsza, rozdzierająca zasłonę nad największymi tajemnicami świata, żeby nie można było opanować świadomością państwa i następnie je odpowiednio nastawić, a na obywatelach grać jak z nut? Oto to potrafią tylko Rosya i Niemcy, jeno że umiejętność swą skierowały na drogę fatalną, jak najbardziej szkodliwą dla wszystkich pozostałych narodów, potraktowały ją jako kunszt złodziejski i narzędzie wyzysku. Dlaczegoż jednak państwa, które mają inne cele, szlachetne i pokojowe, nie mają sobie wyciągnąć z tej prawdy wniosków praktycznych dla samoobrony?

Nam do tego jest bardzo daleko. Jeżeli coś z tego arsenału bierzemy, to jakąś broń zardzewiałą, rzuconą na naszych polach podczas zaboru, i korzystając z niej, staramy się najwyżej przypomnieć i odtworzyć, jak jej używał najeźdźca. Jesteśmy my, szczególnie my, państwem w znaczeniu prostej arytmetycznej sumy obywateli,—a całość sama się złoży. Potrzeba więc katastrofy, żeby ta całość się ruszyła. W międzyczasie zaś?—właśnie w międzyczasie należy prowadzić politykę.

I tą polityką w stosunku do Rosyi nie może być nic innego, jak dopomożenie jej do tego, żeby się stała państwem pokojowym i użytecznym. To znaczy, żeby najsampierw straciła wszystkie ziemie obce. A przedewszystkiem Ukrainę.

W tem zaś możemy jej dopomóc nawet bez intrygi i dywersyi na jej terytorium, nie przekraczając własnej granicy państwowej.

Gdy zaś w rezultacie powstanie Ukraina niepodległa, kto wie,

może to się zdarzyć, że szarpać będzie nasze pogranicze, jeżeli nie zdołamy z nią się ułożyć o rozgraniczenie się na linii, nie zawierającej zbyt drażniącej przesady. W istocie bowiem będzie ona w stosunku do nas nieprzyjaznym unieruchomiona, wytyżając siły do pilnowania granicy rosyjskiej i przeto raczej ku nam się orientując. Ewentualności dobrowolnego związku rosyjsko-ukraińskiego, skierowanego przeciw Polsce, nie mamy się co obawiać. Jeżeli coś podobnego zdarzyło się w wieku XVII, to na tle raczej podobnym do stosunków dzisiejszych, nie na podłożu Ukrainy niepodległej. Gdyby zaś Rosya szczerze się pogodziła z jej istnieniem, będzie to świadectwem, iż tak gruntownie przekształciła całą swą dotychczasową istotę państwową, że tem bardziej nam nie będzie groziła żadnem niebezpieczeństwem. Właśnie do tego wolność Ukrainy prowadzi, ten ma dla nas cel główny. Do czasu zaś takiego przeobrażenia główny nasz zysk polityczny z powstania jej w tem upatrywać należy, że przez to do odpierania najazdów rosyjskich staną wielomilionowe masy we własnym interesie, gdy dotąd cały ciężar obrony spadał na nas samych na podłożu Ukrainy biernej lub niechętnej.

XXII.

Bieg zdarzeń potoczył się innym torem. Ukraina nie weszła do szeregu państw europejskich, znalazłszy się jedynie w dwuznacznej pozycji na mapie „federacji“ Sowietów, z którymi tedy stanęliśmy, jak ongi z caratem, sam na sam na olbrzymio długiej linii granicznej. Wołyń zaś i Małopolska wschodnia zostały przy nas. Zrazu dyskutowano nieco, dla uspokojenia sumień „lewicowych“, czy to jest odgraniczenie Polski, jako państwa narodowego, czy też „zarybek“ przyszłej Ukrainy wolnej. Życie rozstrzygnęło sprawę inaczej. Gott strafte das Polen und gab ihm die österreichische Administration.

Zdawałoby się, że nie potrzeba wielkiej umiejętności rządzenia, by odłam narodu, nie posiadającego niepodległości, gnębionego w innym zaborze, w ramach państwa naszego nie czuł się niezadowolony. Wystarczało tego tylko chcieć. Dwie zasady oczywiście obowiązywały: po-pierwsze, żadne prawa, z których ludność na tych terytoriach korzystała przed wojną pod zaborem austriackim lub rosyjskim, odjęte jej być nie mogły, nawet tymczasowo, jak zawieszony w Małopolsce wschodniej od lat kilku samorząd i t. p., sytuacja Ukraińców w niczem nie powinna była być pogorszoną, przeciwnie należało im dać odczuć, że u nas mają warunki pomyślniejsze i pewniejsze; po-druge, zarząd kresów musiał wytrzymywać korzystnie wszelkie porównanie w poczuciu mas z przykładem ościennego mocarstwa, zamykając im wszelką drogę do tendencji na jego rzecz odśrodkowych. Po rozkołysaniu ambicyi narodowych przez przewrót powojenny nie tworzyło to bynajmniej z Ukraińców polskiej partii rządowej. Niechby zresztą marzyli dalej o oderwaniu się od Polski. Ale na opozycję ich niewolno było jednak odpowiadać ściśnięciem obręczy, lecz mocnem poszanowaniem zasad powyższych i z nich płynących uprawnień. W tym razie byli-byśmy spokojni, że nie chcąc stracić co mają, nicby w kierunku swych

ideałów faktycznie nie czynili. Polityka ta wprawdzie wymagała nie tylko nadania praw publicznych językowi ukraińskiemu, ale i powołania Ukraińców na stanowiska rządowe — wojewodów, starostów i t. d. Gdyby we wschodniej Małopolsce pod wrażeniem klęski wojennej na razie przeważały tendycje bojkotowania państwa, ludzi do zarządu nią dostarczyłby wówczas Wołyń, którego nastroje z galicyjskimi dziś zasymilowaliśmy do cna. Ten system administracyi nicby nie przesądzał, ani czy tu robimy Ukrainę, czy sobie życzymy niepodległości jej za kordonem, czy raczej dogadza nam panowanie tam Rosyi, tu utrwalenie wpływów narodowych naszych. Byłoby to tylko minimum polityczne zarządu normalnego, bez którego sprawowanie władzy przestawało być spokojne, a nawet ewentualnie bezpieczne.

Ponieważ wprowadzenie w życie tych skromnych postulatów zależało wyłącznie od naszej woli, tedy wyraźnie tego nie chcieliśmy. A raczej sprawa była ogółowi nieznana i obojętna, więc oddana w ręce Polaków ze wschodniej Małopolski, ci zaś traktowali ziemię tę, przy sposobności zaś i Wołyń, jako marchie, przeznaczone do używania pełni władzy kresowych Kulturträgerów. W opinii ich przeważało zresztą zdanie, mniejsza czy zawsze szczerze, — że żadne ustępstwa, narodowe lub społeczne, do zmiany jakiegokolwiek frontu antypolskiego Ukraińców nie są w stanie doprowadzić, wobec czego jedynie wskazanem jest rządzić tu tak, ażeby wrogość ich jak najmniej miała sposobów legalnych ujawniania się, tymczasem zaś energicznie wzmacniać swoje placówki kresowe, a gdy w systemie tym będziemy konsekwentnie niewzruszeni, doprowadzimy w końcu Ukraińców do bezwzględnej rezygnacyi. Do tego jeszcze wprawdzie nie doszło, ale też nie są kresy południowo-wschodnie prowincjami polskimi, bo nie są rządzone normalnie, ani też oczywiście prowizoryczną Ukrainą, — lecz Ukrainą w zawieszeniu, i ten ich charakter wyjątkowość zarządu dobitnie podkreśla.

Od sześciu lat obszary te wchodzą w skład naszego państwa i od tyłuż czasu obserwujemy tam systematyczne pogarszanie się stosunków, — absencją Ukraińców w państwie, propagandę przeciwpolską zagranicą, łatwy dostęp do ludności zewsząd podmuchów nam wrogich, opinię przyjazną dla wszystkich przeciwności naszego losu i każdej zmiany swego — do niewoli bolszewickiej włącznie, — słowem stan niepoczynialnego podrażnienia. W tych okolicznościach niema co pocieszać się tanim optymizmem i dziś nie stoimy już przed wyborem środków, za pomocą których dałoby się nasz stan posiadania na południowym wschodzie utrzymać. Gdy któryś z idealistów warszawskich zaleca dać w końcu Ukraińcom uniwersytet nie w Krakowie, przeocza, że od lat sześciu ziemia w miejscu nie stała, że na to był czas wtedy, kiedyśmy się prze-

ciwnie lękali wzbudzić niezadowolenie choćby najmniej licznych naszych sfer kresowych, które same zaciągały stryczek na własnej szyi, odtąd zaś psuliśmy tu stosunki tak zaiste konsekwentnie i nieubłaganie, że najliberalniejszy nowy kurs niczego dokonać już nie zdoła, i dziś mają rację kresowcy, że ustępstwa nasze Ukraińców nie przejedną: wyyskane zostaną nie na to, żeby się z nami zbliżyć, lecz żeby móżdż się od nas oddalić. Nie z rozpacz, nie ze strachu lub defetyzmu, jeno zdejmując z oczu zasłonę widzieć musimy jasno, że zdarzenia zabrnęły w kąt bez wyjścia, wystarcza raz chłodno, jakby z zewnątrz, spojrzeć na stan rzeczy, aby zobaczyć, że doprowadzona do obecnego położenia kwestya kresów południowych nie ma już znaków zapytania. Obszary ukraińskie Rzeczypospolitej są stracone. Można mówić jeno o czasie, kiedy, i o sposobie, w jakim ten fakt dokonany zostanie uformalizowany.

Nie znaczy to, że trzeba zostawić wszystko po staremu i biernie czekać, co dalej nastąpi.

Nawet przekonani, że nasze posiadanie państwowe na Rusi jest niepowrotnie skazane na upadek, niewolno nam wcale być obojętnymi w kwestiach, kto je weźmie, w jakim zakresie terytoryalnym czy też wśród jakich okoliczności. Bierność nasza prowadzi do tego, że Ukraińcy wystąpią na tyłach naszych podczas ataku niemieckiego lub rosyjskiego, zdezerorganizują nam transporty i administrację, a na froncie postąpią, jak Czesi względem Austryaków, i w razie powodzenia napaści, o które w tym wypadku nie trudno, choćby sami przegrali, doprowadzą do oderwania nam wszystkich ziem, do których aspirują. Inicytywę więc należy wziąć w swoje ręce, ażeby ustrzedz najdroższe wartości.

Setki lat historii Polski zużyliśmy na to, żeby stworzyć naród ukraiński, osobny od Rosyi tradycją obywatelską, kulturą, dziejami, — i powstał. Najszlachetniejszej próby wysiłek twórczy mężów Rzeczypospolitej najmędrszych włożyliśmy w dokazanie cudu — w wytworzenie wzoru w Europie niebywałego, w środowisku wojen dynastycznych, religijnych, rabunkowych, — współżycia politycznego dwu narodów w każdym względzie różnych celem zazywania wspólnego wolności i bezpieczeństwa. Były momenty, kiedy ideał się iścił. Ostatnich lat kilkadziesiąt polityki galicyjskiej tę pracę i zasługę dziejową wieków ubiegłych przywaliły ciężką płytą grobową.

Wprawdzie łatwiej jest wobec dzielnicowych różnic psychicznych dyskutować u nas o tem lub owem przeznaczeniu politycznem Wilna, niż zakwestyonować Brody lub Podhajce, bo jest to *crimen laese majestatis*. Atoli w chwili zanadto krytycznej, gdy sprawa ukraińska dla bytu Rzeczypospolitej zostaje śmiertcioną, musimy wszelkie rozważyć jej możliwe rozwiązania, jak chirurg, ze stanowiska, czy i o ile zapobiegną katastrofie państwa. Tragiczne to jest, że operacya stała się

nieodzowna. Tem mężniej powinna być zdecydowana wykonana. Wąhanie i zwłoka spowodują, że zakazane członki rozsądzą lub zgangrenują cały organizm. Jeżeli zaś zdołamy je zamputować w porę i po linii właściwej, kto wie, czy po zagojeniu się rany nie wskrzesie w obu narodach dziejowe dążenie, by iść przez życie ramię o ramię, jak bracia.

Gdyby Rzeczpospolita była, jak się to nam czasem zdaje, izolowana od świata, Ukraina kończyła się na Zbruczu i zmuszały nas do rezygnacji z niej tylko kłopoty wewnętrzne, separacya nie nastęrczałaby poważniejszych powikłań. Moglibyśmy wówczas o granicę z nią bardzo się nie targować, nadając jej prawo państwowe analogiczne do stanowiska Chorwacyi względem Węgier przedwojennych.

Ponieważ zaś przeciwnie wiadomo, że wyodrębnienie kresów południowo-wschodnich pociągnie za sobą wcześniej czy później rozdział ich z Polską ostateczny i całkowity oraz je złączy w konsekwencji z ziemiami Ukrainy pozostałemi czy w państwo niepodległe czy też nawet pod egidą Rosyi, kierunek granicy jest dla nas kwestyą pierwszorzędnej wagi. I dziś linia Bugu i Stryja, poprzednio zakreślona, wydaje się najszluszniejszą *), zostawia bowiem po naszej stronie ziemię, o które w żadne pertraktacye wchodzić nie możemy, a nie obciąża Rzeczypospolitej mniejszością rusińską zbyt znaczną **), wobec czego wreszcie odetchniemy pod Warszawą i Krakowem od prawodawstwa i zarządu, obliczonych (może obłudnie?) na to, żeby nie były wyzyskane przeciw Polsce w Stanisławowie lub Łucku.

Rzeczą jest jasną, że z odważnej decyzyi wyodrębnienia województw Stanisławowskiego, Tarnopolskiego i Wołyńskiego³ nie wynika bynajmniej ich natychmiastowa ewakuacya. Byłoby to nie tylko przekreśleniem dotychczasowych posunięć i zmarnowaniem zwycięstw. Skoro dały nam posiadanie ziemi, której wprawdzie przezornie postanawiamy się pozbyć, ale którą wszakże dotychczas trzymamy oburącz, to ten stosunek do niej realny daje nam wielkie atuty w osiągnięciu innych celów, boć nie mamy nadmiaru ani terytoryów ani bezpieczeństwa. Podobnie, jak Czesi traktują Ruś Karpacką niby chwilowy depozyt w zasadzie, lecz póki co wyzyskują ją do pewnych zamierzeń politycznych, tak³ dla nas Wołyń i Ruś Czerwona stać się winny bazą określonej akcyi.

Wymaga to dla nich przedewszystkiem specjalnego tymczasowego zarządu. W tembym był jak najdalszy zarówno od półśrodków min. Thugutta, jak i od koncepcyi Srokowskiego, obleczonej w ustawę d-ra Nowaka. Opozycya ukraińska i jej odgłosy zagraniczne wrażliwość naszą nastrojają na tony ustępstw, stronnictwa zaś przelicytowują się

*) a raczej granica województwa Lwowskiego, o ile rzek tych nie przekracza.

**) blisko milion wszakże.

w tem, żeby je za pomocą rozmaitych poprawek uczynić krokiem wstecz, i sprawa się kończy na niczem, jak w wymienionych przykładach. Zresztą sam pomysł sejmów wojewódzkich jest wprawdzie demokratyczny, ale zupełnie niebezpieczny, bo uzależnia dalsze losy kresów południowych od stanowiska Ukraińców, które jest nieprzejednane, dając im placówki do następnej walki wewnętrznej i mocność każdorazowej dezorganizacji zarządu przez proste nieobesłanie swoich kuryi. Ustępstwa tego rodzaju są skuteczne tylko w tym wypadku, gdy absolutnie zapewniają zupełne zadowolenie obozu opozycyjnego. To znaczyłoby w tym poszczególnym wypadku, że nasz premier, podobnie jak angielski de Valerę powinien poprosić za giejtem Petruszewicza i zaproponować mu utworzenie rządu republiki zachodnio-ukraińskiej.

Gdy zaś tak dalece iść nie mogąc, liczyć nie mamy podstaw na zjednanie Ukraińców ani nie uważamy za zbawienne oparcia rządów na samym tylko miejscowym żywiole polskim, zarządu Rusi Czerwonej i Wołynia (w granicach wymienionych wyżej) niepodobna ukształtować inaczej, jak w formie oświeconego absolutyzmu. Zamiast podziału ziem tych na województwa, należy nadać im organizację wspólną, oczywiście wyjątkową. Przedstawicielstwo ich z Sejmu podlegałoby wycofaniu. Na czele prowincyi postawiony byłby namiestnik o bardzo szerokich w polityce wewnętrznej pełnomocnictwach z prawem rozporządzania stacyonującą tu siłą zbrojną, z najpewniejszych dobraną elementów. Przy namiestniku funkcjonowałby rząd, całkowicie mu podległy i przed nim odpowiedzialny, z tem, że dziedziny zarządu ogólnopaństwowego, jak wojsko, koleje, cła, moneta, poczta, polityka zagraniczna i t. d., pozostają w ręku rządu warszawskiego. Reprezentacyi ludności wprowadzać na razie niewolno z wyjątkiem jakiegoś Beiratu z mianowania. Stowarzyszenia i prasa winny być poddane ścisłemu nadzorowi. Inne mi słowy, wszystkie cechy administracyi dzisiejszej, utrudniające uzewnętrzanie się legalne i czynne opozycyi ukraińskiej należy utrzymać, a nawet wzmocnić.

Tego rodzaju system stanowi oczywiście tylko formę, pozostawiającą zarządowi prowincyi właściwą swobodę prowadzenia akcji o odpowiedniej treści. Nie nadając ludności swobód konstytucyjnych ani prawa kierownictwa sobą politycznego, jednocześnie nie należy bezwzględnie szczerzyć jej uprawnień społecznych i narodowych. Nie mając z założenia racyi specjalnych strzeżenia charakteru polskiego prowincyi, skorośmy to uznali za bezowocne, językiem jej urzędowym należy uczynić ukraiński ze zwykłym uwzględnieniem praw mniejszości. Również z Ukraińców przeważnie powinien się składać rząd i rada przyboczna. Uruchomiony być winien samorząd gminny i powiatowy według koncepcyi liberalnej, ażeby zachęcał ludność do konkretnej pracy gospodar-

czej. To samo dotyczy szkolnictwa, w tej liczbie uniwersytetu ukraińskiego — bez autonomii akademickiej. Reformy społeczne, w czym przedewszystkiem rolna, winny być przeprowadzone szybko i radykalnie, z pociągnięciem do udziału w odpowiednich komisjach również Ukraińców, bez faworyzowania Polaków i polskiego posiadania ani zamierzeń kolonizacyjnych. Siedzibą namiestnictwa i rządu winien być Wołyń, np. Łuck, jak również uniwersytetu, na który nadawałby się po przeniesieniu liceum wewnątrz Polski Krzemieniec.

Polityka ta miałaby na celu poza zwalczaniem tendencji rusofilskich i komunistycznych po-pierwsze ostateczne ugruntowanie panowania polskiego we Lwowie i Przemyślu, któreby wchodziły w skład państwa integralnie, gdy dziś i ich dotyczą projekty sejmów kuryalnych, uniwersytetu ukraińskiego i t. d., i przeciąć powinna wszelkie tu czyjekolwiek rewindykacje. Po-drugie zaś, uniezależniając się od tego czy innego stanowiska opinii ukraińskiej, jednocześnie przełamuje jej bojkot państwa, bo o ile z wyborów osiągniemy tam tylko głosiciele nieprzejednania, to z mianowania pozyskamy takich jak chcemy ludzi do zarządu dosyć, samorząd zaś i reforma rolna wciągną masowo jednostki zainteresowane. Właśnie dlatego faworyzować należy Wołyń, że tam tradycja walki z Polską nie jest dotychczas zakorzeniona głęboko i prąd ugodowy łatwiej da się wytworzyć. Dziś też wzywamy Ukraińców do pojednania, ale jest ono zupełnie bezprzedmiotowe, w projekcie zaś przytoczonym daje mu karm udział ich w pracy organizacyjnej. Reprezentacja ludności w postaci sejmu prowincjonalnego mogłaby być dopuszczona wówczas dopiero, gdy ugoda stanie się faktem i opanuje opinię ukraińską.

Zarząd tak pomyślany jest w zastosowaniu niewysłowienie trudny, zarówno ze względu na niebezpieczne zadanie, narażające go łatwo licznym odłamom ludności miejscowej, w czym polskiej, jak ze względu na linię swą, której utrzymanie konsekwentne wymaga nielada charakterów, ażeby nie zbaczała ani na tak łatwą drogę forsowania interesów naszej mniejszości, ani do wulgarnego ucisku lub zgoła nadużyć, tak pospolitych w zarządzie czysto administracyjnym. Wszakże zachowanie niewzruszone jednostajności i logiki systemu projektowanego stanowi o jego powodzeniu a uduchowione być winno jego celami ostatecznymi.

Nie chodzi tylko o to, żeby Ukraińców uczynić elementem państwowo spokojnym, ani o to, by w końcu wrócić do tychże ziem z normalnym zarządem. Jak wskazywałem wyżej, tych złudzeń należy się z góry wyrzec. A więc i nie jest celem w sobie jakiś zarząd odrębny kresów południowych, byle zachowujący ich łączność formalną z Rzeczpospolitą. Jasną jest rzeczą, że do tego my wartościowego

a miarodajnego żywołu ukraińskiego nie pozyskamy, i oświecony absolutyzm zwyrodnije w zwykły beznadziejny zarząd policyjny burzący ludność.

System administracyjny naszej prowincyi ukraińskiej winien być tak we względzie społecznym, jak narodowym pociągającym dla Ukrainy zakordonowej, gdzie również panuje absolutyzm, ale nie jest szanowana ani narodowość ani własność ludności. Do naszego uniwersytetu winni dążyć profesorowie z emigracyi, a młodzież z za rubieży. Niech czują się tu jak u siebie, niech widzą, że Polska wprawdzie zatrzymała sobie Lwów, ale może i ma rację, bo nie jest bezgranicznie zachłanna, skoro szanuje i wspomaga Ukraińców na obszarze ich głównym swego posiadania państwowego. To będzie naszą najpoważniejszą dywersją, przecinającą Sowietom nić intrygi, ku nam zwracającą wzrok ludności ich zaboru. Więc walkę, obecnie demolującą nasz teren, przenosimy na terytoryum przeciwnika. Żywołowi ukraińskiemu u nas skupionemu musimy tedy postawić wzniosły cel — niepodległość, ażeby miał dla czego czuć się zmuszonym do wymaganych przez nas rezygnacyi. Swoją więc prowincyę południowo-wschodnią powinniśmy traktować otwarcie, jako depozyt przyszłej niepodległej Ukrainy.

Gdy powstanie, będzie to nagrodą za naszą samozaparcia się pełną politykę. Z tą chwilą dobrowolnie ustąpimy z prowizoryum swego, rekompensując je zróżnicowaniem Wschodu i osłabieniem zasadniczem pożądanego zaborcy. Do tego zaś czasu niech nam polityka ta da przynajmniej tyle lojalną ludność na kresach, ażebyśmy mogli mieć spokój o nią na miejscu i w szeregach w razie ataku na ziemie nasze czy to Rosyi czy to Niemiec, bo na ten wypadek niewolno nam pozostawiać u siebie żadnego frontu wewnętrznego. Pamiętajmy zwłaszcza, że najskuteczniejszą obroną naszego pogranicza zachodniego jest zneutralizowanie wrogości dotychczasowej pięciu milionów naszych obywateli na wschodzie.

XXIII.

Poza bojkotującą państwo ludnością ukraińską Małopolski wschodniej wszystkie mniejszości narodowe Rzeczypospolitej utworzyły podczas wyborów sejmowych blok o wyraźnie opozycyjnym wobec całej większości polskiej kierunku. Okazało się, że opieramy się w rządach swoich wyłącznie na rodakach, wśród zaś blisko 40% ludności obco-plemiennej, tu i ówdzie zwarte zamieszkującej przestrzenie, nie cieszymy się ani sympatją ani poparciem.

Pomimo bloku wchodziły mniejszości do Sejmu z pewnemi nadziejami. Liczyły na zmysł rządu, kombinacje sejmowe, porozumienie z lewicą. Gdy to zawiodło, administracja kresowa zaś w dalszym ciągu negocjowała odmienny skład ludności, a nawet mniejszości szykanowała, front ich opozycyjny przechodził w tony nieprzejednania i zaczynał dźwięczeć nutami bolszewickimi. Sytuacja zaczynała przypominać Małopolskę wschodnią.

Rząd oczywiście dostrzegął, że położenie nie wróży nic dobrego. Wszystkie atoli próby zmiany stosunku do mniejszości były hałaśliwie zapowiadane i reklamowane, ale nie wykonywane. Tak było z ustawą d-ra Nowaka, z uniwersytetem ukraińskim i reformami Thugutta. Ostatnio zdecydowano, nie zmieniając zasad polityki względem Ukraińców i Białorusinów, rozbić blok mniejszości w punkcie najmniejszego oporu, i wszczęto pertraktacje z żydami. Żydzi oczywiście są najbardziej w tym względzie podatni: gdy mniejszości słowiańskie, przeważające liczebnie na obszernych terytoryach, dążą do radykalnej zmiany losu politycznego, Niemcy zaś mają obok Rzeszę, do którejby powrócili w razie zwycięskiego najazdu niemieckiego, żydzi gospodarczo i politycznie są związani z Polską i korzyści specjalnych z jej rozbitcia nie odniosą. Wobec tego zaś, że są mniejszością nieterytoryalną, aspiracje ich zbyt daleko sięgać nie mogą i stosunkowo łatwo je zaspokoić. Pozatem żydzi, jak

wiadomo, byli spoidłem „szesnastki“ przez to, że głównie oni ją finansowali*). Tedy przejednanie ich, jak zapewne w rządzie się rachuje, tak osłabi inne mniejszości, że idąc luzem, pozbawieni pieniędzy, wielu mandatów do następnego Sejmu nie zyskają.

Zdaje się wszakże, że rząd wybrał punkt wyjścia nieodpowiedni. Najbardziej bowiem zależy nam na jednolitości naszego terytorium narodowego, na którym nie jesteśmy skłonni do ustępstw: wolno nam wprowadzać zarząd specjalny, gdzie już się kończy Polska i zaczyna się obszar przewagi obcej, ale ziemi własnej nie chcemy przekształcać ani w Judeo ani w Germano-Polonię, czyli w stosunku do żydów i Niemców rozważyćby raczej należało, czy stan rzeczy obecny nie zanadto jednolitości zarządu naszego przeczy, czy poszczególne ich uprawnienia nie nadają naszemu krajowi i administracji, np. szkolnej, zbyt pstrokatego wyglądu, dążyć w każdym razie powinniśmy do tego, by na obszarze głównym państwa jedynym gospodarzem był naród polski, mniejszości zaś nie miały żadnych wyjątkowych uprawnień, język polski nie doznawał żadnych ograniczeń w charakterze jedyngo języka urzędowania, a szkołą obowiązującą była polska. Nie należy, zwłaszcza o ile chodzi o Niemców, tolerować tego stanu, że tworzą lub tworzymy dla nich placówki ze sobą spojone i z zewnątrz instruowane. O ile zaś chodzi o żydów, to wieloma tolerowaniami przez nas urządzeniami swemi szpecą charakter europejski naszego kraju, i walka z szabasem, chederami, chałatami, szyldami żargonowemi, a przez szkołę powoli i z żargonem musi być na terytorium polskiem wygrana. Rozumie się, literatura i prasa żargonowa są wyrazem analogicznego u żydów z innymi narodami ruchu kulturalnego szerokich mas ludowych, i narodziny jej przypominają bliźniaczo ruch litewski lub ukraiński. Nadto w obecnym stanie komunikacji nie jest wcale koniecznym zamieszkiwanie zwartego terytorium, ażeby utrzymać łączność narodową i język. Atoli bynajmniej nie leży na linii naszych konieczności państwowych popieranie tego wszystkiego. I tu końca wymaganiom nie będzie. Za szabasem idzie cheder, za nim podział funduszków szkolnych, ten zaś pociąga za sobą autonomię kulturalną, czyli Sejm żydowski, który nie poprzestanie na sprawach oświatowych, lecz zechce oddziaływać na naszą politykę wogóle, gospodarczą w szczególności. Istotą zaś walki polsko-żydowskiej jest właśnie moment ekonomiczny. Za Rzeczypospolitej przedrozbiorowej prawie nie wytwarzaliśmy sami warstwy miejskiej, wobec stosunkowo późnego wejścia do Europy nie zdołaliśmy kultury swej rozwinąć wszechstronnie, wiele rzeczy bio-

*) Podobno nie dopuszczali kandydowania działaczy ukraińskich i białoruskich usposobionych antysemitcko.

rać z Zachodu w stanie gotowym, w tem m. in. niemieckie i żydowskie mieszczaństwo. W okresie podziału społeczeństwa na stany odgraniczone i wzajem nie przenikające się, ów brak warstwy miejskiej rodzimej upośledzał nas wprawdzie oraz wypaczał i zbyt jednostronnym czynił nasz postęp kulturalny, kwestye narodowościowe stąd wszakże nie wynikały, gdyż regulowane były przez zasady współżycia i autonomii stanów. Dziś się sytuacja zmienia radykalnie. Różnicowanie się społeczne ludu powoduje narodzenie się i rozrost polskiego mieszczaństwa i polskiej twórczości przemysłowo-handlowej. Nie jest to kwestyą ambicyi narodowej, lecz bytu szerokich mas, które z samego rolnictwa się nie wyżywią, stan urzędniczy hiperprodukować zdolne są do niewysokiego tylko stopnia, w przemyśle zaś i handlu mają starą zasiedziałą konkurencyę, i wreszcie zmuszone są do emigracyi, dziś również ciasnymi ograniczonej ramami. Chodzi więc o zrobienie miejsca dla Polaków w miastach polskich. I że je krok za krokiem zdobywają, to jest głównym powodem opozycyi żydów, z dnia na dzień tracących piękny monopol. Ale na te procesy żywiołowe, które nas nadto nie martwią, nie mamy lekarstwa, żadne zaś linie demarkacyjne tu nie są do przeprowadzenia. Nie martwią zaś dlatego, że stanowią w istocie podstawę naszej niezależności państwowej, bez własnej bowiem dobrze rozbudowanej warstwy miejskiej i własnego wielkiego przemysłu i handlu zaiste nie bylibyśmy w stanie wyzyskać ekonomicznie ani więc politycznie utrzymać Pomorza i Śląska, ni stawiać sobie jakichkolwiek celów na wschodzie, będąc czyjś, zapewne niemiecką, dependencyą gospodarczą, niepodległość do czasu opierając wyłącznie na waleczności polskiego żołnierza.

Nie polityka więc wobec żydów, która raczej była za miękka i kompromisowa zbyt, lecz błędy nasze w traktowaniu kresów dały powód do pomysłu „szesnastki“, która wspierała ich olbrzymio głosami Wołynia i Białejrusi, czyniąc siłą wielkiego kalibru. Skoro zaś przeważna część opozycyi żydowskiej, pochodząc z przesłanek gospodarczych, jest permanentna, tedy oczywiście nic nie ryzykuje, że rząd czyni jej ustępstwa narodowe, ale czy mimo to szesnastka zostanie zlikwidowana: któż wówczas weźmie na swój rachunek mandaty żydowskie? A jeśli nawet i tak, czy to osłabi Ukraińców lub Białorusinów? Jeżeli nie znajdą na akcyę wyborczą pieniędzy w Polsce, to i poza jej granicami nie zbraknie wielu chętnych do maczania rąk w mętnej wodzie naszych stosunków kresowych i subsydywania naszych trudności państwowych: czy będziemy mogli nawet marzyć o porozumieniu z przedstawicielstwem skrępowanem zobowiązaniami na zewnątrz? I czy nie dlatego może żydzi nam kompromis zaofiarowali, że założenie ich, by szesnastka stanowiła normalną opozycyę parlamentarną, naskutek naszej polityki kresowej zostało przegrane i przeto przewod-

nictwo duchowe nad coraz radykalizującymi się mniejszościami wschodniemi poczuli, iż tracą? Tu właśnie ujawnia się, pomijając, że niewolno nam obdarzać żydów przywilejami politycznymi i gospodarczymi, główny błąd rządu, że od ich przejednywania zaczyna rozbijać blok mniejszości.

Nie jest co mówię bynajmniej antysemityzmem. Wprost przeciwnie, jedyną radą, jaką upatrywałbym dla żydów, gdyby chcieli utrzymać się na swoich placówkach gospodarczych w Polsce, to właśnie jest zrośnięcie się z mieszczaństwem naszym w całokształt jeden. Wprawdzie program asymilacyjny uważa się za zbankrutowany. Był niegdyś popularny w społeczeństwie polskim. Dopóki bowiem z ghetta do życia kulturalnego wychodziły jednostki, zrywały one z żydostwem zupełnie i wsiąkały do społeczeństwa polskiego bez reszty. Gdy ruch ten stał się bardziej masowy, zerwanie było coraz bardziej powierzchowne, natomiast asymilujący się tworzyli już grupy odrębne—Polaków wyznania mojżeszowego, następnie żydów narodowości polskiej. Ale z chwilą, jak zaczęło przeobrażać się całe ghetto z zacofanej kasty religijnej w mniej więcej nowoczesne społeczeństwo, oczywiście nie mogło być mowy o jego natychmiastowej polonizacji, która czyniła wprawdzie postępy, ale spójni ani odrębności żydów nie przełamywała. To jest moment tryumfu żargonu i nacyonalizmu żydowskiego. Lecz jak mylne były rachuby na stopniową asymilację żydów, opierane o grupkę Polaków pochodzenia żydowskiego, tak zbyt aktualistycznie przesadny byłby wniosek z obecnej fazy europeizacji żydów, że prąd asymilacyjny jest pogrzebany. Stadyum dzisiejsze może być również przejściowe, niezależnie od jego długotrwałości. I nawet na przejściowe wygląda. Należy bowiem zauważyć, że zarówno zrywanie z religią żydowską, jak asymilacja kulturalna, jak sama tylko polonizacja językowa wśród żydów postępują, liczebnie będąc napewno silniejsze, niż w okresie „asymilatorskim“, jeno że przesłonięte jeszcze potężniejszym ruchem nacyonalistycznym. Ponieważ inteligencja polska zmieścić zdoła w sobie tylko jednostki polszczące się, masy zaś zasymilować się mogą tylko z mieszczaństwem, niepodobna przypuścić, żeby to nastąpiło, zanim mieszczaństwo polskie nie zostanie liczniejsze od żydowskiego. Ale z rozwojem charakteru polskiego miast naszych polonizacja żydów powinna czynić coraz większe postępy, i może nastąpi czas, kiedy mieszczaństwo nasi nie będą się dzielili na grupy narodowościowe, lecz stanowiąc jedną, niezależnie od pochodzenia, wspólnie przestrzegając będą bez rywalizacji wewnętrznej interesów narodowych oraz miejskich. Proces ten przyspieszyło już powstanie państwowości polskiej. Im bardziej zaś przecinać będziemy sztuczną odrębność żydów, im twardej się będziemy jej przeciwstawiali, tem będzie niewątpliwie biegł

szybciej. Obowiązkowa normalna szkoła polska ma w tem wielkie zadanie.

My przecież judaizacyi nie mamy się co obawiać. Ale oczywiście przeszkody procesowi asymilacyjnemu żydów będzie wielu z nas stawiało. Jesteśmy narodem dość starym i określonym, ażeby przyływ doń masowy ludzi innej rasy, tradycyi, obyczaju nie wywoływał objekcyi, które mają nazwę antysemityzmu. Należy wszakże zaznaczyć, że stanowi on hamulec dla asymilacyi tylko powierzchownej, ale następnie i bodziec dla gruntownej i ostatecznej w naszym tolerancyjnym społeczeństwie.

Końca tego procesu nie dożyjemy ani my ani nasze wnuki. Ale gdyby linia rozwoju żydów była inna — to znaczy odosobnianie się, tracenie gruntu gospodarczego w kraju i emigracya, i ten proces, bardziej chorobliwy i w towarzyszące mu płodny niepokój, ciągnąc się będzie setkami lat. Życie zapewne pójdzie obydwoma naraz torami.

A więc, o ile konsekwentni będziemy w akcji politycznej wewnętrznej, część przeważna żydów stanowić będzie opozycję przynajmniej przez okres dłuższy. Zresztą, jeśli komu świta myśl, że ustępstwa na rzecz żydów oraz ewentualnie Niemców dadzą nam utworzyć tak silny blok państwowy, że trudności nasze kresowe osłabną, jest w oczywistym błędzie, zarówno w udzielaniu koncesyi mniejszościom nieterytoryalnym, jak w nadziejach co do wyników tego politycznych na kresach. Jeżeli nawet przedstawicielstwo białoruskie lub ukraińskie w Sejmie nie będzie liczne, to przecież spraw narodowych nie rozstrzygają głosowania parlamentarne; stan ciągły, że jakaś poważna a odrębna grupa terytoryalna nie rządzi sprawami ziemi swej, będąc systematycznie majoryzowaną, usposabia jej wszystkie odłamy dla państwa nieprzyjaźnie, wytwarza sytuacje nieznośne i kończy się przy pierwszej sposobności zerwaniem więzów politycznych. To też dzisiejsza polityka nasza otwiera wrota każdemu nieprzyjacielowi, i pozyskanie żydów nas przed tem nie uratuje.

XXIV.

W innej konstelacji politycznej, podobnej do Szwecyi albo Hiszpanii, zadowolić się namby było wolno obszarem narodowościowo polskim, oczywiście poza linię Curzona wykraczającym, do kwestyi zaś posiadania kresów wschodnich wagi szczególnej nie przywiązywać może, redukując ją do sporów pogranicznych najwyżej,—a bylibyśmy mimo to państwem wcale poważnem. Wszakże, biorąc do ręki mapę Europy, przekonamy się łącno, że Rzeczpospolita, nawet uzupełniona dalszemi Pomorza i Śląska częściami, ale od wschodu zamknięta rubieżą etnograficzną, byłaby państwem wręcz kruchem, i to nie dla tego powodu, że pozostałaby bez terenów osadniczych, lecz dla przyczyn o wiele głębszych. Bez naszego możliwie szerokiego przedziału pomiędzy Litwą a Rosyą państwa bałtyckie, dostatecznego pozbawione o Polskę oparcia, wydaneby zostały na łup zaborczości rosyjskiej, przez coby i nas w następstwie odcięto od morza zupełnie. Pomimo bowiem, iż mamy, względnie zaś mieliśmy promotorów „Polski etnograficznej“, pomiędzy Niemcy a Rosyę wciśniętej, skoro nie od nas zależy pokojowości ich wiecznej rękojmia, niepodobna za pewnik nie uznać, że Rzeczpospolita być musi państwem wielkiem, ażeby nie runąć ponownie,—albo solidnie zabezpieczonem,—w przeciwnym bowiem razie nacisk dwustronny otaczających brył zgruchotałby wrychle szczupłą nawę naszą, a i samemu atakowi niemieckiemu kto wie, czyby się oparła, jak pouczają wojny krzyżackie, wygrywane przez nas dopiero po unii z Litwą podówczas rozległą.

Jakkolwiek zaś kresy południowo-wschodnie nęciły nas zawsze najbardziej i dotąd jeszcze manieni jesteśmy z zewnątrz ich rozszerzeniem, jako rekompensatą ewentualną za oddanie Niemcom „korytarza“ oraz zagłębia, stwierdziliśmy przecieź, że tu rachować można na dalszą metę najwyżej na zróżnicowanie granicy rosyjskiej i jedynie do tego

wolno nam i powinniśmy rękę przykładać, nie tylko sobie bezpośrednich stąd zysków w postaci zwiększenia obszaru państwowego nie rojąc, lecz wręcz przygotowanymi będąc do konieczności rezygnacji znacznych z posiadania dotychczasowego. Tedy po nieodwołalnym odpadnięciu politycznym Ukrainy i Litwy i wytworzeniu się antagonizmów z niemi, które zażegnać zdołamy tylko już ofiarami nadzwyczajnymi, pozostaje poddać zbadaniu stosunek nasz względem kresów północno-wschodnich, o ile władza Rzeczypospolitej gruntuje się tu lub utrwalona być może,—czy więc ten jedyny praktycznie do pomyslenia obecnie będący kierunek naszej organizacji terytorjalnej da się ocalić czy też już również skrzepł we wrogości? a obok tego zważyć, czy są szanse i jest ze stanowiska polskiego potrzeba usamodzielnienia się od Rosyi Białejrusi, jako republiki niezawisłej, przedzielającej nas od niebezpieczeństwa moskiewskiego, co już nie grozi Szwecyi, przez Finlandyę przed niem dziś osłonionej. W rozwiązaniu tych dwu pytań zamyka się sprawa,—tertium non datur,—a raczej od odpowiedzi pozytywnej na któreś z nich zależy stałość i bezpieczeństwo naszej egzystencji. Gdy więc zniesienie Prus Wschodnich i podział Śląska z jednej strony, wyzwolenie Ukrainy z drugiej stanowią elementarnie konieczne zabezpieczenia naszego pokoju od grózb prymitywnie jaskrawych, a przewagi napastnika ewentualnego zbyt bezczelnie zagwarantowanej, w czem nawet na frontach walki wewnętrznych,—toć dopiero, gdy chodzi Polsce o bytu utrwalenie, kluczem niepodległości jest Białoruś. I gdyby jej nie było, musielibyśmy ją stworzyć.

Właśnie Białorusini są narodem z pomiędzy sąsiadów naszych najmłodszym i najsłabszym,—a utrzymaniu odrębności ich przeszkodą jest Rosya, co dążyła i dąży stanowczo do ich bezwzględnej niwelacji. Uświadomienie ludności zaś jest tu nikłe, ze wschodem łączy przeważną jej część kościół, półtorawiekowa przynależność państwowa i bliskość języka. Prowodyrzy ruchu mają przeto obawy nieladajakie nie tylko przed presją Moskwy zewnątrz, ale i jej powodzeniami na Białejrusi wewnątrz. Pomimo to prąd narodowy ma tu podstawy wystarczające zupełnie. Jest wiarogodne wprawdzie, że są raczej historyczne, aniżeli plemienne. Bądź cobądź dzieje Rosyi a Białejrusi od samego początku różnemi poszły drogami. Pierwociny ich wiążą się dla obydwu krajów z Kijowem, wszakże Ruś przedmoskiewska oraz moskiewska wyodrębnia się, Białoruś zaś dłużej przeżywa wpływy południa, następnie zaś wchodzi w skład Litwy i tu rozpościera skrzydła, gdy właśnie Moskwa podlega nie tylko politycznie, lecz w znacznym stopniu i kulturalnie Tatarom. Na Litwie białoruszczyzna dominuje przez długi czas nawet po unii z Polską, której oddziaływaniom następnie się stopniowo poddaje. Te różnice dziejowe wytworzyły przez

wieki pomiędzy Białorusią a Rosyą istny mur psychiczny i kulturalny. We względzie nawet religijnym pod wpływem unii kościelnej Białorusini pomimo formalnej z Rosyą jedności różnią się wielce, zachowując stosunek do cerkwi, jeśli wolno tak rzec, bardziej katolicki, tedy sekt i rozłamów kościelnych, w jakie wschód obfituje, tu niema. I języka, pomijając grafikę łacińską, przez część Białorusinów używaną, długowiekowa odrębność nie dała zespolić z narzeczami rosyjskimi w jedną mowę literacką, czyniąc zeń gwarę przejściową pomiędzy polską a rosyjską, a więc od obu odmienną. W odróżnieniu od ludowego komunizmu moskiewskiego (wspólnota gminna) Białorusini pozostali przy własności indywidualnej, co oczywiście stanowi o psychice ludu, tem więcej wychowanie w warunkach politycznych europejskich, jak wreszcie i fakt, że przez parę wieków ostatnich białoruszczyzna ograniczała się do warstwy ludowej, zaś pozostałe rosyjskimi nie były. To też spustoszeń narodowych więcej poczynił carat na Ukrainie, jako bardziej pociągającej dla swych bogactw. Zdołał przecież zaludnić żywiołem panującym Kijów, a zwłaszcza Odesę i w znacznym stopniu załębie Donieckie, oraz wykrzesać stamtąd dla siebie wiele materiału ludzkiego, w czym kilku znakomitych pisarzy i działaczy, gdy Białorusini od rusyfikacji pozostawali bardziej na uboczu. Sięgały tam raczej w drodze biurokratycznej, dla szablonu, niż celem osiągnięcia specjalnych wyników.

Stosunek dziejowy polsko-białoruski korzystnie różni się od polsko-ukraińskiego. Ukraina jeszcze za Rzeczypospolitej przedrozbiorowej znajdowała się nieraz z nami w antagonizmie, sięgającym starć zbrojnych, na tle już wówczas nierozumnej polityki „królewiat”; natomiast pomiędzy Białorusią a Polską zatargów nie było nigdy, tolerancya zaś nasza białoruszczyznę w cyrylicie pozostawiała językiem państwowym tu wówczas nawet, kiedy z mowy potocznej urzędujących i szlachty całej dawno znikła. I w okresie porozbiorowym Polacy tutejsi z ludem umieli współżyć o wiele zgodniej, aniżeli na kresach innych. To też Białoruś bierze udział czynny w powstaniach, a w r. 1905 wybiera z Mińszczyzny do Dumy przy 10% ludności polskiej na 9 posłów aż 7 Polaków, co znaczy, że przewodnictwo tu nasze duchowe i specjalnie polityczne nie ustawało. W przeciwstawieniu więc do Litwy etnograficznej i Ukrainy zachodniej ruch ludowy na kresach północno-wschodnich nie kierował się przeciw Polakom, którzy zresztą wzięli w tworzeniu jego znaczny udział. Jeszcze w r. 1917 wybrany przez Białorusinów rząd („rada najwyższejsza”) pomimo zarówno niemieckich, jak rosyjskich zabiegów oryentował się ku Rzeczypospolitej aż do zawarcia traktatu ryskiego.

Jednocześnie zresztą, t. j. od r. 1917, stosunki te zaczęły się roz-

kładać. Wpływ rewolucyi na Wschodzie i tu doprowadził do walki ludu o ziemię, mniej niż na południu ukraińskim okrutnej, wszakże bezwzględnej i uporczywej. Mimo to wojska polskie nie były witane przez ludność nieżyczliwie. Dopiero zarząd cywilny ziem wschodnich coraz bardziej zrażał ją do Polski systemem rządzenia okupacyjnym, gdy stosowniejsze przecież było pojęcie wyzwolenia. Oczywiście, ruch białoruski miał poważne braki. Nie wytworzywszy dość inteligencji własnej, posługiwał się pozostałymi tu nauczycielami rosyjskimi, przedzierz-gającymi się z oportunistu powierzchownie w Białorusinów,—a więc i rosyj-skimi, częstokroć antypolskimi, podręcznikami. Że wszakże szkoły te, niechby formalnie tylko białoruskie, były tworzone za okupacji nie-mieckiej i następnie sowieckiej, obowiązkiem naszym było przyczynić się do gruntowniejszego ich unarodowienia, nie zaś zamykać. Gdy bolszewicy powołali tam na swoich rozmaitych komisarzy po wsiach element najczynniejszy, myśmy go następnie, zamiast przeciągnąć jako punkt oparcia naturalny i zupełnie naogół bezpieczny, potraktowali w czambuł jako naprawdę komunistyczny i odsunęli, wytwarzając samowolną powszechnie szczepionkę opozycji właśnie już do pewnego stopnia filozowieckiej. Oparliśmy się tedy na Białejrusi, która dopiero co zaczęła zażywać pewnej wolności, na swoich tylko urzędnikach, ci wszędzie dopatrywali się niedostatecznej lojalności, i lojalność w miarę tego coraz rzeczywiście malała.

Bardziej się jeszcze pogorszyły stosunki po zawarciu pokoju. Wyborów do Sejmu ustawodawczego nie rozpisano, wyrażając kresom z góry nieufność. Nie wprowadzano również przez całe lata—lata decydujące — samorządu, zdając ludność na łaskę administracyi. Szkol-nictwo i prasę systematycznie redukowano, aresztując częstokroć Bogu ducha winnych działaczy, jak apolitycznych pisarzy i oświatowców lub politykujących księży z katolickiego ugrupowania „Chrześcijańskiej Łączności“. Że jednocześnie Sowiety u siebie z całym rozmysłem i perfidyą ruch białoruski kokietowały, oczywiście wiążąc go formą komunistyczną i tworząc zeń przeciw nam skierowaną forpoczcie swoją, wielu działaczy zrezygnowanych od nas tam emigrowało. Więk-szość ich pozostała orientuje się w pewnej mierze ku Rosyi, inni, rozumiejąc niebezpieczeństwo tego, szukają sprzymierzeńców w Kownie, w Pradze czeskiej, w Berlinie, ale o Polskę zwątpili.

Stosunki tu zbijać się zaczynają tedy do wschodnio-małopolskich, może poniekąd—otwarci mówiąc—pod wpływem tychże dzielnicowych czynników urzędniczych. Bądź cobądź wojna Rosyi z Austryą stała się u nas walką orientacyi rosyjskiej z austryacką, starciem się Kon-gresówki z Galicyą nietylko z przymusu na froncie, ale i z przekonania na wiecach i w prasie. Jakkolwiek zaś na szczęście w szermierce

ideowej obie legły i osiągnęliśmy Polskę daleko wychodzącą poza te koncepcje ugody, wszakże poczucia wygranej inteligencja małopolska, rzekomo niepodległościowa zawsze, nie wyzbyła się, co wobec wyrobienia biurokratycznego i liczebności daje jej możność szerzenia na całą Rzeczpospolitą swej dawnej „ideologii“, a raczej nałogów rządzenia, w zupełnie specyficznej szkole cesarsko-królewskiej wychowawczych (co się uwidocznilo i w pertraktacjach ryskich, wziętych z nielada odwagą w swe ręce przez jej głównie przedstawiciele ambitnych, mimo że o kresach, a zwłaszcza o Rosyi, stosunkach jej, dziejach i psychice, nader mieli mgliste wyobrażenie). W innych dzielnicach polskich to jest spotykane jedynie niechęcią do osób, ale na ziemiach wschodnich sprowadza skutki godzące w całość i byt państwa. Bardzo to byłoby przykro, jeśli na tę chorobę nie znajdzie się lekarstwa w kraju, ażeby leczyły nas z niej dopiero klęski. Podobnie Piemontczycy, zażywający ówczesnie sławy pośród rodaków nieszczególniej zgoła, wszakże siłą rzeczy zjednoczonymi tylko co Włochami przez długi czas sterowali, aż ich wyparły inne dzielnice do roli w rządach stosownej.

Jednym z niewybaczalnych błędów, przez praktykę popełnionych administracji kresowej, to jest zidentyfikowanie absolutne Białorusinów z Ukraincami, właściwie potraktowanie ich szablonowe, z przypuszczenia wylęgle, iż się psychicznie od siebie nie różnią, że tedy skoro do metod postępowania pewnych za zmuszonych się uważamy względem jednych, stosowane być mają przez to samo do drugich. Błąd ten najwydatniej się ujawnił w Rydze, przy zakreślaniu granicy wschodniej. Na podłożu galicyjskich doświadczeń Ukrainę uznając za naród, co się z nami poróżnił nazawsze i współżyć nie będzie, osądziwszy za wskazane jedynie rozgraniczyć się z nią możliwie najkorzystniej, zresztą własnemu pozostawiając losowi. Tedy i na Białejrusi rezygnowaliśmy rozmyślnie z niewątpliwej możności osiągnięcia Mińska przynajmniej, tak przecież polskiego, stolicą bowiem jest ruchu odrębnego, bez której przeto w rubieżach swoich zawarcia łatwiej nam będzie „strawić“ północno-wschodnie kresy i tym się sposobem posunąć narodowo ku rubieży politycznej, jako etnograficznej in spe. A przecież nawet z tych założeń osobliwych, jedynie słabość organizacyjną stosunkową Białejrusi uwzględniając, należało sobie jej więcej niż Ukrainy przykroić. Co zresztą za posmak jakiś sadystyczny znajdują u nas politycy niektórzy w wynaturzaniu ducha ludzkiego i zatracaniu skarbnic jego—w czasach, kiedy się pielegnuje folklor wszelki i literaturę kultywuje gwarową? Gęste są wielkie ośrodki kulturalne na rdzennym niemieckim zachodzie, lecz na wschodzie zgermanizowanym czyżby się autochtoni zdobyli tylko na Królewiec i Wrocław, a Julin, Kołobrzeg, Budziszyn, Chociebuż, Głogów, Lignica, Kistrzyn, Lubusz, Wystruć i Tylża nie buj-

nemby kwitły życiem, nie jałowych mieścin kresowych, jeno ognisk cywilizacji wysokiej i starożytnej tradycji? Asymilacja samorzutna pod urokiem kultury czyjejs, ta tworzy rzeczy wzniosłe, ale administracja wynarodowiająca przysparzać jest zdolna zaledwie materiał pośledni, hartu pozbawiony lub wprost interesowny, segregację wartości przeprowadzając jak w Poznańskim, gdzie się polszczyli lepsi Niemcy, prusaczyli predestynowani renegaci.

Czyż nie mówiono i do nas, żebyśmy się tylko w dzielnicy pruskiej nie u p i e r a l i przy obyczaju rodzimym, mając poza nią tyle obszaru i główne ośrodki? Ale lud polski żył tam, związany z ziemią swą tysiącem nici do rozerwania niemożliwych, własnością, zagospodarowaniem, znajomością stosunków, przyzwyczajeniami, myślał, mówił, śpiewał, modlił się po swojemu, w otoczeniu swoim i z niem więz grupową wytwarzał, a z tej grupy wyłaniać się musieli ludzie, żyjący zaspokojeniem jej potrzeb religijnych, kulturalnych, ekonomicznych—inteligencja, mieszczaństwo,— oraz tych potrzeb głoszeniem — przedstawicielstwo polityczne. Granicami państwowemi nie wyznacza się narodowych! Czemuż się dziwić, że ta sama odrębność trwa na skrawkach białoruskich Rzeczypospolitej wbrew naszym tu aspiracyom do Herrenvolku? Na nic też cały macchiavelizm z Mińskiem: jak Kraków dla Królestwa, Warszawa dla Galicyi pozostawały wzajem ogniskami prądów kulturalnych, Mińsk, będąc w Sowietach, ich presyi ulegając nawet, stolicą Białejrusi i ośrodkiem ciężenia dla naszych kresów północnych nadal jest; zamiast spodziewanego spokoju od ruchu narodowościowego, odcięcie jego tedy stwarza szczególny niepokój, w czem sztucznie przez obcych inspirowany, — a chyba zdrowszy byłby i bardziej dla nas pożądany wpływ jego z naszej za tamtą stronę kordonu, jako przeciwwaga intrydze bolszewickiej, niebacznie przez nas stracona. Nie szukając bowiem przyczyn wrogości ukraińskiej w niedomaganiach metod administrowania Małopolską wschodnią, za aksyomat uznali dyktanci dyplomacyi nasi, że przez analogię i ruch białoruski jest z założenia przeciwstawny Polsce, choćby jeszcze tego nie ujawniał, bo tak opiewa liczman fatalistyczny przez nich zdeterminowanej ewolucyi. Czyli że rezygnacja delegatów ryskich była conajmniej przedwczesna, oparta na przesłankach wręcz doktrynerskich, bez ich skonfrontowania z doświadczeniem na miejscu, a że została poczyniona wbrew ostrzeżeniom zarówno polskim z kresów, jak i samego przedstawicielstwa białoruskiego, więc była premedytowaną lekkomyślnością. Jeżeli dziś tak łatwo podać sobie ręce poprzez nasze północne granice Niemcom a Rosyi, ponoszą oni za to odpowiedzialność historyczną.

XXV.

Joffe dlatego tylko przyprowadził ze sobą do Rygi Paradebauerów czy statystów sowieckiej Ukrainy i fikcyjnej Białejrusi, iż wydoskonalona odwiecznie dyplomacya rosyjska niezłomnie przekonana była, że się zjawimy tam całkiem naturalnie z Petlurą i Bałachowiczem, że główny spór będziemy toczyć oczywiście o te kraje i ich urządzenie. Przecież już swojej niepodległości, ani granic nawet, tam bronić nie potrzebowaliśmy! Przygotowała się na ten wypadek, budując specjalne nowotwory ćwierćpaństwowe, Białoruś zaiste w ostatniej chwili. Ku nader przyjemnemu bolszewików zdziwieniu właśnie o to nie robiliśmy najmniejszej kwestyi. Jedną podobnie miłą niespodzianką żyjące pokolenie nasze sprawiło Rosyi w pierwszej Dumie ustami ś. p. Franciszka Nowodworskiego, gdy zamiast trwożnie spodziewanej tam deklaracji niepodległościowej Narodu wygłosił mowę humorystycznie płaską. Drugą... ani cienia nie chcę rzucić na posła Dąbskiego: w stadium pertraktacji początkowem, w Mińsku, był żołnierzem walecznym nawet w niewoli i najgodniej uratował honor zwyciężonej ojczyzny; gdyby się od wyjazdu do Rygi uchylił, wartby był pomników. Lecz dyplomatą nie był, a chyba najmniej na miano to zasługują otaczający go posłowie do wszystkiego. Przecież bolszewikom chodziło podówczas tylko o wyratowanie bodaj Ukrainy. O Białejrusi pisali sami, jako o straconej: Radek już nam darował „republikę z pińskich błot“. I my, zamiast gawędzić o wierze lub niewierze w żywotność narodową ludów kresowych,—nawet nie życząc sobie powodzenia, tematem sporu uczynić powinniśmy byli Ukrainę, jej niepodległość i ustrój „burżuazyjny“,—i w końcu za rezygnację uzyskać całą Białoruś, operując stale narodami, nie powiatami: wyrzekliśmy się oczekiwanego przez Europę pojedynku doktryn za miskę soczewicy, i na haczyk naiwnej zaborczości nas dyplomacya bolszewicka ułowiła, używając od-

tań sowieckiej Ukrainy i Białejrusi do wydrążania podziemnych korytarzy pod naszymi kresami.

Należało nie brać Wołynia i oddać województwa Tarnopolskie oraz Stanisławowskie, gdy pokój zdecydowaliśmy zawrzeć w układzie sił, na odbudowę Ukrainy nie pozwalającym, przeprowadzając z nią granicę trwałą, możliwą do utrzymania oraz nie budzącą ciągłego niepokoju sąsiedzkiego ni kłopotów wewnętrznych. Ale żądać powinniśmy byli Białejrusi w całości. To znaczy nie tylko Mińska. I nie tylko granic Dźwiny i Dniepru, których żądało u nas wielu. Przekroczyć trzeba było Dźwinę i przekroczyć Dniepr, by w całym górnym biegu po obu brzegach zostały rzekami polskimi, więc z Połockiem, Witebskiem, Mohylewem. Nie należało tu poprzestawać i na sakramentalnej granicy 1772 roku. Jakkolwiek bowiem przyzwyczailiśmy się przez lat sto pięćdziesiąt wiązać z nią pojęcie Rzeczypospolitej, pamiętamy wszakże, że nie stanowiła już wówczas bynajmniej konsekwentnego wykończenia naszego rozwoju dziejowego. W istocie dokonany na Polsce był w latach 1772—1795 drugi szereg rozbiorów, ostatecznie ją z mapy politycznej usuwając, ale był poprzedzony logicznym przygotowaniem przez ich seryę pierwszą jeszcze w wieku XVII, pozbawiającą nas Inflant, lenna pruskiego, lewobrzeżnej Ukrainy i wschodniej Białejrusi,—zasadniczem na wszystkich frontach Rzeczypospolitej cofnięciem się, osaczeniem i podminowaniem, zagładę jej przesądzającym. Więc i tę stratę należało powetować. Żądając Białejrusi, powinniśmy się byli podjąć urzeczywistnienia ideału narodowego Białorusinów, jak swojego, nie mogło być dla nas przeto obojętne, czy ją bierzemy do Mińska, czy też do Dniepru, czy do granicy przedrozbiorowej i t. p., lecz twardo trzeba było domagać się rubieży jej etnograficznej, ze stanowczością całą i bezwzględnością upominając się o całą Białoruś. Skorośmy przeświadczeni byli wobec zmiennych wojny kolei, że sprawa ukraińska nie jest na czasie, mogliśmy nie brać ani piędzi ziemi za Bugiem, ale musieliśmy wejść do Smoleńska!

Wówczas dopiero osiągnęlibyśmy tak przez wielu upragnioną „wspólną granicę“ już naprawdę z Rosją, od której wciąż jesteście dalecy. Szłyby północną rubieżą gubernii Witebskiej, nadto południową nam część przykrawając Pskowskiej, Dnieprem od źródeł do zwrotu ku zachodowi, stąd wschodnią granicą gubernii Smoleńskiej i zawierając cztery powiaty północne Czernihowskiej (według przedwojennego podziału administracyjnego) do Dniepru, a odeń Prypecią i południową Mozyrzczyzny rubieżą do dzisiejszego polsko-sowieckiego kordonu*).

*) p. mapa etnograficzna Białejrusi prof. Karskiego, rosyjskiego rektora uniwersytetu Warszawskiego.

Korzyści pokoju, na takim zawartego sprawy uregulowaniu, są nadto oczywiste. Granica ta, jako etnograficzna, jest naturalną, wyróżnioną będąc zresztą na północy pojezierzem inflanckiem, na wschodzie tak zwaną bródzłą środkowo-rosyjską (która w istocie jest tedy nie środkową, lecz graniczną), a na południu bardziej jeszcze jaskrawym przedziałem Polesia, naogół bowiem narodowość każda zamieszkuje obszar, mający pewne zespolenie geograficzne oraz mniej lub więcej wybitne odgraniczenie od innych, gdy obecna rubież nasza wschodnia jest geograficznie oraz etnograficznie przygodna i może być posuwana tak na zachód, jak i na wschód, bez ubliżenia jej logice. Z naturalności granic wynika ten zysk polityczny, że po stronie sowieckiej nie zostawałoby żadnych atutów białoruskich, coby przeciw nam wyzyskiwane być mogły, czyli że los Białejrusi z naszym byłby związany zupełnie, i drugi, że wreszcie Rosya sąsiadowałaby z nami swoim obszarem etnograficznym, coby zapewne chłodziło jej zapęły zaborcze, w których dotąd nie często ryzykowała wojnę na terytorjum własnem. Gdy więc w lipcu 1915 r. nasi oryentujący się ku wschodowi politycy pytali, jak rozumieć niebronienie Warszawy, w odpowiedzi słyszeli, że do Kaługi daleko.

Zato wprawdzie od strony Ukrainy graniczyłyby Sowiety równie bezpośrednio z obszarem etnograficznym naszym. Atoli oprócz, zamiennych zresztą, niekorzyści sytuacji takiej, mapa przekonywa i o niejakich jej zaletach. Mianowicie Ukraina sowiecka odcięta jest dziś od nas prostą ścianą od zachodu, wtłoczona przez to całkowicie w skład Rosyi i związek z nią gospodarczy. Konfiguracya zaś wyżej zakreślona Ukrainę sytuuje od nas nie na wschód, lecz na południe na długiej linii od Karpat do Desny, że zaś po naszej pozostawia stronie całe dorzecze górnego Dniepru i jego połączenia kanałowe z Wisłą, Niemnem i Dźwiną, wzmacnia naszą pozycję ekonomiczną oraz ratuje przedwojenne placówki polskie na południowym wschodzie. Nadto i politycznie Ukrainie, coby już sąsiadowała z Rosyą nie na całej granicy północnej, ale zaledwie na jej połowie, żyłoby się lżej i w okolicznościach sprzyjających łatwiejby było się wyzwolić.

Dalszym teź konfiguracyi politycznej zyskiem byłoby uregulowanie ostateczne stosunku polsko-czeskiego. Jak na początku wskazywałem, dążeniem głównym, dominującym w planach państwowych Czechosłowacyi, jest uzyskanie wspólnej granicy z Rosyą, czemu obecnie wpoprzek stoimy. Coprawda, pod wpływem propagandy madziarskiej nie uważa się u nas jej za bezpieczną, atoli wydaje się przeciwnie tak dla Czech, jak i za stanowiska polskiego raczej korzystną. Po-pierwsze, już przez to samo, że nie pozostawiałaby pomiędzy niemi i nami punktów spornych istotnie zasadniczych. Po-drugie, monopolu gospodar-

czego na Rosyę sobie nie zastrzegamy, uprzywilejowani zaś pozostaniemy, granicząc z nią nie przez Karpaty, lecz na nizinie, — natomiast monopol obrony Europy przed nią jest dla nas tylko uciążliwy. Obawiać się czynnego poparcia Rosyi przeciw nam przez Czechy niema co, gdyż pierwszy ich krok wojenny niedość, że stawia na nogi Węgry, lecz i nam nie zada za wiele fatygi. Ale też rezultat zetknięcia się Czech z Rosyą wcaleby był odmienny. Najpierw powstałby spór o Ruś Karpacką, o którą Rosya dopomniałaby się jako o ziemię ukraińską, dającą jej nadto nową granicę — z Węgrami, gdy Czechy nie chciałyby zapewne utracić granicy rumuńskiej, owej jedynej łączności terytoryalnej swej Małej Ententy. A i po ewentualnem otrzymaniu tej ziemi przyjaźń Rosyi dla braci-słowian wydałaby się wkrótce Czechom zapewne słodsza zdala, niż w sąsiedztwie, skoroby nieco dywersyi się w ich ukazało granicach, grając na sporach czeskich międzypartyjnych, zatargach czesko-słowackich, czesko-węgierskich i — czesko-niemieckich. Niebawem tedy słowianofilstwo swe gotowiby byli zwrócić ku pobratymcowi spokojniejszemu.

Dziś w dążeniu rosyjskiem ku Europie Rzeczpospolita stanowi zaporę jedyną, wprawdzie solidną, ale i kuszącą szczególnie tak nieobronnym kształtem granicy północnej, jak stanowiskiem dotychczasowem Litwy oraz bliskością niemieckich Prus Wschodnich. Gdybyśmy zaś rozszerzyli obszary północne Rzeczypospolitej, a przedział pomiędzy Niemcami a Rosyą wzrósł na szerokości Warszawy do 1.200 klm., czyli o 400 klm., to zwłaszcza przy porozumieniu z Litwą i zniknięciu Prus Wschodnich nie mielibyśmy wcale punktów słabych i szerokości nigdzie od 400 klm. mniejszej. Odsłaniając zarazem Czechy i Węgry, zapewne ku tym analogicznym z Polską, lecz słabszym przedziałom skierowalibyśmy raczej pożądaną rosyjskie. Wprawdzie nie pozwolilibyśmy im się powodzeniem uwieńczyć, ale postawiłoby to na straży tu zamiast nas jedynych całą nową — a przecie jagiellońską jeszcze — Entente'ę. I wobec Europy ukazałby się nie jakiś nieugaszony imperyalizm rzekomy Polaków, ustawicznie kłócących się z Rosyą, ale kwestye poważne, skoro i inne kraje, mające również swe stanowisko i opinię w świecie — poważniejsze od sprzymierzonych z nami tu „parweniuszów“ bałtyckich — naszym o Rosyi zaczynają przemawiać językiem-

Najdonioślejszym zaś wynikiem przyłączenia do Polski Białejrusi całej byłoby dla rozwoju naszego kraju, że ad Bałtykiem stawalibyśmy nie portem Gdyńskim zaledwie, lecz całą swoją budową geograficzną. Wprawdzie Białoruś morza nigdzie nie tyka. Ale zatacza szeroki obszar lądowy na tyłach Litwy i Łotwy. Granica obecna Rzeczypospolitej z Łotwą już stanowi — słabą niestety — przeciwagę sojuszu Litwy z Rosyą oraz podstawę do naszej polityki bałtyckiej. Atoli jest tak szczupła, że ani łatwem nie czyni wyzyskiwania jej przez

nas jako ewentualnego dostępu do morza ani nie chroni Łotwy przed jednostronną od rosyjskiego tranzytu zależnością. Gdyby natomiast cała górna Dźwina obu brzegami wchodziła w skład Rzeczypospolitej i tu szły główne z Łotwą komunikacje kolejowe, ścisły związek bałtycki Estonii, Łotwy, Litwy i Polski, wsparty podstawami gospodarczymi, narzucałby się sam przez się, dominium maris Baltici w jegoby było głównie ręką, i bandera jego cośby stanowiła w świecie.

Ongi górna warstwa litewska, stworzywszy państwo o wiele poza siedziby jej plemienne, wykraczające, przed unią jeszcze zasymilowała się z większością zaludnienia jego białoruską, Litwa więc, z Koroną się łącząc, od dworu książęcego do dworów i chat kmiecych na całym nieomal obszarze już Białoruś stanowiła de facto, i czemuż Rzeczpospolita przedrozbiorowa jak nie związkiem w istocie ówczesnej polsko-białoruskim była, co przez lenno pruskie oraz kurlandzkie i Inflant wejście szeroką granicą Bałtyk od wschodu południowego opasał? Nic tedy nowego w całej powyżej koncepcyi przedstawionej niema, prócz nawiązania do Polski doświadczeń dziejowych tudzież ich z rzeczywistością obecną, jej procesami i potrzebami trzeźwego zestawienia. Aczkolwiek wyznaję, że droga myślowa autora z założeń tylko polityki aktualnej wychodziła, gdy wszakże szukała skutecznych z jej zawilosci wyjść do bytu państwowego trwałego, co mu gwiazdą był przewodnią i woli nakazem najpierwszym, niepostrzeżenie zawieść musiała snadź na tory, przez pokoleń niepodległych wysiłek konsekwentny stworzone. I związek polsko-czeski, Śląska broniący, w ewentualności pewnej polsko-węgiersko-czeski o szerszym zadań zakresie, i Prus krzyżackich wspólnem Litwy a Polski działaniem uzależnienie, i z Inflantami przyjaźń w ich postaciach obecnych, i z Ukrainą szukanie mozolne współżycia zgodnego, i z Białorusią związek ścisły państwowy, i Moskwy do granic narodowych odepchnięcie, — czyż to nie są nakazy konieczności dziejowych Polski kwitnącej, nawiązanie do podwalin polityki jej, przez klęski wieku XVII przeciętej, — nie szczegóły na wyrwykę z przeszłości wybrane, lecz nieć to jej historii czerwona, pokolenia obowiązująca? Wprawdzie nie jest tradycya argumentem naszym — ani dla obcych, wśród których ją w myśl pobudki vae victis oszkalowano, ani pomiędzy sobą, gdyż nam przez pryzmat rozbiórów nie imponuje, — ale na nią spójrzmy jako na rozkwit dziejowego, nie klęski, przyczynę i jako na owoc twórczości rodaków w wolności zrodzonych — oczami ludzi, pomnych, że nasze myślenie znałogowane kajdanami tylekroć w grzechu narodowym brnęło. Zaiste odrestaurowalibyśmy już ją byli w sobie, gdybyśmy się nie wychowali przed wojną w rozważaniach, jak się bez niepodległości obyć i czyj ucisk znośniejszy, lecz jak ją zdobyć i jak zabezpieczyć. I odrestaurowemy napewno, jeżeli nie

o tem, jak się skurczyć, by się nie narazić nikomu, lecz jak skrzydła rozpostrzeć, by nam nikt wejść w drogę nie zechciał, myśleć będziemy myśl wolnych.

Rzeczpospolita tedy powinna była być pomyślana, jako związek Polaków i Białorusinów w jedną organizację polityczną. Nie uczyniwszy tego, wzięliśmy nazwę państwa przedrozbiorową, nie przejmując jej treści, która oznaczała rzecz wspólną Polski a Litwy, nie zaś republikę w jej znaczeniu przeciwstawnem do monarchii. Wszakże i dziś bowiem, tak w celach samoobrony łącznej, jak osiągnięcia powagi międzynarodowej, analogiczne zacieśnienia więzów są wcale aktualne, jak np. Czesi tworzyli mądrze Czechosłowacyę, a w ten sposób i dla rozwoju gospodarczego znaczny zdobywali obszar, i wagę swą polityczną podnosili w świecie, i od jednostronnej zależności ewentualnej we względach tych od Niemiec się wyzwali. Niczem innym w konstrukcyi swej nie jest i królestwo S. H. S., Serbów, Chorwatów oraz Słoweńców, zjednoczonych pod dachem wspólnym Jugosławii. Oczywiście jednak zrzeczenie się takie wkłada na organizatorów poważne ciężary. Żle jest, jeśli wypacza myśl w nazwach państwowych zawartą, zamiast związku równego, jak np. estońsko-łotewski, powołując w istocie aparat do supremacji narodowej nad sojusznikiem słabszym, co odzwierciadla się ponoć w budowie czeskosłowackiej. I u nas cprawda stosunek połów Rzeczypospolitej nie byłby równomierny faktycznie, a nie zachodziłaby potrzeba przypuszczalnie ukrywania tego na wzór czeski za pomocą zmiany nazwy narodu lub kraju. Atoli w państwie tak pomyślanem obydwaj języki musiałyby być równouprawnione bez zastrzeżeń w urzędowaniu a obydwaj społeczeństwa we władzy. Wprawdzie nie należałoby organów centralnych myśleć jako odrębnych dla Polski oraz dla Białejrusi podobnie do Austro-Węgier, Sejm zaś raczej wystarczyłby jeden, jak w dawnym ustroju polskim, bo nie o federacyę chodziłoby tu, lecz o współpracę trwałą obu narodów, jedynie wśród władz wykonawczych rozdział byłby zapewne czyniony, — są to szczegóły zresztą, chodzi o zasadę współdziałania szczerego Białejrusi a Polski, co w ustroju wewnętrznym, szkolnictwie, prawach językowych, reformie rolnej wyrazby miało znaleźć. Boć jasne, że gdybyśmy przenosili w tej organizacyi interes warstwy ziemian bo nasi nad dobrobyt ludu bo obcy, subsydyowali awanturników do tworzenia orientacyi polskiej na Białejrusi, wykrawali sztucznie okręgi wyborcze, większe na jeden mandat tam, mniejsze u siebie, faworyzowali urzędników swoich i t. p., zamiast patriotyzmu ludności osiągnęlibyśmy nieufność lub wrogość. Prasa tameczna bynajmniej nie powinaby była być białoruskiem wydaniem polskiej, niechby i prądy odzwierciadlała antypolskie, jak na Węgrzech przed wojną przeciwaustryackie nieraz, a prawda niechby w starciu opinii zwyciężała, nie zaś przez sito cenzury. Nie dziwny się, że radykalniejszy od nas

Białorusini byli, jako warstwa ludowa, broniąca się nadto przed wpływami gorszego radykalizmu ze wschodu. A nie obawiajmy się, że nie sprostałoby zbyt inteligentnym obowiązkom państwowym, za szczupłą tworząc grupę oświeconą, — nie święci garnki lepia, i Albania ma ministrów, i myśmy mieli różnych, więc i tamby się znalazło na ministra oświaty nie jednego nieukwalifikowanego nauczyciela. Posiadają pisarzy, profesorów, pomocby polską utrzymali miejscową lub importowaną, i kler nie niepodzielnie tam jest rosyjski,—a zaznaczmy, że autokefalia zyskiwałaby wówczas wszelką rację, jako kościół narodowy, nie zaś dzisiejszym wzorem wyłącznie państwowy lub w najlepszym razie narzędzie jeszcze jedno do ukraińskiej nad Białorusinami supremaecyi.

Oczywiście zdobycz taka, coby jej niewolno było chociaż z gruba napocząć, godziłaby w nasze upodobania odziedziczone po zaborcach centralistyczno-unifikacyjne — i nie każdy chciałby z nich rezygnować dla kraju, który Rosya uważała dla siebie raczej za ciężar ze względu na bilans jego bierny. Lecz właśnie oparta o działalność samodzielną żywiołu miejscowego, odgraniczona od rynku surowcowego wschodniego, zespolona z Polską przemysłową, związana z portami państw bałtyckich, Białoruś napewnoby się okazała czynnem dla nas uzupełnieniem, dobrze wyzyskującym swe zboże i len, lasy i ryby, a nadewszystko komunikacye wodne, skarby dla nas bezcenne, przyczyniając się do intensyfikacji gospodarstwa i dobrobytu ludności.

XXVI.

Czy wszakże rozważania poprzednie wytknęły istotnie błąd traktatu ryskiego? czy linia graniczna, obejmująca Białoruś całą, była rzeczywiście podówczas do osiągnięcia?

Wtedy niewątpliwie musieliby na nią bolszewicy przystać. Na to są liczne dowody. A godząc się, upatrywaliby w niej i swój pożytek narówni z nami, jak ciągną dziś z podyktowanej w naszym interesie państwowym granicy szczególne korzyści polityczne dla siebie. Bolałoby ich niewątpliwie oddalenie od Niemiec i Litwy oraz utrudnienie najazdu na Łotwę, jak również pozbawienie atutów dywersyjnych na Białejrusi: przecież nawet w walce z Rumunią o Besarabię z drobnych skrawków wołoskich, po ich stronie Dniestru pozostałych, utworzyli specjalną republikę sowiecką. Rozumieliby tedy dokładnie osiągnane przez nas korzyści. Natomiastby dostrzegali rekompensatę znakomitą w cofnięciu się naszym z Ukrainy. Za zysk uznaliby samą zdobycz terytoryalną, jako otrzymanie monopolu na politykę ukraińską, ponieważ doskwierały im tego nasze z Petlurą związki. Zwłaszcza zaś dogadzałoby im wejście na nowy teren wschodnio-galicyjski*), tak dla bogactw, w jakie województwo Stanisławowskie obfituje (za co dostawalibyśmy teren wprawdzie rozleglejszy, lecz uboższy bez porównania), jak dla oddzielenia nas od Rumunii, a swojej z Czechami i ewentualnie z Węgrami łączności, jak wreszcie dla momentów prawnych spadkobrania poaustriackiego, któreby ich do Europy wprowadzało: nowe drogi, nowe kontakty, nowe horyzonty! Byłoby gdzie wodę mąci z pomocą Szmerala i Beli Kuhna.

*) Tu zresztą za duchem Wersalu nasuwały nam się objekcje prawne, boć trudno, by państwo zwyciężone powiększało w którymkolwiek punkcie posiadanie dotychczasowe. Moment bezwartościowy, gdy się patrzy na zawarcie pokoju ze stanowiska trwałego układu następných stosunków sąsiedzkich.

Przeciwnie, granicę północno-wschodnią obecną należy podobnie do południowo-wschodniej uznać za niemożliwą. Nie stanie się ona naszą rubieżą etnograficzną, a nie rozwiązuje i kwestyi białoruskiej, jedynie ułatwiając Sowiетom wyzyskiwanie jej przeciw Rzeczypospolitej, co wytwarza z niej w stosunkach wewnętrznych wieczny wrzód piekący, w zewnętrznych teren strategicznie ślizki, zwłaszcza, że stanowiąc o największym przedziale ich od Litwy i Niemiec, magnetyzuje je więcej, niż kresy południowe, — tu więc szedł atak ich z r. 1920, tu więc i obecnie jest ich główny teren dywersyjny. I nadal strzegąc się kto wie czy nie śmiertelnego sztychu w plecy na wypadek niemieckiego ataku, broniąc zwłaszcza zagrożonego do Bałtyku dostępu, tu się zdecydować musimy na politykę mocnych posunięć, a przeprowadzić je szybko, zanim się front przeciwległy ruszy. Nie poto, żeby sympatye pozyskać Wielkiej Brytanii, bo te może przerwać powrót do rządów Labour party, lecz by wykorzystać jej front antyrosyjski obecny do dopilnowania tu interesów państwowych własnych oraz odroczenia ową akcją wschodnią napaści krzyżackiej.

Nie może celem tej akcji zostać odgrodzenie się Rzeczypospolitej od Rosyi Białorusią niepodległą, jak na południu Ukrainą. Błędem i tu byłaby ich identyfikacja. Sprzyjając wyzwoleniu Ukrainy, nie powinniśmy z nią pragnąć nawet federacyi, jedynie gwarancyi konkretnych przed połączeniem się z Rosyą ponownem, by się jednak sama broniła, nie zaś na nas składała ciężar walki zewnętrznej, sama uprawiając wewnętrzną — z nami. Natomiast bufor białoruski byłby szkodliwym złudzeniem, coby ani nas ani ewentualnie Ukrainy osłonić nie zdołał. Żandarm Europy, chociaż przemundurowany, musi w otoku mieć silną strażnicę wolności, ażeby nie powsadzał kolejno wszystkich sąsiadów do swego więzienia i nie zburzył następnie tejsze strażnicy. Granica Rzeczypospolitej mocnej i czujnej z Rosyą wspólna jest gwarancją naszego pokoju i krokiem do trwałej Wschodu pacyfikacyi, o ile tylko osiągnąć zdołamy pomiędzy nią a Niemcami przedział dostatecznie szeroki. Innymi słowy, czegośmy nie uzyskali w Rydze, pozostać powinno naszym celem nadal: Białoruś.

Wprawdzie uczyniliśmy wszystko, co było w mocy naszej, ażeby stworzyć sobie z Białorusinów wrogów, a więc by i kresy północno-wschodnie swoje przy nadarzającej się sposobności utracić. Czyli podarować Sowiетom, bowiem Białoruś niepodległa ani w walce na dwa fronty, ani wogóle inaczej jak we wspólnej z Polską organizacyi państwowej nie powstanie. Istnieje zależność bezwzględna od siebie krajów obydwóch: bez Białejrusi wolnej nie ma trwałości byt państwowy Polski, a tylko Polska mocna jest Białoruś wyzwolić. To znaczy, że pomimo szkód, wyrządzonych przez nas sobie tu w latach ostatnich,

należy front ten natychmiast radykalnie ratować, póki się jeszcze ocalić da, czyniąc by nie tylko chciał z nami współżyć, ale by Białoruś zakordonowa również do tego całem jestestwem dążyła.

Wymaga to z naszej strony oczywiście odpowiedniej polityki wewnętrznej na kresach północnych. „Szesnastkę“ od tego więc końca jest słuszniej „rozsadzać“, niżeli od żydów. Pomimo, iż Białejrusi posiadamy za ledwie skrawek, niedość tam jednak rozpocząć jakiegoś kursu względnie liberalnego, w najlepszym powodując razie zmianę orientacyi ludności z niechętną na wyczekującą.

Polityka ustępstw poszczególnych, właściwa konserwatyzmowi, jest złą podwójnie. Po-pierwsze dlatego, że nie tylko nie tłumi nastroju opozycyjnego, lecz trzyma go właśnie w napięciu stałem, zachęcając powodzeniami do upominania się tem energiczniejszego o ustępstwa dalsze, czyli do walki burzliwej kontynuowania, a więc celu swego nie osiąga. Po-drugie, wypuszcza z rąk inicjatywę ustroju państwa, oddając ją faktycznie w ręce żywiołu opozycyjnego, na którego żądania coraz się go przeobraża, gdy przecież obóz panujący o tyle jest wartościowy, o ile przoduje w samodzielnej twórczości, w wykonywaniu swego planu organizacyjnego, nie w hamowaniu lub uwzględnianiu cudzych. Innemi słowy, w sprawie kresów białoruskich powinniśmy wyrobić sobie program i bez zwłoki go w całości w życie wcielić. Że obszar to niewielki, a ludność posiada nieliczną, w państwie szanującym wolność i ubiegającym się o przywiązanie obywateli to nie stanowi. Fakt, że mamy w łonie swem teren narodowościowo odrębny, sam przez się wystarcza, by go albo odosobnić w zarządzie specjalnym, albo z nim łącznie wytworzyć organizację dwunarodową. Ponieważ znajduje się na drodze naszych wielkich zainteresowań gospodarczych i trosk politycznych, izolacja (np. autonomia) byłaby raczej szkodliwa. Pozostaje równouprawnienie, oczywiście nie w znaczeniu „mniejszości“ (termin oparty na uzależnieniu uprawnień od liczby obywateli, zgoła dziejom Polski obcy), lecz współgospodarza kraju. Sam przez się słuszny, staje się postulat ten nieodzownym i aktualnym, skoro zważymy, iż dotyczy forpoczt na rubieży polskiej najgroźniejszej dla samego bytu Rzeczypospolitej oraz kierunku jej rozwojowego, ukazującego wielkie obszary i liczby ludności zakordonowej.

Brzmi to radykalnie i być może przekracza faktyczne aspiracye białoruskie. Stojąc wszakże nie na ich stanowisku, lecz na własnem, należy Białorusinów wciągnąć odrazu i szczerze do całkowitej z nami współpracy państwowej: język (w grafikach ąbu) równouprawnić we władzach centralnych jako drugi urzędowy; w skład rządu, opartego w zasadzie na ugodzie z klubem sejmowym białoruskim, w każdym razie powołać ministra-rodaka dla kresów północnych, oczywiście Bia-

łorusina, z kompetencją tą mniej więcej, co miał minister b. dzielnicy pruskiej — mianowania urzędników, zarządu szkołami, wykonania reformy rolnej; zorganizować powszechnie o szerokim zakresie samorząd i t. d. Niech tam zawre natychmiast gorączkowa praca narodowa pod auspicjami Rzeczypospolitej w ramach ograniczonych tylko wspólnością zarządu państwowego*). To już będzie wzmocnieniem naszej granicy północno-wschodniej, Sowieców robocie burzycielskiej na kresach grunt usuwając, jednając nam oprócz zaufania innych sąsiadów pomniejszych sympaty za kordonem białoruskim i przeto zbliżając do osiągnięcia właściwego programu terytoryalnego. Cel ten wart poświęcenia do pewnego stopnia formy jednolitej narodowej naszego zarządu państwowego, gdy pamiętać będziemy, że regulacja granicy wschodniej stanowi dla nas wobec każdego niebezpieczeństwa zewnętrznego zadanie równie doniosłe, jak sprawy Śląska górnego i Prus wschodnich, wzajemnie a logicznie z niemi ze wspólnych założeń politycznych w jeden całokształt pracy obronnej się łącząc. Kto wie, czy Sowiety, gdyby nie tylko nam nie mogły kresów burzyć, lecz raczej u siebieby miały trudności zarządu, nie poszłyby dobrowolnie z okazji jakiegoś lokalnego paktu bezpieczeństwa i t. p. nawet na zamiany terytoryalne, rewidujące postanowienia graniczne traktatu Ryskiego? Bo dziś, gdy są pewne, że tak Białoruś nasza, jak Ukraina muszą lada chwila wpaść w ich ręce, niema o tem mowy. I dla nas, gdy Polacy z za kordonu białoruskiego głosu nie mają, z naszego zaś Wołynia i Rusi Czerwonej są wpływowi, trudnoby było decyzję taką powziąć.

Zgoła w porównaniu z tem projekt odmienny a niewybredny światał nam sporadycznie: była to dążność do ograniczenia terenów widocznie trudnych do zjednania, to jest zarówno białoruskiego, jak ukraińskiego, przez przedzielenie ich narodowością nową — poleską. W spisie ludności, przez zarząd cywilny przeprowadzonym, mieszkańców Polesia podawano przeważnie jako „tutejszych“, choć nomenklatura ta właśnie tu nie jest używana potocznie, raczej pod Wilnem, gdzie też zanika. Kreując województwo Poleskie, widocznie sądzono, że co się doń włącza, przestaje przez to samo być białoruskiem lub ukraińskim, dodano więc sporo okolic, zwłaszcza od południa.

*) Dla uproszczenia pracy powinien być wwdrębiony teren białoruski Rzeczypospolitej w składzie a) województwa Poleskiego po oddzieleniu powiatów Koszyrskiego i Sarnańskiego do Wołynia, powiatu zaś Brzeskiego do województwa Białostockiego; b) województwa Nowogródzkiego; c) części wschodnich ziemi Wileńskiej oraz d) powiatów Grodzieńskiego i Wołkowyskiego województwa Białostockiego. Obszar ten mógłby stanowić jedno lub więcej województw Rzeczypospolitej z wojewodami — Białorusinami na czele. Stolicą faktyczną naszej Białejrusi zostałyby zapewne Grodno, bo takeśmy chytrze w Rydze postąpili, rezygnując z Mińska, że zato przysunęliśmy ośrodek białoruszczyzny naszej ku samej rubieży Polski etnograficznej!

Poleszucy istotnie mówią gwarą przejściową i rzeczywiście nie mają wybitnej świadomości narodowej. Wytworzyć wszakże z nich narodowości odrębnej się nie da. Któż ją do życia powoła? juści nie urząd wojewódzki. Ani wogóle nie my, różni wiarą i nie mający w ludzie tamecznym korzeni. Chyba inteligencja miejscowa samorzutnie powstająca zeń odczułaby i krzewić ją odrębność jego, a w tym razie zajęłaby względem nas zapewne front wspólny z Ukraińcami oraz Białorusinami. Wszakże i po temu brak podstaw. Raczej przyłgnie do którejś z narodowości pokrewnych językiem, wiarą, warunkami życia. Nie spolszczy się napewno. W warunkach panowania rosyjskiego możeby się zrusyfikowała. Najpewniej zaś, że o Polesie rozegra się walka narodowa pomiędzy Ukraińcami a Białorusinami. Dzisiejszemi granicami Polesia sprzyjamy tu zwycięstwu Ukraińców, licznych pod Brześciem, silnych w powiatach przyłączonych z Wołynia, mających więcej inteligencji i sił do ekspansyi. Jak wiadomo, Niemcy również oddali im całe Polesie według traktatu brzeskiego. Wydaje się zaś, że życzyć sobie tu powinniśmy właśnie rozszerzenia granicy polsko-białoruskiej, jako spokojniejszej w każdych warunkach od polsko-ukraińskiej, czyli dopomódz Białorusinom, a więc odłączyć od Polesia powiaty zdecydowanie ukraińskie, pozostałe integralnie spajając z kresami wyraźnie białoruskiemi.

Różnica, uderzająca w potraktowaniu zalecanem tu spraw ukraińskiej a białoruskiej, ma swe głębokie uzasadnienie. Nie leży bowiem oczywiście w interesie naszym wspólny front przeciwpolski obu narodowości, siedzibami naszymi wspólny front przeciwpolski obu narodowości, siedzibami swemi prawie całe nasze ziemie wschodnie ogarniających. Gdy zaś przedjednania kresów południowych dokonać nie jesteśmy w stanie, należy przychylić do siebie przynajmniej północne. Postępując przeciwnie, popychamy je do wzorowania stosunku swego do państwa na Ukraińcach, a że słabsze i mniej zaludnione—w zamiarze mniemanego podporządkowania ich sobie, faktycznie poddajemy je supremacyi południa, front ukraiński rozciągając sobie od Prutu do Dźwiny.

Absurd ten jest u nas odczuwany. Ale mu się przeciwstawić nie umiemy. Stojąc bowiem na stanowisku państwa narodowego, w którym mniejszości znalazły się jedynie dla braku zwartości terytorium naszego, czynimy z tego charakteru Rzeczypospolitej niechętnie ustępowania dopiero w miarę konieczności, to znaczy tak energicznych wymagań się którejś mniejszości, że je dla spokoju wewnętrznego uważamy za bezpieczniejsze uwzględnić. Cofać się tedy musimy przedewszystkiem przed Ukraińcami, jako najbardziej nieprzedjednanymi. Każde zaś ustępowstwo im poczynione zachęca oczywiście do żądań analogicznych mniejszości inne, wypada tedy traktować je ryczałtem, jak w ustawie Thugutta, a więc utrzymywać jednakowy ich poziom uprawnień, czyli

w konsekwencji i wspólny względem państwa front. Ze stanowiska polityki pasywnej jest to do tego stopnia złe konieczne, że się uważa ponad zwykłą logikę ludzką, by większe udzielać koncesyje mniej żądajacemu i naodwrot. Tymczasem jest to zupełnie jasne i logiczne, że jeżeli się ma kilku przeciwników, z których zespołem dać sobie radę trudno, trzeba przejednać tych, co się da, uwzględniając ich żądania w pełni, czyniąc ich z przeciwników sprzymierzeńcami, obronę zaś tem potężniejszą podjąć przeciw pozostałym, żądającym tak wiele, iż do ugody z nimi dojść niepodobna. Nie inaczej czyniliśmy, koronując litewskiego księcia i w ten sposób przygotowując Grunwald. I dziś rząd pertraktuje z żydami, jakkolwiek słabsi od Niemiec, których żądania terytoryalne oraz klauzule polityczne do traktatu handlowego odrzuca. Więc i tu, skoro przystając na domagania się Białorusinów nie rozsadzamy państwa, lecz dlań zdobywamy większe oparcie, gdy uwzględnienie żądań ukraińskich w pełni jest dla nas niepodobieństwem,—oczywista tedy, że przejednanie ich jest koniecznością państwową, jak z drugiej strony również obrona przed przesadnymi roszczeniami terytoryalnymi Ukraińców.

Niech się nam jeno nie zdaje, że dokonanie jakiegoś jednego posunięcia z szeregu koniecznych jest wystarczające. Że np. jeżeli zapewnimy sobie poparcie któregoś z wielkich mocarstw, to już możemy spocząć na laurach, nie regulując sporów granicznych i zatargów wewnętrznych. A potem narzekać, że nas wyprowadzono w pole, jak Prusy w drugim rozbiore, Rosya po kongresie Wiedeńskim lub Napoleon III za powstania styczniowego. Trzeba być silnymi na miejscu przedewszystkiem. Gdy więc zdecydujemy się na tę czy inną politykę względem Rosyi, nie wzmacnia to nas jeszcze we wschodniej Małopolsce i nie zezwala już się nie rachować z Litwą, czyli i tu konieczne są kroki, umarzające lub łagodzące przeciwstawne nam fronty. A jeżeli chcemy iść na pewne ustępstwa względem Ukraińców, myśląc, że wśród nich się za pomocą półśrodków wytworzy nastrój ugody, nie wynika z tego, że już nie warto brać pod uwagę mniej licznych Białorusinów, rzekomo skazanych na wynarodowienie się. Nie wiedząc w swej sytuacji groźnej, jakiego ciężaru sprawa przechyli szalę na korzyść naszą lub niekorzyść, przez samą ekonomię czasu, którego mamy niewiele, musimy jednocześnie i konsekwentnie wzmacniać wszystkie placówki sposobami stosunkowo w najkrótszym okresie najbardziej skutecznymi. O ile więc postawimy Białoruś naszą w sytuacji szczególnie korzystnej, to nie tylko przerwiemy jej naśladownictwo frontu ukraińskiego, ale kto wie, czy nie zredukujemy go do aspiracyi wzorowanych na uprawnieniach białoruskich, gdy będzie widoczne, że nie rządzą się ślepym nacjonalizmem? Przecież i w okresach ubiegłych Litwę równoupraw-

nialiśmy z Koroną, względem zawsze bardziej odrębnych ziem ruskich tak dalece nie idąc, — i te w rezultacie, o ile ze stanowiska nieprzedjednanego schodziły, żądały uprawnień analogicznych do Litwy. Innemi słowy, odpowiednie posunięcia na Białejrusi ułatwiają naszą pozycję i na kresach południowych.

Wogóle na tym skrawku ziemi, mimo iż stanowią Białorusini za ledwie 5% ludności państwa (ale i zamieszkują dwa rozległe województwa na ogólną liczbę szesnastu), skupiają się jak w soczewce losy polityki naszej i jej kierunku, których jest on próbnym kamieniem. Prócz niepoślednich walorów moralnych — wewnętrznych, w znaczeniu nagięcia doktryn naszych do rzeczywistości, oraz zdobywanych poza krajem, w postaci zaufania ludów, — tu przede wszystkim zdolniśmy osiągnąć podstawy znaczenia politycznego przekraczającego, nasze siedziby narodowościowe: mocne oparcie o Bałtyk, olbrzymie przedzielenie Niemiec od Rosyi, — ustalając już przez to samo określoną linię własną w polityce światowej i w niej zajmując odpowiednią pozycję. Że zaś nie jest kaprysem dla nas stanowić mocarstwo, którem przeciwnie być powszechnie nie chcemy, choć z założenia jesteśmy, — lecz koniecznością, bowiem w sytuacji naszej musimy być potęgą żeby być, — więc dopiero w następstwie tej polityki „wielkiej“ wzmacniamy się od wewnątrz kraju na froncie państwowo najdonioślejszym — Pomorza i Śląska. Skandynad zaś jej niepodobna rozpocząć, na innych placówkach jeno do samoobrony zmuszonym, tylko na Białejrusi, gdzie rachować wolno jeszcze na osiągnięcie powodzeń zasadniczych za pomocą środków bardzo prostych: posunięć, oczywiście wytrwałych, które charakteru państwa na przeważnym obszarze nie modyfikując, urzeczywistniają w pewnej jego części rząd normalny, uzgodniony li tylko z elementarnemi postulatami demokracji. Najbardziej zaś szowinistycznie usposobionych polityków naszych niech zastanowi, że o ile postępowanie dotychczasowe Rzeczypospolitej w Małopolsce wschodniej gruntuje się w części na mniejsza czy nieomylniej opinii Polaków tamecznych, to na Białejrusi absolutnie poparcia ich nie ma ani w tradycji ani w terażniejszości, (jak wskazują wybory sejmowe: na palcach się rachuje wyjątki. Różnice kulturalne pozostaną oczywiście, ale tembardziej, wciągając lud tameczny do szczerzej z nami współpracy, skłaniamy go siłą rzeczy do wzorowania się na urządzeniach polskich przy zachowaniu odrębności oraz samodzielności, — biorąc zarazem do całokształtu tę wartość, co on jako wiano swe wnosi.

Tu więc jest początek logiczny akcji naszej. Stąd wyłaniają się zagadnienia dalsze — stosunku polsko-rosyjskiego, a na tem tle i zajęcia stanowiska w polityce europejskiej, rozwiązania kłopotów litewskich i ukraińskich, regulacji spraw bałtyckich, przerzucenia zdobywanych na wschodzie korzyści na wzmocnienie frontu zachodniego, polityki wzglę-

dem Austrii i Prus książęcych, związków z Węgrami i Czechosłowacją. Bo jest to kłębek powiązany misternie, wystarczy wszakże pociągnąć go za początek, ażeby się rozwinął cały, nie płacząc się w węzły. W wyniku zaś, pokojową idąc drogą polityki energicznej, celów jej wiele osiągnąć zdołamy, gdy zaś nieuniknionym okazując się wybuchnie nowy orkan, nie zaskoczy nas, bo wiedzieć będziemy, jak się ratować i do czego dążyć.

XXVII.

Toczy się koło historii. I w innych, nowych punktach drogi wyciska po pełnym obrocie ten sam znany dawny ślad. Rzekłbyś, cóż znaczy wola ludzka, świadomość, czyn, gdy nie utrafia w kolej, na której predestynowanie tyle się czynników składa? Wbrew spontanicznej fali dziejowej nic nie działywały wysiłki bohaterskie pokoleń ostatnich Rzeczypospolitej gasnącej. Czy szukać ich winy, gdy myśl ich się wyla daremnie, a krok każdy dodatni czy ujemny jednakowo się obracał na niekorzyść i zawsze coś musiało wewnątrz czy też z zewnątrz nie dopisać? Zostały jeno tradycje piękne poświęceń, bohaterstwa, rozumu... I wyrzyło koło fatalny ślad głęboki roku 1795-go. Zdało się, iż gorzej być już nie może — nie, dalej druzgotało nadzieje, łamało charaktery, wniwecz obracało czyny, dobre zamiary w złe skutki, pomysły konjunktury w wynik feralny. I zaznaczyło ślad kłeski powstania, nocy najciemniejszej na całej Polski przestrzeni.

Lecz odtąd jak gdyby punkt nasz na kole dziejowem wznosić się zaczął i promień wschodu świtać. Tu ucisk zelżał, ówdzie nawet wzmógł się, ale świadomość i opór poszedł w masy, tam się wysiła dalej, lecz nic dokazać nie zdolen. A wszystko, co do niedawna było przeciwnika krokiem skutecznie depcącym nas, stawać się zaczęło dlań błędem, na korzyść naszą wychodząc, nam sił przysparzając: czy tak postępował czy owak, bliżej byliśmy wolności. I my, przecież pociemku jeszcze i poomacku, jakiebądź poczynili poruszenie — nierozumne, wadliwe, w sobie sprzeczne, wsteczne, ugodowe z tym, ugodowe z tamtym, od praw własnych się odzegnujące, — bliżej byliśmy wolności. Koło dziejowe rok wycisnęło 1918.

Nielada kraj z Europy zniknął. Nie odegrał tej roli wprawdzie, co Włochy, które upadały również. Ale odegrał inną. I dziś, gdy wrócił, czy nie zdawałoby się, że szybko zdążyć będzie do niezwykłego

rozkwitu i wszechświatowej potęgi, jak Hiszpania po maurytańskiego zrzuceniu jarzma lub Niderlandy po wyzwoleniu się od Hiszpanów? Zwłaszcza, że tu, do środka Europy, punkt styczny się przenosi światów, komunikacji i wymiany centra, zainteresowania polityczne główne. Chyba tu nie brak podstaw, by zabłysnęła inicjatywa dziejowa i wielka twórczość!

Czyżby zaś punkt nasz na kole dziejowem już dosięgnął zenitu, już staczać się znowu zaczyna? czy nie znać przygotowujących się niepowodzeń nowych fatalnego szeregu tak w przypadkowym kształcie państwa, jak w trwodze naszej, bierności i braku decyzji, jak w rosnących trudnościach wewnętrznych, w coraz zaciekłej naciskającej obręczy wrogiej, w ubytku sympatyj światowych?

Widać toczące się dalej koło historii i punkt nasz, jak w dół się ześlizguje.

Regenerują Niemcy, gdy inni stoją w miejscu, i już nie mówią tonem wykrętnym petenta. Czy zapobiegając, w imię pokoju oczywiście, faktowi przez nich dokonanemu, Liga wywiera na nas nacisk (za czasów lepszych wiele uprawnień godziliśmy się poddawać wysokim orzeczeniom, swą pokojowość demonstrując) i zleca plebiscyt powtórny, czy w wykonaniu wyroku jej, czy jako *fait accompli* tracimy Pomorze i Śląsk z dokładką pewnie innych „punktów strategicznych“ paru,—może odrazu, może po stadyum zdemilitaryzowania lub umiędzynarodowienia, a Litwa przy boku Niemiec, cóż że pobita w polu, w pokoju uzyskuje czego chce za związek ścisły z Rzeszą. Wienięża się powodzeniem tym razem i rewolucye komunistyczne w Estonii i Łotwie: ale już nie bolszewizm panuje w Rosyi? tem gorzej dla nich, poprostu zajmuje je. A czy zaprowadza ktoś zmiany ustroju na wschodzie i od Ligi żąda zniesienia traktatu ryskiego, czy Sowiety ujmuja się za umyślnem powstaniem na kresach, gdy Czechy dla sprawy słowiańskiej, Niemcy dla antypolskiej przecinają transporty nasze,—walczymy jak lwy, ale jest za ciężko, i pokój czy interwencya dyplomatyczna stanowi, że gdzie prócz *n* praw nie odstępowaliśmy od jeszcze jednego, żadne nam nie zostaje. Czechy zresztą może, unieruchomione obstrukcją niemiecką, już za Węgrami spadły jak owoc dojrzały do mitteleuropejskiego bloku? W kraju zaś panować zaczyna opinia, że przewrót roku 1918-go jako zbyt radykalny musiał pomścić się reakcją, bośmy nie budowali państwa na obszarze obcych nie budzącym pożądań, i wazą się dwie orientacje,—słowiańska i zachodnia, rozumiejące zgodnie konieczności ustępstw... Czy to zresztą takby było, czy inaczej nieco i czy już o tyle podkopano grunt pod nami, że nastąpi zaraz, czy wolną, krzywą nawet, linią potoczy się nasz schyłek; czy bohatercko stawiać będziemy czoło, w warunkach zmiennych, coraz cięż-

szych zieleniąc się jednak i choć karłowaciejący dając zawsze owoc, a w ostatniej chwili zdobędziemy się — za późno znów — na coś jak konstytucya majowa, czy neotargowickie przeważą tendencje, — dalsza historia, gdy kierunek przesadzony, jest nieciekawa. Punkt nasz na kole dotyka już ziemi. I chochoł nuci tragiczną syntezę dziejową.

Z wizerunku tego trzeba zdać sobie sprawę dokładnie, przejmując niem wszystkie wołą życia tchnące organizmu swojego struny. Niebezpieczeństwo jest nieuniknione. Dziś nie Bałkan już, na razie przynajmniej, niepokój budzi, na żer rzucony rywalizacji o „sfery wpływów“ zaledwie zdala i zarzewiem wojen pozostający granicznych najwyżej. Obje k t e m głównym na przekątnych leżącym europejskich żądz imperyalistycznych jest Polska. Nie znaczy wszakże to, że być musimy jeno w nieustającego pogotowia stanie. Samoobrona bierna zamknięciemby była oczu na niedaleką przyszłość własną i jej na łaskę wirów zdaniem, boć napastnik potrafi sposobność upatrzeć, by na nas spaść jastrzębiem, zażywających w spokoju niepodległości błogiej. Niewolno nam błędów przeszłości ponawiać. Wiele się od tamtych czasów zmieniło: niema Tatarów i Turków, znikła już i Habsburgia, zato Zakon i Moskwa się wybudziały rozrosły. I misya nasza nie jest łatwiejsza niż ongi. Ale nie odpędzać jeno drapieżnika od bram swoich, by go, gdy pierza potraczone pozbiera, nową odpychać ofiarą, aż uledz. Zwierza ciemństwa i zachłanności z legowiska wypłoszyć, z zaborów jego wszystkich, nie dając mu do nich ani sposobu powrócić. Rzesza, gdyby jeszcze resztkę Szlezwiku i Śląska oraz Prusy wschodnie postradała, jużby w zasadzie się mogła stać państwem normalnem: dla praktyk wynarodawiania za-brakłoby materiału i kłyby z czasem stępsiały. Trzeba jeno, by jasno widziała, że niema dla niej możliwości najmniejszej ponowić koci skok w którąbądź stronę, że jest zamknięta w klatce nierozzerwalnej sojuszu obronnego wszystkich otaczających ją państw, w której niema żadnego wyłomu, żadnego punkciku, coby się poddać mógł gwałtownemu natarciu, nie wywołując natychmiast przycięcia łap przez obręcz bez wahania mocno ściśniętą. I w klatce tej posiedzieć musi, aż jej wywieje dokumentnie z głowy siedemsetletnia szkoła pruska, dziś w wulgarną przybrana Darwina, Marxa i Nietzschego trawestacyę, stosowana dla wprawy w międzyczasie na rodakach, pragnących kompromisu z innemi narodami, Erzbergerach i Rathenauach.

Ażeby jednak sama zasada państwa zbójckiego zaginęła, niepodobna hodować zwierza w Rosyi, więzionego w Kzeszy, dla samej choćby Niemiec pacyfikacji gruntownej, bo póki ich instynkt rabunkowy podniecany będzie przez przykład wschodni, dopóty szukać będą z klatki oswajającej wyjścia, i to my możemy się łącno okazać tą niedomkniętą furteczką, przez którą bestye obie wyjść mogą na wyprawę w stylu

swoim, by nas przedewszystkiem schrupać. Traktat wersalski istotnie zmieniał budowę polityczną świata, a raczej zmianę umożliwił. Gdybyśmy nie przeoczyli byli pewnych związków oraz możliwości i analogicznie stworzyli pokój na wschodzie, zasadniczy punkt zwrotny w dziejach Europy jużby był zaszedł. Nie odrazu dałby się poznać, jak zwycięstwo grunwaldzkie dopiero po półwieku owoce zrodziło. Gdy zaś traktat ryski — wręcz podobnie do sowiecko-finlandzkiego — wcisnął się zaledwie jako jeden z litanii faktów, przyszłość nawarstwiających o kierunku zgoła jeszcze niewiadomym i wątpliwym, pomiędzy pokój bolszewików z Litwą a ich na Gruzję najazd, tedy i od strony wschodniej trzeba stać dalej z kaftanem bezpieczeństwa w rękę. Bo Niemcy były spacyfikowanc czasem (gdy Prusy wschodnie były lennem polskiem), front zaś rosyjski istniał zawsze. Tołstoj napisał wprawdzie bajkę o narodzie „głupich Jasiów“, który rozbroił się zupełnie i pozwolił sąsiadom zabierać swe mienie. Sekretem tej apologii pacyfizmu jest, że żaden sąsiad nie ruszy nigdy ani piędzi rosyjskiej ziemi. Lecz by ta trafna na tamecznym gruncie ideologia przyjęła się, wcześniej czy później i tam dokonać trzeba jak na Austrii cesarsko-królewskiego cięcia, wyzwalającego ziemie zabrane. Jeno nie dumać nad tem, czy który naród przez Rosyę ciemiężony jest dość żywotny czy odrębny, bo kwestyą życia dla nas, by takim był, by pierścień pokoju i Rosyę otoczył. Jest to droga jedyna do utrwalenia naszego bezpieczeństwa, a przez to samo,—że to na nas są kły wyszczerzone, że logicznie pierwszym tematem musimy być wojny,—do ustalenia pokoju wiecznego w Europie. Ludzkości ideał szczytny nie jest mrzonką, jest tuż, z wolnością spleciony Polski, w naszym rękę. I ratunek bliższy niżby się zdawało, w polityce wewnątrz kraju i w bezpośredniem jego otoczeniu przedewszystkiem!

Zarzucić oczywista wolno, że konkretne posunięcia, o ile w naszej tylko władzy są, po drodze do celów, mgłą jeszcze osłoniętych, stanowią głównie rezygnacyę bądź z terytoryów, bądź z wyłączności uprawnień narodowych w państwie, z której dopiero spodziewane są korzyści dalsze, wszakże niepewne i zawodne. Gdy Tatar ambitny w „Panu Wołodyjowskim“ zalecał utworzyć z Krymu i Dzikich Pól nową wewnątrz Rzeczypospolitej organizacyę, Sobieski odpowiedzieć miał na to oryentacyą ku jego apostolskiej austriackiej mości. Zamiast więc czynu państwowego Rzeczypospolitej wzmocnienia, w miejsce arcychrześcijańskiego dzieła Tatarów pacyfikacyi, co-prawda szanującej ich odrębność religijną, wolał, że z n a k u krzyża nie znają, w wojnie utracić najprzód Tatarów, potem Podole, wreszcie kościoły Kamieńca. Czy nie słusznieszaby była rezygnacya typu tu zalecanego? Cóż bowiem w granicach swej wyłącznej kompetencyi jesteśmy

w stanie w sprawach terytoryalnych uczynić innego: jest w mocy naszej przyznać Czechom przez nich posiadaną część Cieszyńskiego, wszakże o odebraniu jej ponownem nie sami stanowilibyśmy, jeno rezultat starcia się dwu stron, i również zgody obu trzeba, by za rezygnację naszą uświadomiły sobie swą rolę „buforu“ dla Polski, tem lepszego, niż dla Francji Nadrenia, że we własnym interesie narodowym ją pełniącego. Więc oczywiście i zalecone tu formuły porozumienia z Litwą, Ukrainą, Białorusią, dając nam tylko ewentualność korzyści, z ich już skojarzonych wolą, któż ręczyłby, czy w końcu nie okazały się bezużyteczne? Drogowskazom, tu podanym, zarzutów rzeczowych postawić można zbyt wiele, wcielenie ich w życie niewolne jest od nadmiaru trudności poważnych i przeszkód. Lecz niechaj objeekcje sięgają sedna rzeczy, nie kryjąc kwietyzmu jeno: przecież nie chodzi o to, dajmy na to, czy Białoruś sowiecka opłaci naszą część Ukrainy, jeno o to, by się zbyć dwu zatargów dokuczliwych, a wzmocnić się w trzecim lub czwartym, którego uniknięcie nie w naszej jest mocy, i nie o to, by Litwinom czy Czechom dobry wyświadczyć uczynek, lecz by zabezpieczyć się przed szczelnem Polski okrażeniem od północy i o morze się oprzeć rozłożyściej. Nie czas ratować róż, gdy płoną lasy. Ze ściśniętem sercem trzeba wyciąć piękny starodrzew, by umiejscowić i ugasić ogień. Środki działania oczywiście powinni zważyć dokładnie — nietylko politycy nasi i partye — owa nieszczęsna w postaci dzisiejszej spuścizna nałogów myślowych okutych w powiciu, reduta duchowa niewoli minioniej! — to obywatele poprostu, co czują w sobie za ojczyzny losy odpowiedzialność, jak za duszy zbawienie. Ale nie ograniczać się na „zajmowaniu stanowisk“ zasadniczych i wyczekiwaniu „rozwoju wypadków“, boć w stosunku do samego powstawania granic zwłaszcza zachodnich Rzeczypospolitej byliśmy paradoksalnie nie tyle twórczymi, ile niekiedy opozycją raczej, składającą solennie protesty jedynie, — lecz wreszcie przedsięwziąć kroki, nie te, to inne, byle celowi służące. Bo sytuacje same się nie wyjaśniają, a rzeczy same się nie układają, chyba dla strony biernej i nie po jej myśli, lecz tego, co je wyjaśnia czy układa. Dostrzegamy piętrzące się nad krajem naszym skały runąć gotowe. Lecz przecież uzyskaliśmy w postaci państwa dla działalności dziejowej placówkę wielką, mamy punkt oparcia w świecie nareszcie. Więc są dla niej przestworza rozległe, ileż szersze, niż w pierwszej w. XIX połowie, kiedyśmy wszakże czynnikiem w polityce europejskiej być umieli. Sytuacja jest nadal oczywiście ciężka w porównaniu np. z Francją, wskutek tak niespełnienia postulatów narodowych, jak wobec dwufrentowości naszej, ale i pole pracy obszerne a wdzięczne, wobec istnienia ludów kresowych: wielkie trudności, ale i wielkie możliwości. Niema co rozpaczać, że wszystko stracone, ani

pocieszać się, że wszelkim sprostamy zawadom, ni łudzić się, że ratunek sam przyjdzie czy ze zjednania któregoś z frontów zasadniczych czy z mocarstw dalszych życzliwości, lecz do celów wytkniętych zdążyć trzeba, rąk nie pokładając, z zakasanemi rękawami. Więc niewolno zaślaniać się rozumowaniem bezwładnem, że za dużo czynników nieuchwytnych potrzeba wziąć pod uwagę, by niebezpieczeństwo odsunąć, bo przez to się okazać może, że te to i dałoby się opanować, lecz największą przeszkodą dla rozstrzygnięć dziejowych dla nas wskazanych jest, że zależą między innymi i od nas. Nie czyniąc nic, a nawet czynić nie myśląc prócz defensywy granicznej, nie tracimy wprawdzie do czasu ziem swoich, ale i zamykamy sobie szereg wyjść ewentualnych z pochyłości niebezpiecznej, przeto zaś — już bez ryzyka zresztą — zamiast ustępstw, w istocie swej naogół formalnych i nadmiar w zasadzie częstokroć słusznych, systematycznie gotujemy grunt dla rezygnacyi takich, co już nie tylko od nas zależne będą, a za które równoważnika korzyści najmniejszych nawet się spodziewać nie podobna.



PRZYPIŚ.

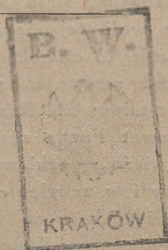
W chwili ukończenia druku broszury tej zaczynają się narady paktowe w Locarno, same przez się stanowiące — niezależnie od wyników — walne zwycięstwo polityki niemieckiej. Zapewne nie uda się jej osiągnąć już tu swych postulatów „minimalnych“ i miejmy nadzieję, że nawet względem sojuszu polsko-francuskiego pozory będą na razie jeszcze uratowane. Dodatnią stroną zdarzenia jest, że w społeczeństwie naszym następuje świadomość osamotnienia. Winimy za to Anglię, widząc w niem fakt nowy, przez nią narzucony. Atoli wygląda na to, że samotni byliśmy przez cały czas, że do wzajemności obrony Rzeczypospolitej, przynajmniej poza dostawami amunicji, Francya poczuwała się w stopniu umiarkowanym, i Anglia jedynie otworzyła nam dopiero na sytuację oczy.

Za poczuciem samotności niesłusznie więc podąża u nas świadomość osłabienia politycznego. Ta zaś, jak przewidywałem, stawia na nogi nasze stare orientacje. „Droga“ zastanawia się, jak „przebłagać“ Niemcy i zaleca, byśmy im chytrze oddali... Alzację, Brennero, Karlsbad i wszystkie kolonie, bo im zapewne wówczas nie wypadłoby już naszych ziem tykać przez samą wdzięczność (że też tego rodzaju androny może umieszczać czasopismo skądinąd poważne, i to na miejscu naczelnem, jako rzekome poszukiwania nowych dróg: toż się Niemcy dopiero obłowią, skoro jeszcze Czesi i Włosi podobnie wpadną na pomysł popierania ich na każdym froncie prócz swojego!). Chybaż Niemcy nie dlatego nas chcą okroić, że się przeciwstawiamy im, a raczej tylko ich właśnie pragnieniom zaborczym, ale dlatego tylko nas nie ruszają, że broni Polski przed tem jeszcze, jakkolwiek słabnącą, wola Francyi, Anglii i Włoch, z którą się muszą liczyć. Cóż za pomysł, żeby woli tej się przeciwstawić, zaprzęgając się przeciw nim w służbę niemiecką. Ogromnie to charakterystyczne dla ideologii ugodowych — to wzywanie najeźdźcy, by nas przed samym sobą ratował.

Inni znów radzi otwierają ramiona dla Rosyi, niechby sowieckiej. To też ani Bessza, ani króla Rumunii, ani nawet Focha nie przyjmowała stolica i prasa jej — od czasu odezwy Mikołaja Mikołajewicza — takimi nadziejami, jak towarzysza Cziczerina. Ogół uwierzył w traktat handlowy i w uchylene tym sposobem przesilen gospodaczych, na czem zawiodła się nawet Anglia. Ale w co uwierzyli politycy? Miejmy przynajmniej nadzieję, żeśmy gościa w rozczuleniu nie obdarowali jakąś gdzieś „wolną ręką“ w pobliżu, żeby go też „przebłagać“ (mówił nam przecież, że Estonię ma na pieńku z powodu... bloku bałtyckiego, to znaczy z powodu przyjaźni jej dla nas) i też przeciwko niemu skaptować na naszą stronę — jego samego.

Słuszniem w naszym zwrocie politycznym na Wschodzie upatrywał rękę Francji, która snadź i en trois quart panować nad nami jest zdolna. Niezależnie od widoków jej dalszych, nieuleczalnie wiązanych z każdą już dziś, nawet nie płacącą długów Rosją, na razie chodziło jej zapewne o ocalenie honoru tak w opinii własnej, jak przed nami wobec przewidywanej porażki w sprawie „przemarszu“ (pomimo to zresztą dość fantastycznego przecież bez okupacji całych Niemiec), bo nam nic już od wschodu wobec nowej przyjaźni rzekomo nie grozi. Po to samo demonstrowała ją i Cziczerin, żeby Francya przy tem prawie swoim nie obstawała: stąd jego dla nas łaskawość, oczywiście ograniczona do chwili, póki go Francya nie utraci. Od nas z bezczelną znajomością psychiki naszej pojechał wprost do Berlina: oczywiście — klócić się o nas! to znaczy żądać od Niemiec w imię Rapallo, by nie godziły się za nic na tenże przemarsz francuski. Do czego ich tak znów wielce agitować zresztą nie trzeba. Co w tem wszystkim czynią nasze rozpostarte objęcia? skąd ten entuzjazm nad własnym aktem zejścia? przecież bolszewicy poprostu tylko metodą, u nich przyjętą i w stosunkach wewnętrznych, każą nam przed rozstrzelaniem wykopać sobie samym dół. A bagatelna dotąd sprawa gdańska z wejściem Niemiec do Rady Ligi zostaje dla nas tak jak gdyby już przesądzona.

Innemi słowy, wskazania, zawarte w rozprawie niniejszej, zostają szczególnie aktualne. Gdy Mussolini, jak się zdaje, zaczyna nieco rozumieć niebezpieczeństwo niemieckie, odstąpić od nich nieco można by było na razie w sprawie austriackiej, tworząc ewentualnie ścieżkę dla nowych porozumień bliższych. Natomiast w rachuby polityki angielskiej wejść powinniśmy, co jest niesłychanie trudno, bo nie umie ona dojrzeć w nas najsłabszej żywotności. To też jeśli nie chcemy być kozłem ofiarnym umiłowanego przez nas „pokoju“, musimy być silni nie zawodnem lub wręcz obłudnem poparciem mocarstw, ale u siebie przedewszystkiem w domu. A to oznacza politykę określoną na kresach i wobec narodów ościennych pomniejszych, z którymi zawiązanie zwartej bloku — kosztem ofiar — jest jedyną dla nas deską ratunku. Musi to być polityka jasna i gorączkowo intensywna. Dopiero tworząc mocarstwo, zanim niem nawet będziemy, już przez samo przybranie określonego oblicza, zdobędziemy w Europie stanowisko podmiotu wreszcie i zainteresowanie, wrywając się z obręczy wrogości, niechęci lub w najlepszym razie szalonej obojętności. Że zaś nas lekceważą dotychczas, a jako Saisonstaat handlują, cóż się dziwić temu, gdy wczas nie doceniłiśmy sami i jeszcze nie rozumiemy w czynie, że odbudowa Polski to przewrót światowy, nie rzędne zdarzenie naszego pokolenia przeżyć, — nie rarytet do kolekcjonowania przez porozbiorowych dziejów archiwa, lecz rewolucya duszy!





37818

2